

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA
SOBOTA



Nieznany
wiersz
Szymborskiej



WYSOKIE OBCASY
**Kobieta,
bez nazwiska,
chce reżyserować?**
Nie ma mowy

FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

GAZETA
wyborcza
wyborcza.pl
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Minister
Gliński
i polityka
historyczna
PiS

Bij Niemca!

FOT. DAWID ZUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL, MONTAŻ: MARIUSZ ROSA

wydaje Agora SA,
nr indeksu 348198



**Chłop Jacek i Żyd Icek
kontra jaśnie pan**
Polska okiem
Amerykanina



**My tylko się
broniliśmy**
Rosjanie
o 17 września 1939

Jan Kazimierz
Oddał koronę
za seks
i emeryturę

Andrzej rysuje



Agnieszka Kublik



Prezes patriota donosi Niemcowi

Tuska nie ma” – informuje pełnym powagi tonem Jarosław Kaczyński, odziany w czarny garnitur i czarny krawat, ambasadę Niemiec.

Ten spot wyborczy PiS to skandal. Nie tylko dlatego, że podbija antyniemiecki bębenek i sugeruje, że lider opozycji służy obcym interesom. To skandal, bo pokazuje, jaką rzeczywistość chce wykreować Kaczyński: taką, w której obce mocarstwo powiadamia się o likwidacji głównego politycznego rywala. U PiS-owskich spin doktorów odezwała się podświadomość i dokonano się tzw. przeniesienie? Pewnie pamiętacie Państwo rozmowy Donaty Subbotko z generałami Noskiem i Pytlem oraz teksty śledcze Tomasza Piątka o rosyjskich tropach w obozie prawicy.

Przaśność tego spotu widać i czuć od pierwszej do ostatniej, 56. sekundy – najpierw muzyka Wagnera i zjazd kamery na ambasadę Niemiec, potem Kaczyński, kot i jego stara nokia. Ale najbardziej kompromitujący jest sam dialog.

Dzwoniący (z karykaturalnym niemieckim akcentem): – Guten Tag. Ja dzwonię z ambasadą Niemiec i chciałbym połączyć z kancelarzem w sprawie waszego Rentenalter, to jest wieku emerytalnego. Otóż uważamy, że powinien być taki jak za pana premiera Tuska.

Spot PiS to skandal nie tylko dlatego, że podbija antyniemiecki bębenek i sugeruje, że Tusk służy obcym interesom

Kaczyński: – Proszę przeprosić pana kancelarza. Ale to Polacy w referendum zdecydują w tej sprawie. Nie ma już Tuska i te zwyczaje się skończyły.

I ostentacyjnie przerywa rozmowę.

Jak to rozumieć? Dosłownie? Wszak Tusk jest i ma się nieźle, chyba lepiej niż Kaczyński, co widać na wiecach (szef PO ma dobre przemówienia i utrzymuje emocjonalny kontakt z publiką) i na prywatnych zdjęciach (np. z rodziną, która zawsze, jeśli się ją szczęśliwie ma, daje człowiekowi pęd do życia).

Symbolicznie? Też trudno się z tym zgodzić, wszak to PiS i jego media codziennie trąbią o Tusku i jego odpowiedzialności za sytuację w Polsce, jakby ostatnie osiem lat nie był w opozycji.

A może to prognoza Kaczyńskiego? Że jak opozycja przegra, on jej lidera wykończy?

Wyobraźmy sobie, że to Tusk powiadamia niemieckiego urzędnika, że „Kaczyńskiego nie ma”. Skandal! Choć to słowo nie oddaje tego, co by się w reżimowych mediach wyprawiało.

Nawet gdyby Tusk rozmawiał z Merkel o polskich emeryturach (a nie rozmawiał i niczego mu nie mogła Merkel kazać, ich rozmowa z marca 2011 r. dotyczyła bowiem paktu dla konkurencyjności, w tym m.in. związku wieku emerytalnego państwa z sytuacją demograficzną, a kontekstem był globalny kryzys), to nie byłoby to tak kuriozalne jak kreujący się na państwowca i obrońcę suwerenności szef rządzącej partii, który informuje obcą ambasadę, że anihilował (aż dziwi, że Kaczyński nie użył swego ulubionego słowa) zasłużonego unijnego lidera i przywódce opozycji. ●

Szymborska



*Nie wiem, jak to jest
być wypędzonym, wypędzoną,
znaleźć się w kraju innego języka,
prędko nauczyć się słowa „dziękuję”, jeśli ktoś pomoże,
słowa „przepraszam”, jeśli ktoś spojrzy krzywo,
nie być nigdy zbyt głodnym, kiedy cię częstują*

Nieznany wiersz noblistki

Michał Nogaś

Pisałem referat o czarnym notesie, w którym Szymborska zapisywała pomysły na wiersze. Wielokrotnie miałem go w rękach, ale teraz przeglądałem go wyjątkowo dokładnie – opowiada Michał Rusinek, pisarz, publicysta i wieloletni (czujemy się zażenowani, podając tę identyfikację, bo kto jak kto, ale nasi czytelnicy wiedzą, kim jest Rusinek, niemniej dla porządku wypada) sekretarz noblistki. – Niektóre zapiski były mało czytelne, zwłaszcza te z ostatniego okresu życia. Szymborska była po złamaniu ręki, notowała dla siebie, nie musiała więc dbać o czytelność.

– Ostatniego dnia pracy na przedostatniej stronie znalazłem wpis o wiele dłuższy niż pozostałe, sze-

ściowersowy i zrobiony, jak gdyby za jednym zamachem. – Nie ma tam żadnych skreśleń. Może to notatka do wiersza, fragment czegoś większego, co miała w planach, ale już to, co odczytałem, jest zamkniętą całością.

Przyjmuje się, że Szymborska napisała około 300 wierszy. Utwór, który publikujemy, jest najprawdopodobniej ostatnim – lub, w wersji bardziej optymistycznej, jednym z ostatnich – odnalezionych w jej notatkach (w październiku, z okazji ustanowionego przez Senat Roku Szymborskiej, ukażą się jej, także częściowo dotąd nieznane, „Zabawy literackie”, które przybierały formy wierszowane lub prozatorskie).

Odnaleziony utwór powstał najpewniej na samym początku kryzysu uchodźczego wywołanego przez wojnę domową w Syrii.

•

– W kontekście tego, co dzieje się wokół nas od kilku lat i dziś znów powróciło ze zdwojoną siłą przy okazji premiery „Zielonej granicy” Agnieszki Holland, wydaje mi się ważne, by słowa Szymborskiej wybrzmiały – mówi Rusinek. – Gdy rozpoczęła się nagonka na reżyserkę, zastanawialiśmy się w fundacji, czy nie napisać listu poparcia dla niej. Ostatecznie,

podpisując się pod tekstem stworzonym przez inne osoby, doszedłem do wniosku, że odnaleziony wiersz będzie najlepszym komentarzem do tego, co dzieje się w Polsce od 2015 roku. Te sześć wersów to najbardziej istotne „oświadczenie”, bo płynące jeszcze od samej noblistki.

Wiersz przedstawiamy Państwu jako pierwszy, dzięki uprzejmości Fundacji Wisławy Szymborskiej, której Rusinek jest prezesem. Zarząd fundacji poprosił, by redakcja przekazała honorarium na konto jednej z organizacji niosących pomoc osobom w drodze i ofiarom kryzysu humanitarnego na granicy polsko-białoruskiej.

Rusinek: – Skonsultowałem się z Mikołajem Grynbergiem, autorem książki „Jezus umarł w Polsce”. Wskazał stworzone w 2011 r. w Białymstoku Stowarzyszenie Egala, które dziś pomaga ludziom w ośrodkach dla cudzoziemców oraz działa na granicy. „Egala” w esperanto oznacza „równi”. O wsparcie tej organizacji chciałbym poprosić także czytelników.

Wiersz zostanie dołączony do drugiego wydania „Wierszy wszystkich” Szymborskiej, które ukaże się na początku przyszłego roku. ●

Grecja
Z ognia pod rynnę

Grecy jeszcze nie uporali się z falą pożarów (bo choć po lipcowym kataklizmie, który dotknął turystyczne regiony, większość mediów zajęła się innymi tematami, ogień nie wygasł – dopiero co płonęły okolice Aten i Tracja, a ofiary – w tym koczujący w zaroślach migranci – sięgają dziesiątek), a już zmagają się z kolejnym żywiołem. Ulewy największe od blisko 100 lat wywołały serię powodzi. Zginęło kilkanaście osób, ewakuowano tysiące.

III wojny światowej nie będzie

Elon, nie cykaj się tak

Najskuteczniejsza rosyjska superbroń kosztuje niewiele

Applebaum



Pewnego wieczoru we wrześniu 2022 roku flotylla ukraińskich podwodnych dronów wypłynęła na Morze Czarne, kierując się na okupowane przez Rosję Krym. Ich projektanci – inżynierowie, którzy do wybuchu wojny zajmowali się innymi sprawami – zaprogramowali te szybkie, wypełnione materiałami wybuchowymi maszyny tak, by uderzyły w okręty stojące na kotwicy w Sewastopolu, kwatery rosyjskiej Floty Czarnomorskiej. Ale tym razem drony napotkały problem: system komunikacji satelitarnej Starlink, z którego korzystała Ukraina od czasu rosyjskiego ataku, przestał działać. Bez ostrzeżenia. Wysoko postawione osoby z Ukrainy i innych krajów gorączkowo dzwoniły i wysyłały SMS-y do właściciela Starlinka Elona Muska.

Musk z kolei zadzwonił do swojego biografa Waltera Isaacsona i powiedział mu, że jest „niebagatelna szansa” na to, że atak podwodnych dronów może doprowadzić do wojny nuklearnej. Według Isaacsona Musk rozmawiał wcześniej z ambasadorem Rosji w Waszyngtonie, który wprost go ostrzegł, że jakiegokolwiek atak na Krym doprowadzi do nuklearnego konfliktu. Musk zasugerował też kilku innym osobom (choć później temu zaprzeczył), że mniej więcej w tym czasie rozmawiał także z Putinem.

O aferze ze Starlinkiem mogliście słyszeć już wcześniej. Po raz pierwszy o utracie łączności przez ukraińskie drony poinformował w maju Oliver Carroll z „The Economist”. Później „The New Yorker” opisał, jak ukraińscy żołnierze nagle stracili dostęp do Starlinka na polu bitwy. Isaacson sugeruje, że wszystkie drony biorące udział w morskiej operacji zostały unieszkodliwione. Ale ostatnio spotkałam w Ukrainie inżynierów, którzy je projektowali, i powiedzieli mi, że wcale nie. Niektóre wróciły do bazy w nienaruszonym stanie.

Ale tego już mogliście nie słyszeć lub nie zarejestrować: ten sam zespół przeprowadził podobny atak kilka tygodni później. 29 października flota dronów dotarła do portu w Sewastopolu, korzystając z innego systemu komunikacji. Fregata „Admirał Makarow” została poważnie uszkodzona, zespół twierdzi, że ucierpiał też: co najmniej jeden okręt podwodny i dwa inne statki.

I wojna nuklearna jakoś nie wybuchła. Pomimo obaw Muska włożonych mu do głowy przez rosyjskiego ambasadora, a może przez samego Putina, udany atak na krymski port nie doprowadził do III wojny światowej. Przeciwnie, dowódcy rosyjskiej marynarki tak się przestraszyli, że przez następne tygodnie nie wypływali z Sewastopola.

Dla ich bezpieczeństwa nie wymieniam nazwisk inżynierów, z którymi rozmawiałam. Zespół ten pokazywał już swoje bezzalogowe maszyny, więc nie zdradzę żadnych tajemnic, pisząc, że są

małe, czarne i słabo widoczne w wodzie. Do tego mają bardzo duży zasięg – obecnie ponad 650 mil. Są też stale ulepszone i przeprojektowywane. Wśród tych, które widziałam, były także drony opisywane jako maszyny „piątej generacji”. Pozwolono mi spróbować zdalnego sterowania jednym na odległym zbiorniku wodnym – przypominało to granie w grę wideo.

Podobnie jak bardziej znane drony powietrzne drony podwodne stanowią kluczowy element ukraińskiego sposobu prowadzenia wojny. Nie mając możliwości konkurowania ze znacznie większą armią rosyjską na samoloty i okręty, Ukraina używa małych, zaawansowanych technologicznie, specjalnie zaprojektowanych i stosunkowo tanich urządzeń, które mogą wyeliminować z gry duże i kosztowne czołgi, statki i artylerię. Wiele z nich to dzieło grup, które, choć nie należą do wojska, nie są też całkowicie prywatne. Ta usieciwiona, oddolna, asymetryczna odpowiedź to część strategii, z którą Ukraińcy mają nadzieję na wygrana w tej wojnie. „To Ukraina. Jesteśmy hybrydowi”, powiedział mi jeden z inżynierów.

Atak podwodnych dronów na Sewastopol sprawił, że ludzie zależni od ukraińskiego zboża nie będą głodni

I wyjaśnił, że choć jego drony nie zniszczyły całej Floty Czarnomorskiej, to wpłynęły na przebieg wojny. Rosyjskie okręty stały się bardziej ostrożne. Zamiast fizycznie blokować ukraińskie transporty zboża, czego spodziewało się wielu obserwatorów, pozostały w porcie. „Przestraszyliśmy ich”, podsumował.

Moi rozmówcy, zapytani, czy jeśli rosyjski okręt spróbuje zablokować statek towarowy ze zbożem, uderzą w niego, potwierdzili.

Innymi słowy Musk się mylił. Zamiast wywołać III wojnę światową, atak podwodnych dronów pomógł ograniczyć przemoc, chronił handel, wspomógł ukraińskich rolników, a może nawet sprawił, że ludzie zależni od ukraińskiego zboża nie będą głodni. Gdyby nie pycha Muska, skutki ukraińskich operacji mogłyby być odczuwane wcześniej. Być może pierwszy atak wyeliminowałby więcej okrętów, których rakiety zabijają cywilów w ukraińskich miastach. Może dzięki temu zginęłoby mniej ludzi. Być może nawet przybliżyłoby to zakończenie wojny, która skończy się, gdy Ukraina odzyska własne terytorium.

To ostrzeżenie przed arogancją miliardera, który zaczął odgrywać kluczową rolę w amerykańskiej polityce zagranicznej. Ale to także opowieść o strachu, o obawie zasianej i promowanej przez Rosjan i zaprojektowanej tak, by kształtować zachodnie postrzeganie tej wojny. Musk nie jest sam: wiele osób w Waszyngtonie, Berlinie, Brukseli i innych stolicach europejskich – w tym ludzie popierający suwerenność Ukrainy i chcący, aby Ukraina wygrała – również dało się zastraszyć ostrzeżeniom rosyjskich

ambasadorów, groźbom rosyjskich przywódców oraz zdjęciom nuklearnym eksplozji pokazywanych w rosyjskiej telewizji. Na długo przed rozmową z jakimikolwiek Rosjanami także Musk zetknął się z tą samą propagandą w kontrolowanych przez Rosję skrajnie prawicowych społecznościach, które często odwiedza. W 2016 roku prawdopodobnie z tych samych, operujących w mediach społecznościowych środowisk Trump wziął pomysł, by oskarżyć Hillary Clinton o zamiar rozpoczęcia III wojny światowej.

Obawa przed eskalacją ma odstraszać Zachód – i to działa. W 2014 roku zachodni przywódcy właśnie dlatego doradzali Ukrainie, aby nie stawiała oporu, gdy Rosja zajęła Krym. Rada ta miała nie tylko katastrofalne skutki dla osób aresztowanych, więzionych i wypędzanych z półwyspu, ale i przekonała Rosjan do kontynuowania inwazji na wschodnią Ukrainę. Zatrzymali się dopiero, gdy Ukraińcy stawiali opór.

W latach 2014-22 USA i państwa europejskie, bojąc się sprowokowania rosyjskiego ataku, ograniczyły lub zakazały sprzedaży broni do Ukrainy. To także okazało się straszliwym błędem: gdyby Rosjanie bali się ukraińskiej armii, nie rozpoczęliby inwazji na pełną skalę.

I nawet gdy taka inwazja się zaczęła, strach ponownie przekonał Amerykanów i Europejczyków do wstrzymania się z dostarczaniem Ukrainie broni dalekiego zasięgu. Częściowo z obawy przed tym, co się stanie, jeśli zostanie użyta do uderzania w rosyjskie cele. Ale potem Ukraińcy użyli własnej broni, najpierw atakując cele w regionie przygranicznym, potem w Moskwie, Pskowie i innych miastach. Również wtedy wojna nuklearna nie wybuchła.

Mogłabym powtórzyć to samo w przypadku niemal każdej znaczącej klasy broni. Strach przed eskalacją spowodował, że niektóre kraje, zwłaszcza Niemcy i Stany Zjednoczone, nie zapewniły Ukrainie czołgów niezbędnych do rozpoczęcia ofensywy. Strach przed eskalacją odpowiadał za to, że Ukraińcy nie otrzymali na czas samolotów F-16, które wsparłyby rozpoczętą latem kontrofensywę. Strach przed eskalacją przyczynił się do tego, że odmówiliśmy przekazania Ukraińcom systemu rakiet balistycznych dalekiego zasięgu ATACMS. Dziś Ukraina ma zachodnie czołgi, rozpoczęło się szkolenie pilotów F-16, a administracja Bidena planuje wyposażenie Ukrainy w ATACMS.

Każde z tych opóźnień to strata czasu. Ten czas kosztuje życie dziesiątków tysięcy osób. Byłam w Ukrainie dokładnie rok temu, w ten weekend, kiedy wojska ukraińskie zajęły północne miasta Izium i Kupiańsk. Kilka tygodni później Ukraińcy odzyskali Chersoń. Wówczas ich ofensywa nabrała rozpędu. Rok później euforia minęła: rozpęd przyhamował. Po zajęciu Chersonia ukraińskie siły nie miały broni potrzebnej, by posunąć się dalej.

Próbę podjęli dopiero w czerwcu. Ale do tego czasu Rosjanie zaminowali setki kilometrów kwadratowych – dziś to jedno z najbardziej rozległych pól minowych, jakie kiedykolwiek próbowała przekroczyć jakiegokolwiek armia – i zainstalowali system pułapek czołgowych i okopów. Pomyślmy, jak wyglądałby świat, gdyby groźby nuklearne Putina nie wpłynę-

ły tak głęboko na naszą zbiorową wyobraźnię. Gdyby Muska nie wystraszyła rosyjska propaganda, część rosyjskiej floty mogłaby zostać unieszkodliwiona miesiąc wcześniej. Gdyby Waszyngton, Londyn, Paryż i Berlin nie przestraszyły się rosyjskiej propagandy, Ukraińcy mogliby wypędzić Rosjan wcześniej, i wojna dziś już mogłaby być zakończona.

Zawsze istnieje, pożyczając od Muska, „niebagatelna możliwość”, że Rosjanie użyją broni nuklearnej; istniało również niezerowe prawdopodobieństwo, że test bomby atomowej Roberta Oppenheimera wysadzi w powietrze całą planetę. Jeśli jednak chcemy powstrzymać Rosjan przez użyciem atomu, mamy inne metody, by to zrobić. Nasza własna broń atomowa i nasze własne siły konwencjonalne są potężnymi środkami odstraszającymi: większość analityków uważa, że to właśnie dlatego Rosja nie uderzyła w żaden cel na terytorium NATO. Mocne sugestie Chin, Indii i państw G20, że nuklearna eskalacja byłaby strasznym błędem, także pomagają.

Ukraińskie ataki – zwłaszcza nieoczekiwane, asymetryczne – są również formą odstraszania. Podobnie jest z naszym zaangażowaniem na rzecz Ukrainy. Za każdym razem, gdy ogłaszamy kolejną dostawę broni, gdy Unia Europejska składa kolejne zobowiązanie finansowe lub prezydent Joe Biden składa kolejną deklarację poparcia, Rosjanie widzą, że cena okupacji i jakiegokolwiek eskalacji rośnie. Opór nie prowokuje Putina, prowokuje go słabość.

Anne Applebaum

- Przełożyła Katarzyna Wężyk. Tytuł i lead od redakcji
- © 2023 The Atlantic Media Co., as first published in „The Atlantic”
- All rights reserved. Distributed by Tribune Content Agency

Kod dostępu do Wyborcza.pl



FOT. MALCOLM DENEMARK/AP

Dolina Krzemowa sprywatyzowała obronność

ZA PÓŹNO,
ŻEBY
WYCIĄGNĄĆ IM
W TYCZKĘ

**Urządnik Pentagonu
na pytanie o rolę Muska
w wojnie z Rosją:
Pogadamy, jak Elon mi
pozwoli**

Maciej Jarkowiec

O godzinę przed rozpoczęciem inwazji 24 lutego 2022 Rosjanie dokonali ataku cybernetycznego na amerykańskie satelity Viasat obsługujące Ukraińców. W kluczowym momencie ukraińska armia straciła nowoczesną łączność.

Wicepremier, 31-letni Mychajło Fedorow, najmłodszy minister w historii Ukrainy, który zanim wszedł do rządu, odpowiadał za kampanię internetową Zeleńskiego, zachował się tak, jak podpowiedział mu instynkt specja od IT – na Twitterze poprosił Muska o udostępnienie technologii Starlink wytwarzanej przez jego firmę SpaceX.

Już dwa dni później 500 mobilnych terminali – niedużych, białych anten satelitarnych odbierających sygnał z satelitów SpaceX – poleciało do Ukrainy. „Mamy pomoc armii – relacjonowała Muskowi mailowo szefowa SpaceX Gwynne Shotwell. – Dadzą transport, Departament Stanu organizuje loty humanitarne, pokryją część

kosztów”. „Nieźle” – odpowiedział Musk. Zaraz potem połączył się przez Zoom z Zeleńskim, obiecał dalsze wsparcie.

W następnych dniach Lauren Dreyer kierująca programem Starlink na bieżąco informuje szefa: „Anteny są dla nich sprawą życia i śmierci, bo przeciwnik koncentruje się na niszczeniu tradycyjnej infrastruktury. Proszą o więcej”. Musk wysyła dwa tysiące terminali. „Dajmy im też panele słoneczne z bateriami” – pisze na wieść, że pojawiają się problemy z zasilaniem. Odbywa codzienne narady z inżynierami w SpaceX, amerykańskimi generałami i dowódcą w Ukrainie. W marcu łączność Ukraińcom zapewni już sześć tysięcy terminali, w czerwcu – 15 tysięcy. „Bez Starlinka przegrywalibymy tę wojnę” – mówi „Wall Street Journal” jeden z ukraińskich dowódców.

Walter Isaacson, którego właśnie wydała w USA książka o Musku przynosi powyższe szczegóły zaangażowania miliardera w pomoc Ukrainie, w „Washington Post” opowiada o miłości, jaką Musk od dziecka darzy komiksowych superbohaterów. Połącza go ich jednowymiarowość – nie robią nic innego, tylko bez przerwy ratują świat. „Wojna w Ukrainie, gdzie żadna inna firma ani nawet państwo nie były w stanie zapewnić łączności, dała mu szansę zabawy w superbohatera”. Koresponduje z tą obserwacją opinia, jaką w głośnym sierpniowym tekście „New Yorkera” wygłosił znajomy Muska, szef firmy badawczej OpenAI Sam Altman: „Elon desperacko pragnie, aby świat został uratowany. Ale tylko jeśli on będzie tym, który go uratuje”.

Najwięcej emocji przy okazji wydania „Elona Muska” wzbudziły informacje, że sygnał starlinków nie dotarł nad teren Krymu w momencie, w którym Ukraińcy planowali atak dronów na rosyjską Flotę Czarnomorską w Sewastopolu. Co bardziej zapalczywi komentatorzy oskarżyli Muska o sabotaż i sprzyjanie Rosji. Znamienne, że takiej narracji nie podjął sekretarz stanu Antony Blinken. Przyciskany przez dziennikarza CNN Jake’a Tappera powtarzał uparcie, że rola Muska w pomocy dla Ukrainy jest nie do przecenienia.

Kolejność zdarzeń nie była taka, jaką sugerowały komentarze. Musk nie wyłączył Starlinka nad Krymem. System nigdy nie obejmował tego terytorium i w założeniu – zgodnie z umową, jaką SpaceX zawarł z Ukraińcami – miał służyć do celów obronnych i humanitarnych. To ukraińskie dowództwo poprosiło Muska, aby w drodze wyjątku udostępnił sygnał do celów ofensywnych w Sewastopolu. Odmówił. Dziś tłumaczy, że obawiał się eskalacji – łącznie z użyciem przez Rosję broni nuklearnej. Od tamtego czasu ukraińskie drony wielokrotnie atakowały cele na Krymie (ostatnio w środę o świcie), a nawet w Moskwie, i nie spotkało się to z atomowym odwetem. Może to wskazywać na błędną ocenę ryzyka ze strony Muska. Nie zmienia jednak faktu, że jako szef cywilnej firmy ma prawo określać pułap jej zaangażowania w konflikcie zbrojnym.

Z opowieści Isaacsona i z artykułu Ronana Farrowa w „New Yorkerze” wylania się człowiek utrzymujący bieżącą komuni-

kację z najważniejszymi graczami najważniejszej wojny współczesności – według niektórych źródeł Musk rozmawia również z samym Putinem (miliarder zaprzecza, twierdzi, że jego kontaktem jest rosyjska ambasada w Waszyngtonie). Władza, jaką ma dzięki produktom jego firmy, sytuuje go w roli szarej eminencji zdolnej decydować o losach wojny. Jeden z oficjeli w Pentagonie, którego Farrow wypyttywał o wpływ Muska na konflikt, powiedział: „Pogadamy, jak Elon mi pozwoli”. Sam Musk zapytany, czy ma większą sprawczość niż rząd USA, odrzekł: „W niektórych sprawach tak”.

Nadzwyczajna jest nie jego decyzja o niedostarczeniu sygnału na Krym, lecz zjawisko, w którego centrum się znalazł – uzależnienia infrastruktury bezpieczeństwa narodowego USA od technologii, jaką zapewniają (lub nie) niezależne od rządu korporacje.

Wiele lat przed tym, nim Musk został celebrytą i jedną z najbardziej kontrowersyjnych postaci ery cyfrowej, Peter Thiel – jego były kompan (później rywal), z którym pod koniec lat 90. zakładał PayPal – połączył siły z niejakim Alexem Karpem. 55-letni dziś Karp – doktor filozofii z kręconą, szpakowatą czupryną, maniak długodystansowego biegania o sylwetce atlety – jeszcze bardziej pasuje do definicji szarej eminencji. W przeciwieństwie do właściciela SpaceX nie szuka rozgłosu. Jego trudna przyjaźń z Thielem – Karp jest lewicowcem, liberta-

rianin Thiel w 2016 r. wyoutował się jako zwolennik Trumpa – zaowocowała powstaniem Palantira. Karp jest jego mózgiem, a najważniejszym klientem – rząd USA. Firma, której narodziny wspierał kapitałem fundusz związany z CIA, nie ukrywa, że 60 proc. dochodu zapewniają jej kontrakty z administracją. Ukrywa za to, co dokładnie dla niej robi.

Karp wymyślił Palantira (słowo zaczerpnięte z Tolkiena oznacza kryształ, w którym widać przyszłość) jako remedium na wywiadowczą chorobę, która sprawiła, że nie wykryto spisku terrorystycznego wiodącego do 11 września 2001 r. Choroba polegała na braku integracji danych. Kilka agencji zbierało informacje o spiskowcach, ale nie wymieniały się nimi, nie wiedziały nawet, że prowadzą równoległe śledztwa. Gdyby współpracowały, ataku można było uniknąć. Narzędzia wytwarzane przez Palantir w największym skrócie zbierają, analizują, łączą i dystrybuują dane. W 2011 r., przy okazji 10. rocznicy zamachów, „Bloomberg Businessweek” napisał, że firma jest niezbędnym podmiotem w wojnie z terrorem.

W większości przypadków nie wiadomo, dla kogo dokładnie i jakie dane integruje oraz w jaki sposób wykorzystywane są informacje pozyskane w wyniku tej integracji, ale jej usługi łączone są od lat z CIA, FBI, NSA, z departamentami policji w całym kraju i z Pentagonem. Jeden z autorów przykleił jej etykietę „najbardziej niebezpiecznej korporacji w Ameryce”. „Businessweek” zatytułował tekst „Palantir wie o tobie wszystko”. Robert Scheer, autor książki o Palantirze, nazwał go „potwornym kretem na usługach rządu dokopującym się do najbardziej intymnych informacji o nas wszystkich”.

Pośród niewielu usług, o jakich mediom udało się coś dowiedzieć, był program profilowania potencjalnych sprawców, zanim popełnią przestępstwo – niczym wyjęty ze scenariusza filmu s.f. „Raport mniejszości” Stevena Spielberga. Po tekstach na ten temat departament policji w Los Angeles, który zamówił projekt, wycofał się z umowy. Przy innej okazji wykazano, że usługi Palantira dla służb granicznych przyczyniły się do rozdzielania rodzin migrantów.

Alex Karp zbywa milczeniem wszelkie kontrowersje, przypominając, że jego technologia pomogła namierzyć Osamę ben Ladena, w Afganistanie chroniła saperów i pozwalała przewidzieć ataki rebeliantów, ułatwia FBI walkę z kartelami w Meksyku, umożliwiła sprawną dystrybucję szczepionek w pandemii, a dziś pomaga Ukrainie.

Karp był pierwszym prezesem z Zachodu, który wylądował w Kijowie po wybuchu wojny i spotkał się z Zelenskim. Wiadomo, że Ukraińcy korzystają z systemów Palantira. „Wasze bohaterstwo i nasz software zabijają potwora” – powiedział Karp. Swoją misję w branży technologicznej postrzega w kategoriach patriotyzmu. Krytykuje Dolinę Krzemową jako krainę gadźciarzy wyprzedających reklamodawcom dane o swoich klientach. Za to narzędzia od Palantira mają dać przewagę Zachodowi w walce ze złem. „Jasno opowiadamy się po jednej ze stron”.

Nie ukrywa, że Palantir jest monopolistą, który uzależnił od siebie całą potężną aparaturę bezpieczeństwa narodowego. Tak definiuje model biznesowy: „Jeśli nasi odbiorcy chcieliby odstąpić od kontraktów, znaleźliby się w dużych tarapatach. Gdy zostajesz naszym partnerem, trudno jest ci odejść”. Gdyby z jakiegoś powodu Palantir odstąpił od kontraktów z rządem, USA zostałyby pozbawione kluczowej infrastruktury obronnej.

Dawno temu to rządowe instytucje badawcze kreowały przyszłość, rozwijając nowe technologie związane z obronnością. To armia USA w 1945 r. zbudowała ENIAC, jeden z pierwszych komputerów. Pierwsza bomba atomowa powstała w tajnym ośrodku rządowym w Los Alamos. W Pen-

tagonie wymyślono internet. Jednym z największych naukowych przedsięwzięć w historii ludzkości była udana misja wysłania ludzi na Księżyc, zrealizowana przez NASA. Później, wraz z Reaganem, nadeszła era prywatyzowania kolejnych sektorów państwa. Rząd stopniowo wycofywał się również z badań i rozwoju. Coraz niższe budżety państwowych laboratoriów oznaczały coraz niższe płace dla naukowców i coraz większy odpływ kapitału ludzkiego do prywatnego sektora. Dziś najbardziej zdolni ludzie pracują dla korporacji, nie dla administracji. Siłą rzeczy wiele najnowocześniejszych technologii związanych z bezpieczeństwem narodowym wytwarzają prywatne firmy. Rząd coraz rzadziej współtworzy innowacje, coraz częściej je kupuje.

Ma oczywiście wpływ na firmy przez regulacje, które nakłada. Zawsze może posunąć się do nacjonalizacji. Ale nie rozwiązuje to problemu ucieczki talentów z rządowych posad. Trzymając się Muska – znacjonalizowany SpaceX w mig straciłby najbardziej wartościowych inżynierów. Gdyby za to SpaceX powstał jako firma państwowa i opłacani sowicie przez państwo inżynierowie wymyśliliby Starlinka – to prezydent USA wspierany przez doradców, a nie chimeryczny miliarder, decydowałby, czy włączyć sygnał na Krymie.

Oparcie bezpieczeństwa na usługach korporacji nie kończy się na Musku i Karpie. Problemy, jakie tworzy brak państwowych ośrodków zdolnych wytwarzać technologie dające przewagę w globalnej rywalizacji, pokazuje historia projektu JEDI (Joint Enterprise Defense Infrastructure). W ramach wartego dziesięć miliardów dolarów zlecenia od Departamentu Obrony wybrany wykonawca miał w ciągu 10 lat przenieść całą cyfrową infrastrukturę Pentagonu z tradycyjnych serwerów na chmurę obliczeniową. O niebotyczny kontrakt walczyły zaciekle największe amerykańskie giganty. Wygrał Microsoft i w 2019 r. podpisał kontrakt z rządem. Prace jednak nie ruszyły, bo Amazon zaskarżył decyzję w sądzie.

Prawnicy firmy postawili strategię procesową na dwóch filarach: dowodzili, że konkurencja nie ma technicznych możliwości wykonania projektu oraz że na decyzję administracji wpływ miała niechęć, jaką ówczesny prezydent Donald Trump żywi do Jeffa Bezosa. Sąd stanął po stronie Amazona. Projekt JEDI został wyrzucony do kosza, a spece w Pentagonie marnowali kolejne miesiące, głowiąc się, jak rozwiązać problem. W końcu – w grudniu zeszłego roku – nowy kontrakt na chmurę dla sił zbrojnych pod nazwą JWCC (Joint Warfighter Cloud Capability) przyznało wspólnie czterem firmom: Amazonowi, Google’owi, Microsoftowi i Oracle.

Nie wiadomo, czy współpraca wypali. W ubiegłych latach opóźniały się prace nad technologią umożliwiającą dronom automatyczne, bez udziału operatora, rozpoznawanie celów po stronie wroga, również ludzkich. Stało się tak, bo z projektu wycofał się Google, gdy z powodów etycznych zastrajkowali inżynierowie firmy.

W dyskusji wokół Muska zwraca się też uwagę na uzależnienie Sił Kosmicznych USA (United States Space Force, USSF) od prywatnych kontraktorów. Gdy Chiny i Indie rozpędzają się w kosmicznym wyścigu, NASA nie ma zdolności regularnego umieszczania dużych satelitów na orbicie okołoziemskiej. USSF polega na rakietach od SpaceX oraz silnikach wytwarzanych przez należącą do Jeffa Bezosa firmę Blue Origin.

W grudniu 2022 SpaceX ogłosił program Starshield. Ze skąpych informacji dawkowanych przez Muska wynika, że chodzi o nową sieć satelitów wojskowych, utkaną we współpracy z armią. General Chance Saltzman, szef operacji kosmicznych w Pentagonie, rzuci światło na zasadniczą słabość Waszyngtonu: „Nie jesteśmy w stanie sami uzyskać zdolności, jakie dają

Musk na wojnie



FOT. SUSAN WALSH/AP

• 26 lutego 2022

Dwa dni po rozpoczęciu rosyjskiej inwazji wicepremier Ukrainy Mychajto Fedorow prosi Muska za pośrednictwem Twittera o przysłanie systemu Starlink.

• 28 lutego 2022

Pierwsze terminale Starlink wysłane do Ukrainy.

• Wrzesień 2022

Ukraińscy dowódcy proszą o włączenie sygnału na Krymie. Musk odmawia. Tłumaczy, że boi się wojny jądrowej.

• 3 października 2022

Musk publikuje na Twitterze swój plan pokojowy: wybory nadzorowane przez ONZ na terenach Ukrainy okupowanych przez Rosję, Krym przyznany Rosji, neutralność Ukrainy.

„Fuck off” – odpowiada na Twitterze ambasador Ukrainy w Niemczech Andrij Melnyk.

Musk pisze: „80 milionów dolarów z kieszonki SpaceX dla Ukrainy. Zero dla Rosji. Wspieramy Ukrainę. Próba odbicia Krymu to ryzyko wojny jądrowej. Koszmar dla Ukrainy i dla Ziemi”.

• 14 października 2022

Według CNN Musk negocjuje z Pentagonem, kto ma płacić za Starlinka dla Ukrainy.

• 15 października 2022

Musk na Twitterze: „Do diabła! Tracimy pieniądze, ale dalej będziemy dostarczać Ukrainie Starlinka za darmo”.

Minister Fedorow odpowiada: „Nie każdy rozumie pana wkład w pomoc dla nas. Bez Starlinka nie byłibyśmy zdolni funkcjonować. Dziękujemy”.

• 27 października 2022

Musk przejmuje Twittera. Zapowiada, że nie będzie cenzurował żadnych wypowiedzi.

• Kwiecień 2023

Dmitrij Miedwiediew, wiceszef rady bezpieczeństwa Rosji, tweetuje: „Ukraina zniknie, bo nikogo nie obchodzi”.

Mimo apeli Ukraińców Musk nie usuwa postu. Píše: „Putin nazywał mnie zbrodniarzem wojennym, bo pomagam Ukrainie, raczej nie jest moim kumplem. Każdy news jest do pewnego stopnia propagandą. Pozwólmy ludziom ocenić”.

• Lipiec 2023

Musk krytykuje decyzję Bidena o przekazaniu Ukrainie amunicji kasetowej. Ukraińcy przypominają, że Rosja użyła jej jako pierwsza.

• Wrzesień 2023

Nowa biografia Muska sugeruje, że miliarder wyłączył Starlinka na Krymie (w rzeczywistości Starlink nigdy tam nie działał).

Miedwiediew komentuje na portalu X (kiedyś Twitter): „Musk to ostatni rozsądny człowiek w Ameryce Północnej. Ostatni z jajami”.

nam komercyjni partnerzy. Rachunek byłby zbyt wysoki”. Przyciskany przez portal Defense One Saltzman przyznaje z rozbrajającą szczerością, że umowy nie obejmują wykorzystania satelitów w konflikcie zbrojnym. Musk zapewnia, że to rząd będzie właścicielem i dysponentem systemu.

Branza najnowszych technologii i rząd USA pozostają w uścisku. Państwo potrzebuje gigantów do wytwarzania niezbędnych dla bezpieczeństwa rozwiązań. Firmy potrzebują państwa, które daje najwyższe kontrakty. W cywilnej przestrzeni sojusz dobrze widać we współpracy Amazona z administracją federalną i lokalnymi władzami. Firma Bezosa jest dla nich głównym dostawcą rozwiązań chmurowych. Ma też monopol na pośrednictwo w dostarczaniu sprzętu biurowego. Administracja Bidena podpisała kontrakt, kierując się jakoby wdrażaną przez prezydenta zasadą korzystania wyłącznie z amerykańskich partnerów w obsłudze rządu federalnego. Przeocznono jednak fakt, a może raczej przymknięto na niego oko, że Amazon, owszem, jest firmą amerykańską, ale towary, meble czy elektronikę, jakie dostarcza do tysięcy biur federalnych, wyprodukowano poza USA.

W styczniowym tekście w „The Wall Street Journal” Biden wyliczał zagrożenia związane z brakiem regulacji Big Techu, czyli największych firm technologicznych. Litania obejmuje problemy znane od lat: nieograniczone gromadzenie danych o obywatelach i obrót nimi, pogłębianie polaryzacji i ekstremizmów przez specyficzną – tworzącą coraz bardziej zamknięte bańki – konstrukcję portali społecznościowych, przyczynianie się do uzależnień i samobójstw wśród najmłodszych, udostępnianie kanałów rozpowszechniania propagandy, dezinformacji i obrazów przemocy czy mimowolne tworzenie przestrzeni do działania obcych służb.

Jednym z największych zagrożeń jest zawrotny i pozbawiony państwowej kontroli rozwój sztucznej inteligencji. Geofrey Hinton, jeden z największych autorytetów w tej dziedzinie, który przez dziesięć lat pracował dla Google’a, w maju odszedł z firmy. Za powód podał potrzebę „swobodnego wypowiedziania się o ryzyku związanym z AI”. W jednym z pierwszych wywiadów stwierdził: „Nie widzę szansy, aby ta technologia nie dostała się w ręce złych ludzi planujących złe rzeczy”.

Biden w swoim artykule zaapelował do obu partii o przyjęcie regulacji branży technologicznej – również w sferze badań nad AI – zanim będzie za późno. Ale prace nad ustawami stoją w miejscu. Nic dziwnego – niełatwo poskromić olbrzymia, bez którego pomocy państwo staje się coraz bardziej bezbronne. ●

„Rewolwer obok Biblii. W co wierzy Ameryka”

– książka reportersko-eseistyczna, w której Maciej Jarkowiec płynnie statkiem angielskiej ekspedycji kolonialnej z XVI wieku, podróżuje przez Kolorado, odpowiada kosmopolityczny Nowy Jork i Dolinę Krzemową, gdzie już dziś można kupić wieczne życie – dostępna na Kulturalnysklep.pl oraz w formie e-booka na Publio.pl



N A S Z A E U R O P A

Walter Isaacson, biograf:
ZAJRZAŁEM POD WSZYSTKIE

MUSKI MUSKA

Istnieją pewne aspekty osobowości Elona Muska, które są całkowicie niesamowite. A inne – całkowicie przerażające. Nawet biorąc pod uwagę wszystkie niespodziewane rzeczy, które zrobi w ciągu najbliższych lat, pomagam dokładnie wyjaśnić, kim naprawdę jest.

Miguel Jiménez

EL PAÍS

Walter Isaacson, zanim stał się najbardziej wziętym biografem w USA, był jedną z najbardziej wpływowych osób w amerykańskim dziennikarstwie jako m.in. szef CNN i redaktor magazynu „Time”. Ma na swoim koncie nagradzane biografie Benjamina Franklina, Leonarda da Vinci, Alberta Einsteina, Henry’ego Kissingera, a przede wszystkim

Steve’a Jobsa – jego książka, największy bestseller w swoim gatunku w historii amerykańskiego rynku wydawniczego, stała się kanwą hollywoodzkiego filmu o założycielu Apple’a.

W sierpniu 2021 r. Elon Musk oznajmił, że Isaacson rozpoczyna pracę nad jego biografią – i odtąd przez dwa lata Isaacson snuł się jak cień za najbogatszym człowiekiem świata. Efekt: 12 września wydawnictwo Simon & Schuster opublikowało 700-stronicową książkę zatytułowaną po prostu „Elon Musk”. Autor zastrzega, że miał dostęp do najściślejszego kręgu współpracowników swojego bohatera, a także jego prywatnej korespondencji – ale Musk nie miał żadnego wglądu w powstającą opowieść.

Isaacson spędza większość czasu w rodzinnym Nowym Orleanie, ale rozmawiamy w jego nowojorskim mieszkaniu, w Central Park West. Na stole w salonie reprodukcja rękopisu teorii względności Einsteina. Specjalnością lub nawet obsesją Isaacsona są „innovatorzy” (tytuł jednej z jego bestsellerowych książek) – ludzie, którzy zmienili świat. Założyciel Tesli i SpaceX wydawał się nieuniknionym wyborem.

Zajmował się pan dotąd geniuszami, poza Leonardem czy Einsteinem także np. Jennifer Doudną, biochemiczką, która dostała Nobla za opracowanie metody CRISPR/Cas pozwalającej na dokonywanie precyzyjnych zmian w genach. Czy Elon Musk gra w tej samej lidze?

– Musk jest, obok Steve’a Jobsa i Jennifer Doudny, najbardziej wpływowym innowatorem naszych czasów. Jobs wprowadził nas w erę cyfrową, Doudna w erę edycji genów. A Musk, chcemy tego czy nie, wprowadza nas w erę motoryzacji bezemisyjnej, podróży kosmicznych i sztucznej inteligencji.

W jaki sposób życie osobiste Muska wpłynęło na jego dzisiejszy sukces?

– Miał trudne dzieciństwo. Musiał się nauczyć radzić sobie z bólem. Jako dziecko był regularnie nękany przez rówieśników, ale także przez własnego ojca. Zdarza się, że wielcy ludzie z mrocznymi demonami w środku są w stanie zamienić je w paliwo dla ambitnych dążeń.

Co dokładnie napędza Muska?

– Są trzy wielkie misje, w które się zaangażował. Pierwszą z nich jest przekształcenie ludzi w gatunek wieloplanetarny. Po drugie, chce wprowadzić nas w erę pojazdów elektrycznych i zrównoważonej energii. Po trzecie, chce uczynić sztuczną inteligencję bezpieczną. To są epickie misje. Czasami myślę, że ulega iluzji, ma kompleks superbohatera, ale cele tych misji uważa za osiągalne. Powiedział mi, że w dzieciństwie zaczytywał się w komiksach o superbohaterach – że wyglądali śmiesznie w swoich trykotach, ale przynajmniej próbowali uratować świat.

Jest jakaś cecha, która dominuje w jego osobowości?

– Ten człowiek ma wiele osobowości i gładko przełącza się z jednej na drugą. Bywa dowcipny, częściej skupiony. Lubi przechodzić w „tryb inżyniera” i radzi sobie w tym bardzo dobrze. A ma też coś, co np. jego była partnerka nazywa „trybem demona”, wtedy jest dość bezwzględny dla otoczenia. A potem pstryk, demon jest wygaszany i Musk ledwo pamięta, co właśnie zrobił. Claire Boucher, artystka znana jako Gri-

mes, matka syna Muska, mówi, że w tym „złym” trybie jest nieznosny, ale to właśnie w nim radzi sobie z problemami najsukcesowniej.

A pieniądze w jakim stopniu mają dla niego znaczenie?

– Nie sądzę, by na tym etapie motywowały go pieniądze. Gdyby tak było, nie traciłby ich tak wiele, inwestując w branżę, której nie obiecuje szybkiego zwrotu, a już na pewno nie kupiłby Twittera. Swoje przedsięwzięcia finansowe traktuje jako etapy dochodzenia do celów zasadniczych. Np. skoro chce zabrać ludzi na Marsa, to potrzebuje dużych rakiet, których nikt nie opracowuje. Dopiero z czasem zdał sobie sprawę, że może przy okazji wystrzelić setki satelitów i dostarczać internet z orbity. I właśnie w ten sposób zarabia pieniądze. Ale stworzył SpaceX nie po, aby zarabiać pieniądze, ale by dostać się na Marsa.

Starlink wzbudził już obawy, że satelitarny dostęp do internetu, zwłaszcza podczas wojny w Ukrainie, w prywatnych rękach to ryzykowny pomysł.

– Byłem zaskoczony, że kiedy Rosjanie zaatakowali Ukrainę, udało im się zablokować wszystkie inne firmy satelitarne, w tym nawet niektóre amerykańskie satelity wywiadowcze. Działały tylko satelity Muska. Kiedy w zeszłym roku wyłączył je nad Krymem, aby spróbować powstrzymać atak ukraińskich dronów na rosyjskie okręty, sam zdał sobie sprawę, że nie powinien mieć tak dużej władzy. Stworzył więc coś o nazwie Starshield, co sprzedaje amerykańskiemu wojsku, które samo decyduje, jak tego używać. Tak więc historie o tym, że ma całą kontrolę nad Starlinkiem i nie rezygnuje z niej, są nieprawdziwe.

Pisał pan dotąd o postaciach historycznych lub pod koniec ich kariery, ale w przypadku Muska codziennie pojawiają się nowe nagłówki w mediach. Jak to wpływa na pracę biografą?

– Czuję się jak w rollercoasterze, ale po pewnym czasie zdałem sobie sprawę, że już rozumiem, jak działa umysł Muska i co nim kieruje. Dlatego myślę, że nawet biorąc pod uwagę wszystkie rzeczy, które zamierza zrobić w ciągu najbliższych lat,

książka pomaga dokładnie wyjaśnić, kim on jest.

SpaceX osiągnęło sukces w konstruowaniu rakiet wielokrotnego użytku, ale czy Musk poważnie traktuje pomysł, że ludzkość przetrwa tylko jako cywilizacja wieloplanetarna? Czy jest choćby najmniejsza szansa na to, że do 2050 r. na Marsie będzie mieszkać milion ludzi, jak zapowiada?

– Nie sądzę, by w ciągu najbliższych 20 lat udało się stworzyć kolonię na Marsie. Ale to Musk jest osobą, która najprawdopodobniej nas tam zabierze.

Elon Musk nie pozostawia nikogo obojętnym, albo się go kocha, albo nienawidzi. Do której grupy pan się zalicza?

– Kiedy zaczyna się poznawać człowieka, takie zero-jedynkowe kategorie przestają mieć zastosowanie. Jest wiele różnych wersji Muska, a niektóre wydają mi się ujmujące. Natomiast inne przypawiają mnie o ciarki i mrozą. Pozwalam czytelnikowi zdecydować, co o tym sądzić – i myślę, że czytelnik zda sobie sprawę, że istnieją pewne aspekty osobowości Muska, które są całkowicie niesamowite. A inne – całkowicie przerażające.

Sformułował pan jakieś moralne osądy w swojej książce?

– To nie jest moje zadanie. Miałem kiedyś wujka, który powtarzał mi, że z Luizjany pochodzą dwa rodzaje ludzi: kaznodzieje i gawędziarze. Na świecie jest dziś zbyt wielu kaznodziejów. Więc jestem tu nie po to, by dokonywać osądów, ale by opowiadać szczerze, bez słodzenia. Musk jest dziś kimś, nad kim w zasadzie nie ma żadnej kontroli. Robi rzeczy dobre i złe, ja tylko o tym piszę.

Na przykład że zakup Twittera był dla niego sposobem na zostanie „królem placu zabaw”.

– Bo kiedy był dzieckiem, plac zabaw był dla niego miejscem tortur. A Twitter jest najlepszym placem zabaw dla każdego: tam ludzie wymieniają się pomysłami, bawią się i przechwalają. Z tym że na Twitterze można dostać polajanki, doświadczyć hejtu, ale też mądrzy ludzie zyskują tam zwolenników i nie rozbi-

NASZAEUROPA

ja się nikomu głów o krawężniki, jak Elonowi, gdy był dzieckiem.

Na czym polega jego styl zarządzania i czy może pan wyjaśnić, w jaki sposób zderzyło się to z kulturą Twittera?
– Jest bardzo twardym menedżerem. A Twitter był bardzo miłą firmą. Wszyscy dbali o siebie nawzajem. Jeśli źle się czuleś, brałeś wolne w ramach „dnia zdrowia psychicznego”. Musk o takie rzeczy nie dba. On wierzy w wytrzymłość, w dążenie do celu z maniakalną intensywnością. Jeśli czuje, że ludzie nie starają się dostatecznie, zmusza wszystkich do pracy 24 godziny na dobę. I nie jest empatyczny, ma gdzieś, czy pracownicy lub ludzie wokół niego czują się dobrze. Widzi jedynie cel. Według niego, jeśli masz dużo empatii i dbasz o ludzi wokół, oznacza to jedynie, że nie będziesz wystarczająco mocno naciskać, aby wykonali zadanie. Nigdy nie byłbym taki, nie byłem taki, kiedy prowadziłem redakcję „Time”, ale spróbowałem opisać, z czego wynika ten jego styl.

Czy widzi pan jakiś sens w tym całym zapowiadanym „pojedyнку w klatce” z Markiem Zuckerbergiem?
– To hucpa, medialny show. On nie nadaje się do walki w klatkach z kimkolwiek. Ma za to szkolne poczucie humoru, którym trolluje ludzi. Lubi kpić, zwłaszcza gdy widzi, że ktoś nie zdaje sobie sprawy, że jedną z jego osobowości jest mały chłopiec.

Opisuje pan relacje Muska z Billem Gatesem czy Jeffem Bezosem...
– Musk podziwiał Gatesa i początki Microsoftu. Zawsze używał produktów Microsoftu zamiast otwartego oprogramowania i podziwiał Gatesa za to, że był jak on: surowy, zorientowany na cel, intensywny w pracy. Ale kiedy Gates próbował przekonać go do przekazania pieniędzy na walkę ze zmianami klimatycznymi, Musk dowiedział się, że jednocześnie obstawia w giełdzie spadek akcji Tesli. Wtedy doszedł do wniosku, że Gates to kolejny palant, który walczy ze skutkami zmian klimatu, ale podważa inwestycje w Teslę. Kilka tygodni później Gates próbował ponownie nawiązać kontakt, Musk odpisał tylko: „Nadal obstawiasz przeciwko Tesli?”. Gates pokazał wiadomość swojemu synowi Rory’emu, ten mu poradził: „Powiedz tak, a potem zmień temat” – i to właśnie próbował zrobić Gates. Musk uciął kontakt.

Relacja z Bezosem ma charakter rywalizacji?
– Konkuruje z nim, ale uważa, że to świetnie, że Bezos też zabrał się do produkcji rakiet. Myślę, że próbuje go zmusić, by był bardziej konkurencyjny. Uważa, że Bezos spędza zbyt dużo czasu na wakacjach i dlatego nie był dotąd w stanie umieścić rakiety na orbicie, ale myślę, że Musk docenia Bezosa za to, że próbuje.

A poglądy Muska na temat sztucznej inteligencji?
– Z całej literatury SF, którą czytał w młodości, Musk najbardziej lubił historie Isaaca Asimova, m.in. o tym, jak sprawić, by roboty nie krzywdziły ludzi. Kiedy powstał DeepMind, spotkał się z założycielami i inwestorami, ale był zły, gdy DeepMind został sprzedany Google’owi, ponieważ sporo rozmawiał o sztucznej inteligencji z Larrym Page’em i uważał, że nie dba on wystarczająco o bezpieczeństwo. To wtedy Musk zdecydował się założyć OpenAI z Samem Altmanem. No ale Musk nie lubi dzielić się władzą i rozstali się. Na początku tego roku dostałem wiadomość od Muska, że musimy porozmawiać. Właśnie spędziłem z nim tydzień w Teksasie, ale polecałem z powrotem, byliśmy w domu Shivon Zilis, zresztą matki dwójki jego dzieci, która pracowała nad AI w Neurolinku, firmie Muska, która będzie wszczepiać

chipy do naszych mózgów, abyśmy mogli lepiej się komunikować z maszynami. Musk wierzy, że jeśli będziemy bliżej związani z naszymi komputerami, nie będą same próbowały nas skrzywdzić. Rozmawialiśmy o tym przez długi czas i wtedy powiedział mi, że zamierza założyć firmę X AI.

Co chce z nią osiągnąć?
– Po pierwsze chatbot, taki jak ten od OpenAI. Ponadto jego AI będzie w stanie sama pisać kody programujące. Dawno temu Musk przeczytał „Autostopem przez galaktykę”, jest w niej opisany komputer, który miał odpowiadać na pytanie o życie, wszechświat i co to wszystko znaczy – i myślę, że Musk jest nadal pod zbyt dużym wpływem tej książki. I wreszcie, w przeciwieństwie do pierwszych chatbotów, którymi wszyscy się ekscytują, Musk wierzy, że to, co naprawdę się liczy, to rzeczywista sztuczna inteligencja, tj. maszyny, które mogą działać w świecie fizycznym, takie jak roboty i autonomiczne samochody. Nie tylko świetna sztuczna inteligencja modelująca lingwistycznie, ale też rzeczywista sztuczna inteligencja działająca w realu. Oznacza to przetwarzanie nie tylko słów, ale także elementów wizualnych, takich jak ulice czy hale fabryczne. W przypadku autonomicznych samochodów mamy do czynienia ze wszystkimi tymi danymi, takimi jak miliard stopklatek dziennie pochodzących z samochodów Tesla.

Przed naszą rozmową czytałem pana

informacji, jak ja. Nie wyciągną wniosków i nie ocenią sytuacji, w której siedziałem o trzeciej rano w wielkim hangarze koło rozgrzebanego statku kosmicznego i robiłem notatki, podczas gdy Musk próbował rozgryźć silnik Raptor. Minie jeszcze dużo czasu, zanim będziemy mieli roboty, które mogą po prostu chodzić, patrzeć na rzeczy i robić notatki.

Powiedział pan kiedyś, że sieci społecznościowe podminowały demokrację. Czy po napisaniu biografii właściciela Twittera/X nadal podtrzymuje pan to?
– Tak, algorytmy sieci społecznościowych mają tendencję do dzielenia nas, do grania na naszym gniewie i lęku, zamiast zbliżać nas i jednoczyć. Nie chodzi tylko o to, że ludzie propagują dziwaczne poglądy. Jak powiedział Musk, chcemy wolności słowa, ale niekoniecznie wolności zasięgu, tj. nie chcemy wzmacniać rzeczy, które nas dzielą. To trudne w erze cyfrowej. Pracowałem w CNN i wiem, że konflikt i złość docierają do większej liczby widzów. Myślę, że możemy to naprawić, ale obecnie model biznesowy polega na próbie przyciągnięcia uwagi ludzi, a to zbyt często oznacza podgrzanie ich gniewu.

Musk przedstawia się jako absolutysta wolności słowa, ale akceptuje cenzurę ze strony totalitarnych rządów. To nie jest sprzeczność?
– Mówi, że wierzy w wolność słowa do

Kiedy w zeszłym roku wyłączył Starlink nad Krymem, aby powstrzymać atak ukraińskich dronów na rosyjskie okręty, sam zdał sobie sprawę, że nie powinien mieć tak dużej władzy. Stworzył więc coś o nazwie Starshield, co sprzedaje amerykańskiemu wojsku, które samo decyduje, jak tego używać

książki, fragmenty biografii Muska, słuchałem jego wystąpień – zajęło mi to kilka dni. Następnie poprosiłem ChatGPT o zasugerowanie 20 pytań od tego wywiadu – i zajęło to mniej niż minutę. Czy moja praca jest zagrożona?
– Według Muska rozwiązaniem jest mocne połączenie człowieka z maszyną. My wniesiemy kreatywność i wyobraźnię, a one – zdolność przetwarzania danych. Z pewnością wiele miejsc pracy będzie zagrożonych, tak jak wtedy, gdy wynaleziono bankomaty i samoobsługowe stacje benzynowe. Musk wierzy jednak, że połączenie ludzkiej kreatywności i mocy obliczeniowej maszyn zawsze będzie potężniejsze niż same maszyny lub sami ludzie.

Ale czy sztuczna inteligencja będzie w stanie napisać dobrą biografię Nikoli Tesli lub Isaaca Newtona?
– Będzie w stanie gromadzić dane, które zostały już stworzone przez ludzi, np. informacje o Newtonie, ale twierdzę, że w dającej się przewidzieć przyszłości ludzie nadal będą lepsi w empatycznym opowiadaniu historii. Wyobrażam sobie, że za 10 lub 15 lat pojawią się książki narracyjne pisane przez AI. Ale nie zbiorą zupełnie nowych

granic tego, na co pozwala prawo. W różnych krajach prawo zezwala na różne rzeczy. W Stanach mamy pierwszą poprawkę i szerszy zakres wolności słowa. W Niemczech są pewne rzeczy, które nie są dozwolone, jak negowanie Holocaustu. W Chinach wolność słowa to fikcja. Są chwile, kiedy myślę, że Musk jest hipokrytą, kiedy mówi o wolności słowa, ale wpada w złość i próbuje brać odwet na tych, którzy wzywali do bojkotu reklamodawców na Twitterze, lub banuje ludzi, którzy donosili, gdzie leci jego samolot.

Podobają się panu dzisiejsze media w Ameryce?
– Stały się zbyt zależne od reklam, więc gonią za kliknięciami. W przyszłości, gdy sztuczna inteligencja będzie potrzebować dobrych danych, większą wartość będą miały informacje wysokiej jakości, czyli takie, za które ludzie teraz płacą. W tej chwili, jeśli chcesz treści z witryny, która pobiera opłaty, zazwyczaj musisz ją subskrybować. Nie można po prostu kupić pojedynczego artykułu z „New York Timesa” i to jest w porządku: ludzie prenumerują po kilka gazet. Ale to nie przetrwa. To, co Musk próbuje zrobić z X, to uczynić z niego płatną platformę,

która pozwoli twórcom treści zarabiać, jeśli ludzie zdecydują się zapłacić 1 lub 2 dolary za pojedynczy artykuł, kolumnę opinii lub wideo, tak jak zrobił to Steve Jobs z muzyką, pobierając 99 centów za utwór. To może zmienić dziennikarstwo.

Czy uważa pan, że Trump stanowi zagrożenie dla demokracji?
– Tak, próbował odwrócić wynik ostatnich wyborów, co wykraczało daleko poza samo kwestionowanie wyników w sądach, a następnie zachęcał ludzi, od wiceprezenta Mike’a Pence’a po urzędników stanu Georgia, do robienia rzeczy, które podważają istotę demokracji, czyli pokojowe przekazanie władzy na podstawie głosów. Musk, gdyby pan był ciekaw, nazywa Trumpa oszustem.

Ale dlaczego ktoś, kto został już czterokrotnie oskarżony o dziesiątki przestępstw, prowadzi w sondażach Republikanów?
– Duża część Partii Republikańskiej uznała, że on im załatwi jakąś ich agendę. Myślę, że jest to wzór, który obserwujemy na całym świecie, i trzeba zrozumieć, co powoduje tę niechęć do demokracji. Wolny handel i globalizacja dały wielu ludziom bogactwo, ale wielu pozostawiły w tyle. Imigracja może nam się wydawać korzystna, ale zagraża ona również egzystencji niektórych społeczności. Nierówność majątkowa, niesprawiedliwość systemu, protekcyjna elita – to pomaga tylko populistom.

Joe Biden wygrał wybory, mówiąc, że chce zjednoczyć kraj, ale polaryzacja wzrosła. Jest jakieś lekarstwo?
– Nadal uważam, że gorączka może minąć, ale ludzie muszą czuć, że system jest sprawiedliwy, a przywrócenie tego zajmie trochę czasu, skoro załamanie zaufania trwa już od kryzysu finansowego z 2008 r. W wielu miejscach w Ameryce, w tym w moim Nowym Orleanie, ludzie są ponad polityką i dbają o tworzenie nowej gospodarki, o pomoc lokalnym przedsiębiorcom. W całym kraju są kreatywne miasta, w których nie ma tak dużej polaryzacji.

A więc mówienie o widmie wojny domowej to przesada?
– Tak. Jestem historykiem, więc znam ryzyko fałszywych analogii do przeszłości. Pamiętam też późne lata 60., kiedy nie było wojny domowej, ale wiele niepokojów społecznych – owszem, zamieszki na tle rasowym czy bunt przeciwko wojnie w Wietnamie. Jestem optymistą i myślę, że 70 proc. tego kraju może się zgodzić w 70 proc. kwestii i nadal całkowicie popierać demokrację konstytucyjną. ●
tłum. Łukasz Grzymisławski

Polski papież i polska niewinność – to dwa podstawowe fronty wojny polityki historycznej PiS

WITOLD MROZEK

Kto jeszcze pamięta, ile było planowanych terminów otwarcia nowego Muzeum Historii Polski na warszawskiej Cytadeli? Teraz muzeum otworzy się tuż przed wyborami, ale... wciąż bez wystawy. Ten pusty budynek to, można powiedzieć, symbol – polityki historycznej jako instytucjonalnej formy, którą władza, ta albo inna, wypełni takimi

albo innymi treściami.

„Ofensywa muzealna” – minister kultury Piotr Gliński często używa tego militarnego sformułowania. Wiadomo przecież, że jesteśmy na wojnie kulturowej. A jak to często na wojnie bywa, strona nacierająca lubi przedstawiać się jako ci, którzy się bronią.

Tak robi i Gliński. Choć przyznajmy, nie on jeden odpowiada za muzealną ofensywę – „swoje” Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL powołał chociażby i minister Ziobro (w dawnym areszcie przy warszawskiej Rakowieckiej, teraz przejął je IPN). To Gliński jednak z „muzealnej ofensywy” uczynił główny temat swojej polityki. PiS „od 2015 odbudowuje polską tożsamość” – perorował w Sejmie pod koniec ubiegłego roku. Tak jakby trzeba było wykonywać pracę rekonstrukcji polskości po zaborach, wśród wynarodowionych chłopów.

Na czym więc ma ta „odbudowana” polska tożsamość się opierać? Polski papież i polska niewinność – to dwa podstawowe fronty wojny polityki historycznej PiS przez ostatnie osiem lat. Jej materializacją są muzea – te już wybudowane i te, których budowa nie chce się skończyć.

PAPIEŻ PLAKATEM WYBORCZYM

Zacznijmy od papieża. Przypomnieć tu można stwierdzenie z programu PiS z 2019 roku: „Kościół katolicki jest depozytariuszem i głosiцеlem powszechnie znanej w Polsce nauki moralnej. Nie ma ona w szerszym społecznym zakresie żadnej konkurencji, dlatego też w pełni jest uprawnione twierdzenie, że w Polsce nauce moralnej Kościoła można przeciwstawić tylko nihilizm”.

To przekonanie znalazło potwierdzenie w licznych gestach obrony „dobrego imienia Jana Pawła II”. W tym interwencjach u amerykańskiego ambasadora po reportażu „Franciszkańska 3” w TVN (pokazującym, że arcybiskup Karol Wojtyła wiedział o przypadkach pedofilii w swojej diecezji) czy deklaracji marszałek Sejmu Elżbiety Witek z jej te-

gorocznego orędzia. „Bo niezależnie od tego, w co wierzymy i jakie mamy poglądy, są dla nas wspólne insygnia tożsamości. Jest nasz orzeł biały, nasza biało-czerwona flaga, obraz Matki Boskiej Częstochowskiej i portret Jana Pawła II. W najsmutniejszych czasach to te symbole trzymały nas przy życiu” – mówiła Witek.

Co w praktyce daje PiS-owi państwowy kult Jana Pawła II? Po pierwsze, laicyzacja Polek i Polaków w połączeniu z silną polaryzacją społeczeństwa wzmacnia pozycję partii rządzącej jako jedynej obrończyni politycznych interesów Kościoła. Tym bardziej betonuje więc betonowy elektorat PiS. Wyborców ma przy PiS trzymać zarówno przekonanie o wyjątkowości Polski płynące z papieskiego dziedzictwa, jak i lęk przed

znieważeniem narodowego skarbu, którym jest Jan Paweł II.

Nie przypadkiem jednym z pierwszych kroków było uczynienie muzeum w Świątyni Opatrzności Bożej w warszawskim Wilanowie muzeum narodowo-kościelnym. Czyli: wspólnym prowadzonym przez ministra kultury i arcybiskupa metropolię warszawskiego. Oznacza to, że minister nie może np. powołać tam dyrektora bez zgody arcybiskupa. Pełna nazwa placówki brzmi: Muzeum Jana Pawła II i Prymasa Wyszyńskiego.

Co według twórców wystawy w Świątyni Opatrzności spowodowało przemiany w Polsce pod koniec lat 80. XX w.? „Wokół Jana Pawła II zawiązuje się wspólnota, która będzie się umacniać z każdym etapem pielgrzymki. W efek-

cie powstaje NSZZ »Solidarność« – związek zawodowy, który przyczyni się do obalenia komunizmu”. Tak, drodzy Państwo, papież nie tylko obalił komunizm, ale i sam założył „Solidarność”.

Że głębsze wchodzenie w historię czy papieskie nauczanie nikogo nie interesuje, pokazała jedna z akcji TVP „w obronie papieża”. Rządowa telewizja zapowiedziała wtedy emisję kazań papieża Polaka w porze najlepszej oglądalności, po „Wiadomościach” TVP 1, około godz. 20.

Myliłby się jednak ten, kto sądziłby, że faktycznie narodowa telewizja puściła w całości jakieś kazanie. Widzom TVP zafundowano sample – swoiste YouTube party z papieskim „the best of”. Emitowano miks krótkich fragmentów przemówień

z najlepiej znanymi cytatami. Znacze? To posłuchajcie: „Każdy z nas ma swoje Westerplatte”, „Niech zstąpi Duch Twój i odnowi oblicze ziemi, tej ziemi!”. I tak dalej.

BEATYFIKACJA DZIECKA NIENARODZONEGO

Że PiS będzie grać na polskim antysemityzmie, było wiadomo, jeszcze zanim doszedł do władzy, na wiosnę 2015 roku. Andrzej Duda, wówczas jeszcze kandydat na prezydenta, praktycznie zanegował polskie sprawstwo zbrodni w Jedwabnem w debacie z Bronisławem Komorowskim (18 maja 2015 r.). Odnosząc się do wypowiedzi Komorowskiego o Polakach, że „naród ofiar by-



ILUSTRACJA BARTOSZ T. WIELIŃSKI

wał także sprawcą”, Duda zarzucił kontrkandydatowi, że rzuca „kłamliwe oskarżenia” i „niszczy rzeczywistość pamięć historyczną”.

Te słowa Dudy stały się później programem polityki narodowego wyparcia – i tak to trwa. Nie-wyobrażalne wydają się dziś gesty takie jak ten Aleksandra Kwaśniewskiego z 2001 roku, kiedy jako głowa polskiego państwa przeprosił rodziny pomordowanych Żydów w imieniu całego narodu. Kwaśniewski 22 lata temu podkreślił, że mord ten był „dokonany z hitlerowskim przyzwoleniem, z hitlerowskiej inspiracji”. Dokonali go jednak Polacy.

Przez osiem lat ludzie PiS próbowali stłumić budowaną wcześniej w Polsce ostrożność i z mozołem pamięć o skomplikowaniu, tragizmie i ciemnych stronach historii polskich ziem podczas wojny i tuż po wojnie.

Mówiąc w skrócie: chodzi o to, by pewne fakty wyeksponować, a inne schować. Polega na tym każda polityka historyczna, jednak PiS uprawia ten proceder wyjątkowo radykalnie.

Weźmy Muzeum Polaków Ratujących Żydów im. Rodziny Ulmów w Markowej, podniesione do rangi instytucji narodowej. Wielokrotnie już badacze polskiej pamięci zbiorowej zwracali uwagę na to, że to, co robi PiS z polskimi Sprawiedliwymi, stanowi perwersyjny paradoks. To znaczy: z jednej strony czci ich bohaterstwo i wynosi na piedestał – bardzo zresztą słusznie. Z drugiej jednak obóz PiS przekonuje, że postawa wobec Żydów właściwa dla Sprawiedliwych była w gruncie rzeczy powszechna, a przynajmniej bardzo popularna wśród Polaków czasów hitlerowskiej okupacji. W ten sposób mimo woli, ale zgodnie z żelaznymi prawami logiki, odbiera Ulmom i innym Polakom ratującym Żydów wyjątkowość.

Teraz, przy okazji beatyfikacji, dodatkowo jeszcze polscy politycy wpisali Ulmów, wychowanków przedwojennych lewicujących chłopskich organizacji, w kampanię antyaborcyjną – powtarzając wielokrotnie przekaz o „pierwszej beatyfikacji dziecka nienarodzonego”. Mówili tak prezydent Duda, ministrowie Gliński czy Czarnek – mimo sprzeczności ze stanowiskiem Watykanu.

MUZEUM DMOWSKIEGO Z HITLEREM W SZAFIE

Ulmowie czy Pilecki, będący niepodważalnymi bohaterami, to oferta polityki historycznej dla szerokiego grona Polaków i Polek. Ale w ostatnich latach swoich rządów PiS najtroskliwiej zabiega o uwagę tych, którzy od tej założonej „normy” są daleko albo jeszcze dalej na prawo.

Przed wszystkim: różnej maści narodowców. Przykładem tego może być Fundusz Patriotyczny – powołany przez Mateusza Morawieckiego w 2020 r. Pieniądze z Funduszu rozdaje Instytut Dmowskiego (pełna nazwa: Instytut Dziedzictwa Myśli Narodowej im. Romana Dmowskiego i Igna-

cego Jana Paderewskiego). Z Funduszu przyznaje się wysokie dotacje stowarzyszeniu Marsz Niepodległości i bliskim mu organizacjom. Pieniądze dostaje też chociażby Młodzież Wszechpolska.

To nie są zmyślenia brukselskich urzędników czy też publicystów żydowskich, niemieckich ani marsjańskich. Od kilku lat polski rząd otwarcie finansuje organizacje maszerujące wspólnie z neofaszystami. Aby, jak mówi regulamin Funduszu Patriotycznego, „ukazać historię narodową jako cenne źródło wartości, wzorców i odniesień”.

Ale Fundusz – co roku 30 mln zł – to nie wszystko. 23,8 mln złotych polski rząd przeznaczył na budowę siedziby dla tworzono- go przez Instytut przyszłego Muzeum Dmowskiego – i przy okazji dla samego Instytutu. Jednocześnie nie przeczytamy w materiałach publikowanych na stronie Instytutu Dmowskiego, że Dmowski był antysemitą i otwarcie kibicował Hitlerowi – to nie zmyślenia ani retoryczna przesada.

Fragmentów wskazujących na jawnie prohitlerowskie sympatie Dmowskiego nie usunięto z nowego wydania jego pism zebranych, wznowionych w 2021 r. I znów – bardzo dobrze, skoro już wznawiać Dmowskiego, to by przypominać, że był fanem Hitlera i antysemitą. W 1932 r., przed dojściem Hitlera do władzy, Dmowski najbardziej bał się, że ten nie da sobie rady z Żydami, którzy – tradycyjnie według Dmowskiego – mają w niemieckim państwie duże wpływy.

Po roku, w 1933, patron pisowskiego instytutu zreflektował się jednak i ostatecznie przekonał do polityki Adolfa Hitlera: „Dziś, gdy hitlerowcy są u władzy, trzeba stwierdzić, że wykazali o wiele większą siłę i konsekwencję w przeprowadzaniu swego programu wewnętrznego, niż można było jeszcze niedawno się spodziewać. Zarówno stanowisko ich względem Żydów i masonerii, jak i walka z rozkładem moralnym, świadczy, że celem ich polityki jest uzdrowienie”. Nowe wydanie książki „Przewrót” Dmowskiego z tym fragmentem sprzedaje fundacja Magna Polonia Przemysław Holochera, długoletniego współpracownika finansowanego przez PiS Roberta Bąkiewicza, towarzysza boju o Wielką Polskę z czasów w ONR.

Czy w finansowanym z naszych podatków Muzeum Dmowskiego będzie coś o „uzdrowieńczych” fascynacjach jego patrona Hitlerem, czy jednak przywódce III Rzeszy schowa się do szafy?

WOJNA JAKBY WCZORAJ

Roman Dmowski zmarł 2 stycznia 1939 r., osiem miesięcy przed momentem, w którym „uzdrowieńcza” polityka Hitlera ostrzelała Westerplatte, zbombardowała Wieluń i zaczęła naloty na Warszawę. Dzięki temu pisowscy inżynierowie pamięci zbiorowej mogą – albo myślą, że mogą – jednocześnie czcić entuzjastę Hitlera i podnosić hasła ża-

dań reparacji od Niemiec 78 lat po zakończeniu II wojny światowej.

Propagandzie w tym obszarze służy Instytut Strat Wojennych im. Jana Karłowicza – przewodniczącym jego rady jest Arkadiusz Mularczyk, polityk PiS odpowiedzialny za temat niemieckich reparacji. ISW zarzucił Polskę plakatami ultraprawicowego artysty Wojciecha Korkucia, zwracającymi uwagę, że więźniami pierwszego transportu do Auschwitz 14 czerwca 1940 r. byli Polacy, często zatrzymywani z powodów politycznych, jako przedstawiciele lokalnych elit – jak choćby nauczyciele – czy uczestnictwa w organizacjach niepodległościowych.

Tu znów dotykamy toksycznego charakteru polityki historycznej PiS – czy Polacy doświadczyli olbrzymich cierpień, śmierci i głodu w związku z II wojną światową? Oczywiście. Ale chwalenie się etniczną polskością pierwszych ofiar Auschwitz, symbolu Zagłady Żydów, gdzie zginęło ich najwięcej, ma cechy niezdrowej rywalizacji i ponownej selekcji ludzi ze względu na przynależność religijną, narodową czy etniczną. Jakby głównym celem jest pokazać, że pierwsi więźniowie Auschwitz wcale nie byli Żydami, tylko „prawdziwymi” Polakami.

Zwłaszcza że żerowanie na poczuciu historycznej krzywdy połączone z podnoszeniem tematu reparacji wojennych, który Gliński z kolegami w ostatnim czasie uczynili tematem przewodnim, ma na celu nie tyle uzyskanie jakichkolwiek realnych pieniędzy od Niemiec, ile zbudowanie ku-



Z programu PiS: w Polsce nauce moralnej Kościoła można przeciwstawić tylko nihilizm

riozalnej paraleli między bombami spadającymi na Warszawę, kominami Auschwitz i mordami na ludności cywilnej a dzisiejszymi starciami nieudolnych pisowskich polityków z „dyktatem nurtem europejskiej polityki i europejskimi wartościami. Trudno o lepszą – to jest bardziej dosadną – ilustrację tezy, że polityka historyczna „wczoraj” zawsze używa w służbie dzisiejszych politycznych celów.

PRZYKRYĆ TO, CO SENSOWNE

Kampania Instytutu Strat Wojennych pokazała zresztą zaostrożanie się przekazu rządu PiS w miarę kolejnych lat jego rządów, a zarazem

postępującą merytoryczną degrengoladę.

Gdy na początku swoich rządów PiS zakładał Instytut Solidarności i Męstwa im. Witolda Pileckiego, można było dyskutować o sensowności niektórych elementów tego projektu, określonego „polskim Yad Vashem”. O ile chociażby przyznawanie nie-Polakom ratującym Polaków medali „Virtus et Fraternitas” mogło – mimo całej szlachetności pomysłu – razić bliskością do odznaczania Sprawiedliwych wśród Narodów Świata, o tyle już nikt raczej nie polemizował z sensownością tłumaczenia gigantycznego archiwum tużpowojennych zeznań ofiar okupacji i Zagłady na języki zachodnie, dla zagranicznych historyków. A to właśnie był jeden z podstawowych celów założonych przez obecną dyrektorkę Instytutu Pileckiego, a wówczas tworzącą go wiceministrę kultury, dr hab. Magdalenę Gawin.

Ciężko zestawiać Instytut Pileckiego i Instytut Strat Wojennych – ale oba zrodziła ta sama polityczna agenda. Dominuje ona w myśleniu PiS tak mocno, że trudno w ogóle uwzględnić w takim podsumowaniu te parę dobrych rzeczy, które Gliński zrobił dla polskich muzeów.

A takie dobre rzeczy były. Chociażby uratowanie Muzeum Techniki w warszawskim Pałacu Kultury, dziś Narodowego Muzeum Techniki. Prowadzonemu przez organizację pozarządową, odziedziczonemu po PRL i częściowo po II RP bardzo ciekawemu muzeum z unikalnymi zbiorami groziła eksmisja i likwidacja. Wcześniej przez lata resorty nauki, gospodarki i kultury przerzucały się, z warszawskim ratuszem na

przez pierwsze lata był wiele razy krytykowany za zbyt „liberalizm” przez skrajne skrzydło obozu prawicy, od Bronisława Wildsteina po Media Narodowe, Konfederację i innych neofaszystów – ostatecznie sam utwardził się na pozycjach skrajnych. Co widać choćby po decyzjach kadrowych w Centrum Sztuki Współczesnej Zamek Ujazdowski czy Zachęcie, nie mówiąc o powołaniu Instytutu Dmowskiego.

MUZEUM ŻYDÓW POLSKICH, CZYLI PUNKT ZWROTNY

Zaryzykowałbym tezę, że dla Glińskiego punktem zwrotnym była sprawa Muzeum Polin. Przypomnijmy: gdy w 2019 roku skończyła się tam dyrektorska kadencja prof. Dariusza Stoli, Gliński najpierw rozpiął konkurs na nowego dyrektora, a potem – gdy prof. Stola go wygrał – minister przez rok nie powoływał go na stanowisko. Dlaczego w ogóle w Polinie odbył się konkurs? Gliński nie mógł przeprowadzić tam zwyczajnej czystki personalnej, bo to cenione muzeum współprowadzą na mocy specjalnej umowy z ministerstwem warszawski ratusz i stowarzyszenie Żydowski Instytut Historyczny, które ma za sobą zagranicznych darczyńców.

Muzeum Polin stało się ulubionym celem retorycznych wycieczek rozmaitych prawicowych harcówników – od Rafała A. Ziemkiewicza po przedstawicieli mediów bliskich ONR. A Gliński nie miał ani siły, ani chyba ochoty, by się im przeciwstawić. Po prostu – polski minister kultury bał się bliskich „swojej” władzy antysemitów. W efekcie jeszcze mocniej poszedł w prawo. Tak, Gliński powołał Instytut Dmowskiego w tym samym miesiącu, lutym 2020 r., kiedy ostatecznie – pod presją Glińskiego właśnie – zrezygnował prof. Stola.

POLITYKA WYMSKNIĘĆ

Jak niemal każdy obszar działań PiS również polityka historyczna meandruje między złowrogim i mocarstwowym programem a groteskową nieudolnością realizacji. Nie da się więc nie zauważyć, że muzeum budowane przez Glińskiego z Rydzykiem w Toruniu wciąż nie powstało – choć miało stanąć już w 2020 r. A także że próby wprowadzenia nowelizacji ustawy o IPN prawnego karania, również za granicą, za mówienie prawdy o polskim współudziale w zbrodniach Zagłady spełzły na niczym – po dyplomatycznym skandalu z udziałem Izraela i Stanów Zjednoczonych. Wreszcie, że próby stworzenia Wielkiego Filmu o Polskiej Historii, najlepiej z udziałem Hollywood, przynosiły efekty w najlepszym razie bardzo przeciętne; nie udało się ciekawie i atrakcyjnie opowiedzieć historii ani Jana Karłowicza („Kurrier” w reż. Władysława Pasikowskiego z 2019 r.), ani Witolda Pileckiego (tegoroczny, wyjątkowo drogi „Raport Pileckiego” w reżyserii Krzysztofa Łukaszewicza, przejętej po Leszku Wosiewicz).

Ale PiS przez ostatnie lata budował swoją politykę historyczną nie tylko muzealnymi inwestycjami i programami realizowanymi z większym lub mniejszym sukcesem. Na przekaz historyczny władzy składały się też lapsusy i gesty tak kuriozalne, że trudno było rozstrzygnąć, czy były tak nieprzemyślane, czy przeciwnie – niestety, wysoce wykalkulowane.

Jak wtedy, gdy premier Mateusz Morawiecki złożył pod Monachium kwiaty na grobowcu żołnierzy Brygady Świętokrzyskiej. Czyli jednostki, która współpracowała z niemieckim hitlerowskim Wehrmachtem – sytuacja w polskiej historii wyjątkowa – i miała nawet oficera łącznikowego z SS. Brygada Świętokrzyska jest obiektem kultu skrajnej prawicy w Polsce, bo walczyła z komunistami – obecny w niej esesman zdaje się jej fanom nie przeszkadzać. Tego samego dnia Morawiecki w Niemczech mówił o „żydowskich sprawcach Zagłady”, wywołując oburzenie.

Podobny lapsus ma w swoim dossier także minister Gliński, mówiący podczas konferencji inaugurującej Muzeum Getta Warszawskiego o „muzeum ośmiuset lat miłości między narodami polskim i żydowskim”. Oba lapsusy Morawieckiego i lapsus Glińskiego miały miejsce zresztą niemal jednocześnie – w apogeum konfliktu z Izraelem i Stanami Zjednoczonymi o nowelizację ustawy o IPN.



Czy w finansowanym z naszych podatków Muzeum Dmowskiego będzie coś o „uzdrowieńczych” fascynacjach jego patrona Hitlerem?

WOŁYŃ, CZYLI W POPRZEK PODZIAŁÓW

Ustawa o IPN z 2018 r. uderzała nie tylko w stosunki z Izraelem, ale i z Ukrainą. Przez pierwsze sześć lat rządów PiS Ukrainę w najlepszym razie ignorował, a nie stronił też od gry antyukraińskimi resentymentami historycznymi. Podobnie jak w przypadku stosunków polsko-żydowskich partia Jarosława Kaczyńskiego była tu celem szantaży z prawej strony – choćby Ruch Narodowy, dziś w Konfederacji, próbował naśladować węgierski Jobbik, walcząc w obronie jej zdaniem dyskryminowanych na terenach Ukrainy (ale też np. Litwy) Polaków.

Nagła zmiana sytuacji w związku z inwazją Putina wywołała na prawicy burzę i dezorientację. Warto przypomnieć, że najbardziej prorządowy i otwarcie sponzorowany przez PiS-owskie spółki tygodnik „Sieci” braci Karnowskich opublikował tuż po inwazji długi na 11 stron wywiad z ambasadorem Rosji, tłumaczącym rosyjskie racje i rosyjski punkt widzenia.

Opozycja wytykała PiS-owi niekonsekwencje, prorządowi komentatorzy sami byli niekonsekwentni. Jednych i drugich zaskoczył w lipcu tego roku Andrzej Duda, decydując się na spotkanie z Wołodymyrem Zelenskim w 80. rocznicę rzezi wołyńskiej. Prezydenci spotkali się w rzymskokatolickiej katedrze w Łucku i oddali wspólnie cześć ofiarom rzezi. Świątynia rzymskokatolicka jest w ukraińskim kontekście kojarzona z zdecydowaniem z polonizacją – Zelenski jednak się w niej pojawił i razem z Dudą mówił o Wołyniu. Dudę skry-

tykował za to ostro zarówno własny obóz polityczny, jak i wiele osób po opozycyjnej stronie – za „symetryzm win”, za brak otwartego „przepraszam” ze strony Ukrainy. O „moralnej i politycznej klęsce Dudy” można było przeczytać zarówno w „Sieciach”, „Do Rzeczy”, jak i w Onecie, gdzie pisał o tym doświadczony dyplomata i ekspert od Wschodu Witold Jurasz. Z drugiej strony – wicenaczelną „Wyborczej” Roman Imielski pisał z uznaniem o „kolejnym kroku” do pojednania.

Co będzie dalej, jakie będą następne kroki? Ten obszar polityki historycznej na razie jest otwarty i nieprzewidywalny. To, co jednak odróżnia politykę historyczną rządu wobec Ukrainy od tematu niemieckiego, a nieraz i żydowskiego, to że PiS stara się tu raczej nie drażnić swoich wyborców – a nie mobilizować ich czy po prostu szcuć.

CO DALEJ, CZYLI O KONIECZNOŚCI DEZENDEKIZACJI POLSKI

Wiele osób żyje dziś nadzieją na wciąż możliwą zmianę władzy jesienią. Powstaje więc pytanie – jak te osiem lat utwardzania coraz bardziej skrajnie prawicowej polityki historycznej odkręcić?

Nie obędzie się bez odważnych decyzji co do placówek tworzonych dziś przez PiS. Są to instytucje powołane do utwierdzania skrajnie prawicowego światopoglądu.

du. Mają to w swoim DNA. Prosta zmiana dyrektora, skrajnie prawicowego historyka, na historyka mocno konserwatywnego, ale „naszego” – nie wystarczy. Choć można wyobrazić sobie scenariusz, w którym na czele Instytutu Dziedzictwa Myśli Narodowej im. Dmowskiego i Paderewskiego staje jakiś krytyczny specjalista od skrajnej prawicy. I, wyobrażajmy sobie dalej, zamienia tę placówkę w instytucję, której zadaniem jest powiedzieć „nigdy więcej” antysemityzmowi, nacjonalizmowi, szowinizmowi. I monitorować skrajną prawicę, zamiast ją finansować.

To oczywiście koncepcja na prawie felietonu. Ale odważne posunięcia będą potrzebne. Czy dzisiejsza opozycja odważy się na podobny pomysł? Dezendekizacja Polski stanie się – w razie zwycięstwa sił demokratycznych i proliberalnych – zadaniem, którego nie będzie można zlekceważyć. ●

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Wiktor Hugo*

Podróż w nocy

Świat wątpi, dyskutuje, klóci się, zaperza,
Każda jego religia to brzęcząca wieża;
Jeden ksiądz woła: „Świętość!” Drugi krzyczy: „Bzdura!”
Każda świątynia, ciągnąc za swój koniec sznura,
Śród uroczystej grozy i tajemniczości
Wydobywa odmienny ton z dzwonu wieczności.
Nikt nie zna dna ciemności ni blasku jutrzeńki.
Ślepiec w bocianim gnieździe, u steru bezręki:
Jak gdyby oszalała człowiecza załoga;
Ledwie za progi piekła wywiodła nas droga,
Ledwie do barbarzyństwa wzniesliśmy się z dziczy,
Ledwie w tej mgłę, gdzie człowiek marzy, wzdycha, krzyczy
W mocy zła, co przytłacza mu serce i myśli,
Poza najgorsze pierwszy krok postawiliśmy,
A już stary czas wraca, chwytą nas za nogi
I krzyczy: „Stój!” Sokrates woła: „Naprzód! Z drogi!”
Chrystus mówi: „Wciąż naprzód! Idźcie wciąż przed siebie!”
Mędrcze, apostoł wzajem pytają się w niebie:
„Jaki ma smak cykuta? Jaki jest smak żółci?”
Szatan widząc, jak ludzie przez ludzi są szczuci,
Jak podli są, niewdzięczni, za ręce ich bierze.
My błąkanie się wiedzą zwiemy w dobrej wierze.
Wokół nas otchlań wszędzie ze złowrogim drżeniem
Otwiera się, zamyka. Z równym przerażeniem
Śledzimy pochłoniętych i wyrwanych z paszczy.
Postęp, koło o trybach podwójnych, wciąż miazdży
Kogoś po to, by naprzód popchnąć jakąś sprawę.
Upojne są trucizny, a radości krwawe.
Z melancholijnym, smętnym prawem walczą zdrada
I zbrodnia. Sztylet pyta, szafot odpowiada.
I słyszymy nie znając początku ni końca
Zdani na noc, na głód nasz, na życie bez słońca,
Jak się cień-Ignorancja i czerw-Nęcza śmieją.
Czy lilia jest pewnością, a gwiazda nadzieją?
Ja – tak, ty – nie, mówimy, chociaż nikt nie kłamie.
Blask, cień to samo twierdzą. Nie wierz im, Adamie!
My w dziecku dostrzegamy noc i noc w kobiecie;
Z własną duszą sprzeczamy się o miejsce w świecie;
Smagani żarem albo wichrem lodowatym
Idziemy w nieskończoność przez wszystkie klimaty.
I wszystko mgłą jest; gwiżdżąc wiatr w porywie złości
Jak czarne chmury pędzi nasze namiętności.
Człowiek się wznosi, mówi Rousseau, de Maistre: spada!
Boże! Drżący, podobny raczej do widziadła
Olbrzym, okręt bez steru przez wichry opadły,
Czarny glob, który płynie w morzu gwiazd pobladyłych,
Unosząc zło, nieszczęście, ludzką naszą trwogę,
Kołysze się, żegluguje i zna swoją drogę.
Z ciemnych niebios, na których kwitnie czasem błękit,
Na kołysanie statku spada dreszcz jutrzeńki.
Chwilami los jaśnieje od promieni świtu;
Wiemy wtedy, że niesie nas w stronę błękitu.



*Wiktor Hugo - 1802-85, francuski poeta, dramaturg, powieściopisarz, polityk, przywódca i teoretyk romantyzmu. Jeden z najważniejszych francuskich pisarzy XIX wieku.
Wiersz za: Hugo, „Poezje polityczne”, przełożył i opracował Zbigniew Bieńkowski, PIW, Warszawa 1954.

Wracamy za mur

Polska literatura przestała w Niemczech istnieć. Spośród wielu anihilacji przeprowadzonych przez PiS ta akurat wydaje się nic nieznaczącym epizodem ogólnego zniszczenia, niemniej boli mnie w dwójnásób

SiwCzyk

Wiele lat temu, w czasach ministerialnego dyrektoriatu Waldemara Dąbrowskiego, polska literatura była towarem eksportowym na rynek niemiecki. Świetnie funkcjonowały wzajemne kontakty, co bardziej czytliwi pisarze polscy zdobywali serca niemieckich odbiorców literatury wysokoartystycznej. Ministerstwo Kultury dbało o te kontakty, widząc w nich najpewniej szansę na opłacalny transfer dobrej, polskiej literatury w syte, stypendialne serca niemieckich luminarzy kulturalnych. Udało się nawet poruszyć serce tak złośliwe jak to Marcela Reicha-Ranickiego.

Byliśmy – jako literatura narodowa – żywo dyskutowani za Odrą. Mówiono o nas nie jako o dziwadłach duży polskiej, tylko jako o poważnych zawodnikach, sprawnie układających wersy i opowieści o przemianach demokratycznych i wiążących się z nimi transformacyjnych traumach. Polska literatura mówiła coś ważnego o doświadczeniu środkowoeuropejskiej wspólnoty, głęboko przeoranej przez historię pojałtańskich układów geopolitycznych. Przy okazji chwalono ją za faktyczne uzyskanie estetycznej niepodległości.

Oryginalność głosów polskiej poezji i prozy współczesnej została szybko dostrzeżona przez łapiących postmodernistyczną zadyszkę pisarzy niemieckich. Niedawno amerykańskie pismo „World Literature Today” zwróciło się do mnie z prośbą o próbę uchwycenia momentu wejścia polskiej literatury w krwiobiegu europejski po 1989 roku. Odpowiedziałem tak: „Mieję bez mała 35 lat od demokratycznego przebudzenia Europy Środkowej. Symboliczny rok 1989 inaugurował – co dobrze widać z dzisiejszej perspektywy czasowej i kulturowej – specyficzny rodzaj koniunktury na literaturę tego obszaru świata. Co ciekawe, traumatologiczna koniunktura na polską literaturę – naonczas »młodą« poezję i prozę – swoją falę wznoszącą odnotowała w Niemczech, które po zjednoczeniu i upadku muru berlińskiego z otwartymi sercami i umysłami przyczyniły się do szybkiej, europejskiej kariery pisarzy takich jak Olga Tokarczuk czy Andrzej Stasiuk. Stosunkowo płynne przedostanie się w języki przekładu, duży przybór zainteresowania krytycznego – w tym tuzów w rodzaju Marcela Reicha-Ranickiego – przyczyniły się do sformułowania sądów o specyficznym rodzaju doświadczenia środkowoeuropejskiego, które za pomocą literatury może przyczynić się do wzbogacenia duchowego dziedzictwa starego kontynentu, a przynajmniej tej jego – ponowoczesnej i sytej materialnie części – która szczęśliwym zbiegiem politycznych okoliczności znalazła się po właściwej stronie żelaznej kurtyny. Ogólnie pojęta »literatura środkowoeuropejska« okazała się rodzajem – posiłkując się tytułem książki Georges’a Bataille’a – »części przekłetej«, którą to część ogólnie pojęta »literatura europejska« zinternalizowała jako swoje, niewidzialne dotychczas imago”.

Wygląda na to, że słowa te będą musiały odszczekać, jeżeli reżim rządowy utrzyma się po wyborach i spokojnie wrócimy tam, skąd przyszliśmy:

za mur Unii Europejskiej. Póki jednak tli się szansa na ponowne odzyskanie stanu trzeźwości po ośmiu latach balangi na pijanym statku „Kaczyński”, tęskno spoglądam w niedawną przeszłość.

W czasach, kiedy kulturą zawiadywał „Waldi”, poznałem trochę niemieckich pisarzy, którzy dziś stanowią o jakości literatury niemieckiej. Durs Grünbein, Uljana Wolf, Daniela Danz, Raphael Urweider czy Jan Wagner to dziś klasycy języka niemieckiego. Ostatni z wymienionych twórców i twórczyń odwiedził niedawno Polskę. Spotkał się po ponad dwóch dekadach. Jan Wagner nadal ma włosy i wybór swoich wierszy po polsku. „Esej o komarach” w przekładzie Tomasza Ososińskiego opublikowało niszowe wydawnictwo papierwdole. Faktycznie Jan trafił prosto w dół, gdzie bawimy się własnymi, narodowokatolickimi odchodami, pięknie opakowanymi w sreberko polityki kulturalnej, która odniosła spektakularny sukces. Mianowicie polska literatura przestała w Niemczech istnieć. Spośród wielu anihilacji przeprowadzonych przez PiS ta akurat wydaje się nic nieznaczącym epizodem ogólnego zniszczenia, niemniej boli mnie w dwójnásób.

Po pierwsze udało się prawicowej Polsce przesrać kapitał kulturowy, który akurat nie ta Polska wypracowała. Dla przeciętnego czytelnika w Niemczech literatura polska kończy się na Oldze Tokarczuk. To by oznaczało, że nie wydarzyło się w niej nic interesującego od 30 lat. A z pewnością nie widać tego w liczbie przekładów. Chociaż Instytut Książki chwali się licznymi dotacjami na te przekłady, ich widoczność w Niemczech równa się zeru bezwzględnemu.

Po drugie strasznie smutno jest przecierać brunatne szlaki pozostawione po ciągłej paranoi antyniemieckiej, którą nieczym brudny kilwater zostawia krypta „Kaczyński”. Miałem rzadką okazję doświadczyć tej dziwności, kiedy bawiłem się ze swoimi niemieckimi kumpelami i kumplami po piórze w Reichu. Akurat wtedy wybuchło szambo z reparacjami wojennymi. Z Jankiem Wagnerem spotkałem się w Krakowie, kiedy szambo na moment opadło. Wybrałem się na Festiwal Miłosza, żeby poprowadzić coś w rodzaju debaty, w której Jan brał udział. Dzięki jego książce odzyskałem na moment wiarę w ponowne zjednoczenie twórczych i lekturowych sił. Ten poeta jest jednym z bardziej urokliwych ludzi literatury, jakich poznałem. Jest delikatny i elokwentny jak tytuł książki, chociaż wiersze, które pisze, dalekie są od spolegliwej wizji świata, komplikując jego materię do maksimum wyporności semantycznej języka niemieckiego. Dobrze oddał to Tomasz Ososiński, tłumacząc Wagnera właściwie z wszystkich jego książek. Poczynając od nieco koturnowych – ładnie zrobionych – tekstów klasycyzujących, po swobodne medytacje wierszem, gdzie Janek odpływa w rejony wielkich herezji, swobodnie poczynając sobie z ironią, sarkazmem i paradoksem, potrafiąc z opisu – dajmy na to komarów – zrobić eseju o nieistotności i znikliwości człowieka. Książka Wagnera jest dla mnie po-

dzwonny dawnych czasów wspólnotowych. Bywało bowiem tak, że pisarze niemieccy przyjeżdżali do Krakowa na wspólne warsztaty twórcze. W Willi Decjusza cieszyliśmy się swoją obecnością, nie wypominaliśmy sobie przeszłości swoich dziadków. Wydawali się sobie „ludźmi do przodu” historii. Pamiętam, że z Janem Wagnerem, Uljaną Wolf i Raphaeliem Urweiderem w parach tłumaczyliśmy swoje wiersze w oba kierunki językowe. Nie byliśmy ludźmi ahistorycznymi. Po prostu staraliśmy się budować nasze małe kładki poetyckie ponad przepaściami historii, których trupie opary zatruwają po dziś dzień język sporej części elektoratu PiS-u.

Próbując dopowiedzieć w „World Literature Today” jednak duszę polską, która nosi moje coraz starsze ciało, skreśliłem te słowa: „Właściwie do dziś w Polsce słyszeć malkontenckie tęsknoty za wielką powieścią współczesną, która wytłumaczy nam, kim faktycznie byliśmy jako społeczeństwo i jakim przemianom ulegliśmy w ostatnich czterech dekadach polskiej wolności, brutalnie dziś pacyfikowanej przez małych autokratów w rodzaju Jarosława Kaczyńskiego – skądinąd bogobojnego kapłana nowej »religii smoleńskiej«, której kult wystrześlił jak supernowa po wypadku samolotu z prezydentem na pokładzie. Jedno jest pewne: cztery dekady demo-

Spora część moich rodaków lubi, jak ktoś żyje za nich. Nawet jeżeli jest to moralny gnom

kracji nie odształciły zasadniczo naszej polskiej skłonności do mitologizacji określonych, najczęściej przygodnych faktów historycznych. Myślę, że wdychanie, jakie da się słyszeć ze strony czytelników i krytyki literackiej o Wielką Powieść, powinno nade wszystkim swój adres odnaleźć właśnie w tej zbiorowej skłonności do poddawania się hipnozie i wciąż żywej tęsknocie za kultem jednostki, którą dziedziczymy po komunizmie. Wszak wciąż utrzymujące się, wysokie poparcie dla partii rządzącej i Jarosława Kaczyńskiego, sięgające 30 proc. elektoratu, swoje źródła ma w komunizmie. Po prostu we wzorcowej demokracji liberalnej nikt za nas nie przeżyje życia. Trzeba wziąć za nie indywidualną odpowiedzialność. Tymczasem spora część moich rodaków lubi, jak ktoś ży-

je za nich. Nawet jeżeli jest to moralny gnom.

Tedy przyszluscią polskiej literatury nie jest bynajmniej powieść, tylko esej. Ten wybrakowany, nieciągly, wysoce tajemny gatunek literacki, w którym jest miejsce na idiomatykę własnego języka i poniekąd narcystyczne ukierunkowanie w stronę elokwencji tyleż własnej, co nabytej w wielkiej bibliotece świata. Eseistyka współcześnie pisana w języku polskim wydaje mi się brawurową próbą mierzenia się również z traumatologią doświadczenia historycznego i z przekłętym rezydentem, który przecież odczuwamy względem kultur języków mocnych, większych i dominujących. Znajdujemy się jako społeczeństwo trochę w sytuacji bloomowskiego podmiotu, który słabo sobie radzi z »silnym« poetą. Bynajmniej nie mam na myśli angielszczyzny ani żadnej faktyczności geopolitycznej. Chodzi raczej o brak pewnych doświadczeń lub tylko epizodyczne ich »liźnięcie« – jak miało to miejsce z oświeceniem. O ile jego krach – dokonany w piecach Auschwitz – kultury tradycyjnie oświeczone jak Niemcy mogły odczuć w pełnej krasie, o tyle dla nas owo całopalenie było oczywiście dopełnieniem fatum, którego źródeł należy szukać w charakterystycznym dla Wschodu przeczuciu katastrofy jako immanentnej struktury bytu. Polska, zwłaszcza w epoce romantyzmu, to przecież Mesjasz Europy i lud wiecznej, boskiej predestynacji – nie ma za sobą doświadczenia długotrwałego oświecenia. Jego historyczne ramy w Europie jedynie szcątkowo nawiedzają Rzeczpospolitą. Po prostu w tym kraju nad Wisłą niespecjalnie dobrze zdomawiał się duch szkielek i oka. Dużo lepiej szło Duchowi Świętemu, który dzisiaj ledwo zipie pod masą łacyzującego się błyskawicznie społeczeństwa. Zostaliśmy sierotami nie tyle po »śmierci Boga«, chociaż Fryderyk Nietzsche był tłumaczony tu bardzo szybko i znajdował wśród najbardziej progresywnych pisarzy początku XX wieku odpowiednie poważanie i praktyczne zastosowanie w literaturze. Zostaliśmy sierotami po naszych wyobrażeniach o tej śmierci, które nie potrafiły przekroczyć horyzontu paruzji. Tęsknimy za powieścią współczesną tak samo jak za paternalistycznym Bogiem, który powróci, żeby na nowo ustalić reguły czasu, miejsca i akcji w dramacie naszego, również ponowoczesnego życia, które dziś niewiele się różni od śpiączki i nudy ponowoczesnych we Francji Michela Houellebecqa czy zmęczonych »Don Juanów« Petera Handkego”.

Krzysztof Siwczyk



wyborcza
magazyn wyborczej

WOLNA SOBOTA

REDAKCJA:
ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00;
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania.
Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@agora.pl

REDAKTOR NACZELNY:
Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Jarosław Kurski;

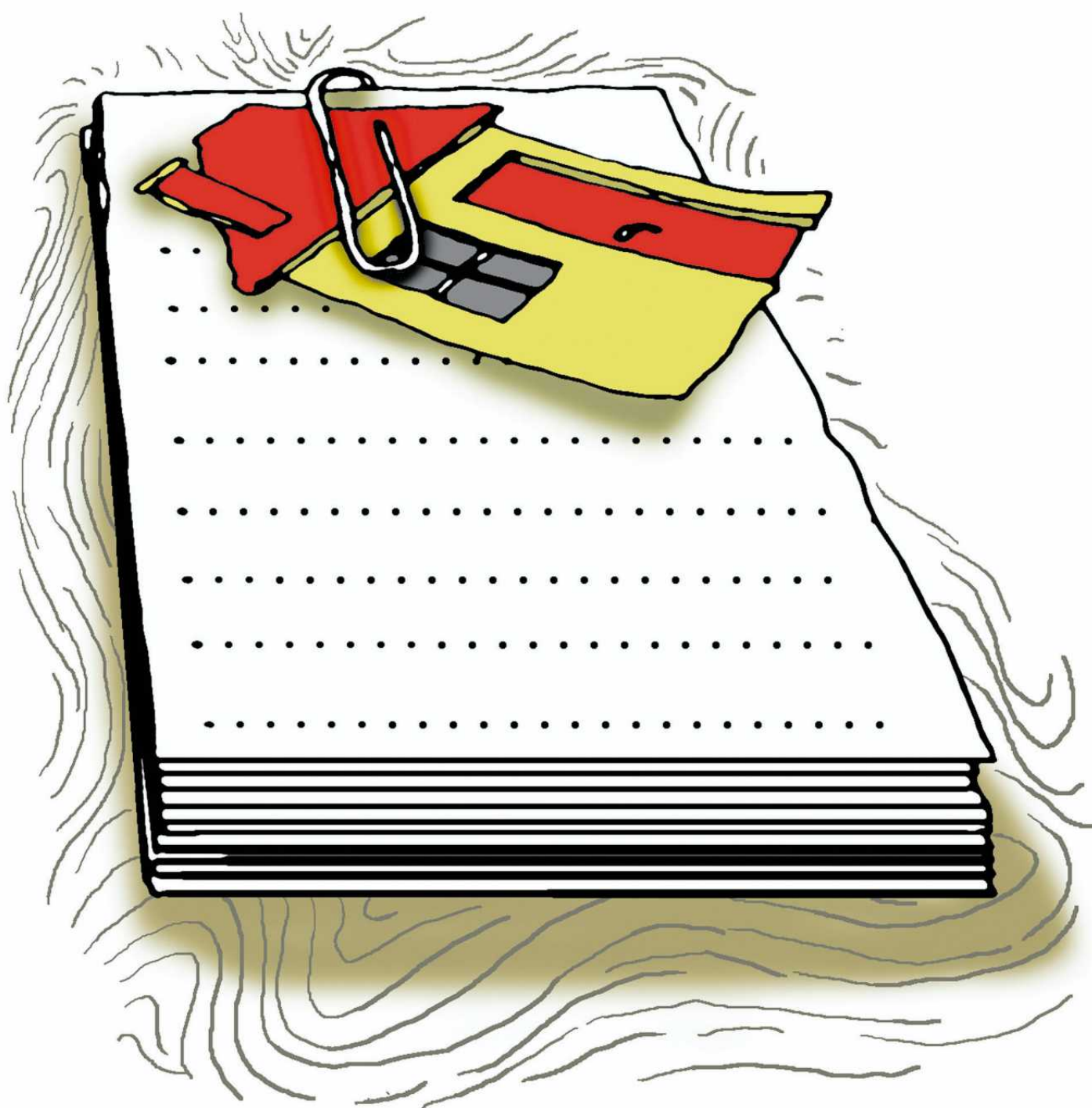
ZASTĘPCY: Piotr Stasiński, Mikołaj Chrzani, Roman Imielski, Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wielński
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Marcin Kącki, Jan Cywiński
GRAFICY: Dariusz Filipek (prowadzący), Tomasz Lebiada, Jacek Konarowski
FOTOEDYCJA: Sylwia Tukendorf
WYDAWCA: Agora SA, ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa;
NIP: 526-030-56-44
Biuro reklam i ogłoszeń: reklama@agora.pl, 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44

DYREKTOR WYDAWNICZY:
Wojciech Bartkowiak
DRUK: Agora SA

Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.



Gdy na terenie
Generalnej
Guberni
powstają getta,
wójt Bełżyc
proponuje polskie
grunty w zamian
za żydowskie domy



WYKŁĘTY POSEŁ TARCZYŃSKI

Oto ideologia ludzi PiS: jeśli
w rodzinie zamiast boha-
terów masz donosicieli, to
pozostaje napisać historię
po swojemu

Wojciech Czuchnowski

Kiedy Żydzi z Bełżyc umierali w getcie i ginęli w dołach śmierci, Polacy zajmowali ich domy i gospodarstwa. Tak pożydowski dom przejął Józef Albiński, słynny „dziadek wykłęty” posła PiS Dominika Tarczyńskiego. W rodzinie posła dom pozostał do 2004 r.

Bełżyc, Rynek 39 – niewielka, jednopiętrowa kamieniczka, od frontu wyremontowane mieszkanie z parterem, pięterkiem i nadbudową. Maria Tarczyńska, matka posła, dostała dom w 1987 od swojego ojca, Józefa Albińskiego, który przez lata miał tu warsztat szewski.

Dokumenty wskazują, że Józef Albiński nabył dom w wieczyste użytkowanie od starostwa powiatowego. Po wojnie w ten sposób właściciele zmieniali nieruchomości należące do wysiedlonych Niemców, instytucji III Rzeszy albo do Żydów, którzy zginęli w Zagładzie i nie zostawili po sobie spadkobierców. Regulowała to ustawa o majątkach

opuszczonych i poniemieckich z 1946 r. Prawo do nieruchomości po Żydach mieli w pierwszej kolejności ci, którzy już w nich mieszkali. W bełżyckim wydziale geodezji dowiaduję się, że „cała wschodnia pierzeja Rynku była przedmiotem postępowania jako mienie opuszczone”.

„Jeden z Żydów uciekł na balkon i wołał pomocy...” – czytamy w aktach IPN o śmierci żydowskich właścicieli, którzy wrócili tu po wojnie i zostali zabici.

WNUK WYKŁĘTEGO

O dziadku Albińskim poseł Dominik Tarczyński mówi, że uratował 120 Żydów i był bohaterem antykomunistycznego podziemienia. „Szechterowi sługusie nie pouczają wnuka Wykłętego” – napisał w 2018 r. Tarczyński na swoim twitterowym koncie, polemizując z dziennikarzem „Wyborczej” Bartoszem Wielińskim...

Pięć lat później, w 2023 r., Tarczyński przyszedł do TVP jako gość programu „Strefa zwarcia”, by oburzyć się na wypowiedź

prof. Barbary Engelking, która w rocznicę powstania w warszawskim getcie przypomniała, że Polacy nie pomagali Żydom i często wydawali ich w ręce Niemców. Tarczyński występował jako „głos oburzenia”. Mówił długo i stanowczo: – Podjąłem decyzję, że składam zawiadomienie do prokuratury w związku z wypowiedziami pani Engelking ws. art. 133 kodeksu karnego – możliwości znieważenia narodu polskiego lub państwa polskiego. To także dotyka mnie osobiście. Mój dziadek po 1945 r. jako komendant NSZ, a także komendant placówki WiN pomagał i ratował Żydów, a do tej pory jest nazywany bandytą. (...) Jestem bardzo poruszony, wręcz wstrząśnięty, że przez tyle lat ta kobieta nie odpowiedziała za swoje słowa. Dosyć tego! Dosyć dziesiątek lat plucia na nas i obrażania całych narodów.

TVP twierdziła, że Tarczyński na dowód chwalebnej przeszłości dziadka przyniósł dokumenty z IPN. Przed kamerami pokazał kilka kartek, ale odczytał tylko jeden fragment: – Mój dziadek wyrabiał dokumenty fałszywe, aby uratować Żydów (...), a jest nazywany bandytą.

Krótko po audycji do redakcji „Wyborczej” zadzwonił starszy mężczyzna. Podał adres: Bełżyce, Rynek 39. – Proszę sprawdzić, czyj był ten dom przed wojną, co się stało z jego właścicielami i kto tam zamieszkał po wojnie.

DOMY ZA GETTO

Zaczyna się trzeci rok wojny. W styczniu 1941 r. Stanisław Szubartowski, wójt gminy Bełżyce w woj. lubelskim, pisze do niemieckiego starosty powiatowego: „Melduję, że po zastanowieniu się doszedłem do przekonania, iż stworzenie dzielnicy żydowskiej w Bełżycach byłoby możliwe, gdyby znalazły się fundusze na zbudowanie baraków jako odrębnej dzielnicy żydowskiej. Ogół Gromady Bełżyce posiada w odległości ok. 1 km od osady odpowiednie tereny i usadowienie tam żydów dawałoby stoprocentowe rozwiązanie. Osada liczy ok. 400 gospodarstw rolnych. Stworzenie dzielnicy żydowskiej w samej osadzie spowodowałoby likwidację poważnej liczby gospodarstw, co byłoby niepowetowaną szkodą dla rolnictwa. W załączeniu przesyłam szkic Bełżyc, miejsca zacieniowane olówkiem są zamieszkane przez żydów. Co do wywłaszczenia żydowskich właścicieli nieruchomości prosiłbym o wywłaszczenie kilku żydów posiadających zabudowania gospodarcze i drobne gospodarki rolne, które znajdują się na główniejszych ulicach pomiędzy Polakami”.

Wśród tych budynków jest kamieniczka na ul. Rynek 39.

Gdy na terenie Generalnej Guberni zaczęli powstawać getta, Bełżyce liczą ok. 6,6 tys. mieszkańców, w połowie Żydów. Wójt proponuje, że polscy mieszkańcy odstąpią część gruntów na getto. W zamian chcą domy w miasteczku. Ale Niemcy nie chcą getta poza miasteczkiem, nie opłaca im się budować baraków. Dlatego wójt Szubartowski modyfikuje propozycję: getto można zrobić na tyłach Rynku, w miasteczku, i Niemcy wysiedlają tam Żydów z Rynku i okolic. Do żydowskich domów wchodził Polacy. Wójt dostaje dwa najbardziej okazałe budynki – dawną karczmę (austerię) i aptekę. Józef Albiński zasiedla Rynek 39. Wcześniej terminował tam u żydowskiego szewca. Teraz sam czuje się właścicielem.

W bełżyckim getcie w strasznych warunkach będzie żyło prawie 6 tys. Żydów, zarówno z Bełżyc, jak i przesiedlonych z odległych rejonów. Od końca 1942 r. mieszkańców wywożono do obozów zagłady w Treblince i na Majdanku, pozostałych Niemcy rozstrzelali z pomocą ukraińskich kolaborantów. Ciała wywieziono na żydowski cmentarz, leżą tam do dzisiaj. Cmentarz został zdewastowany przez miejscową ludność – nagrobki poszły na budowę gospodarstw i utwardzenie dróg. W latach 80. teren ogrodziła w końcu fundacja Nimroda Ariawa, potomka bełżyckich Żydów. W miejscu rozstrzelania stoją dom kultury i pamiątkowy kamień.

Po wojnie większość Polaków zostaje w pożydowskich domach. Nie żyją właściciele, nie żyją ich spadkobiercy. Liczba ludności Bełżyc z 6,6 tys. w roku 1938 spadła do 2531 osób pod koniec wojny.

Wójt Szubartowski uniknie kłopotów. Komunistyczne władze nie będą go rozliczać z kolaboracji. Oba domy pozostaną własnością jego rodziny. Sam wójt – według materiałów zachowanych w IPN – zostanie tajnym współpracownikiem Urzędu Bezpieczeństwa, a potem Służby Bezpieczeństwa. Będzie miał pseudonim „Profesor Stanisław”.

Albińskim władze zainteresują się w 1968 r. SB założy mu teczkę „sprawy operacyjnej” i nada kryptonim „Wyczekujący”. To właśnie dokumenty z tej teczki pokazywał w TVP poseł Tarczyński.

DZIADEK NIEGROŹNY DLA USTROJU

Teczkę – liczącą 102 strony – zamyka notatka z rozmowy, jaką podporucznik SB prze-

prowadził z Albińskim w 1969 r., w jego domu w Bełżycach, przy ul. Krakowskiej, gdzie do dziś mieszkają potomkowie Albińskiego.

SB chciała wiedzieć, czy kontynuować rozpracowanie słynnego „dziadka wykletego”. We wnioskach SB czytamy: „Jest bardzo ostrożny co do wypowiedzi i postępowania można było stwierdzić, że obecnie pochłonięty jest sprawą majątkową, po prostu nie chce tego stracić, czego się dorobił. Wydaje się, że rozmówca nigdy nie będzie zabierał głosu w większym gronie na tematy polityczne, jak i tematy przeszłości z wrogiem nastawieniem. Wobec powyższego stawiam wniosek o zakończenie sprawy operacyjnej, jednak należy mieć kontakt z rozmówcą i ewentualnie mieć na uwadze wykorzystywanie [go] a on z kolei mógłby wiele spraw wyjaśnić odnośnie sprawy krypt. »Schovek« o osobach cechujących [tak w oryg.] często wrogie wypowiedzi”.

„Wrogich wypowiedzi” samego Albińskiego SB znalazła niewiele. Wiosną 1968 r. jeden z agentów bezpieki rozmawiał z Albińskim, który właśnie wrócił z Warszawy, gdzie jeździł po skóry do swojego warsztatu. Szewc musiał być świadkiem studenckich protestów z marca tego roku: „Na temat wypadków jakie zaistniały ostatnio w kraju to [Albiński] stawiał sprawę w ten sposób, że za dużo Żydów było u władzy i to są skutki” – donosi agent 21 maja 1968 r. W innym dokumencie z teczki czytamy, że Albiński „solidaryzuje się ze studentami” oraz że „jest wrogo nastawiony do obecnego ustroju, ale nie wychodzi z tym na zewnątrz”.

Nadany Albińskiemu kryptonim „Wyczekujący” nie był przypadkowy. Komunistyczne władze oceniały, że należy do tych, którzy czekają na upadek systemu i są jego cichymi wrogami. Jest też przez SB określany jako „wielki klerykał o poglądach kołtuńsko-dorobkiewiczowskich (...)”, który „na każdym kroku wykazuje swoje niezadowolenie do obecnej rzeczywistości i zachodzących przemian”.

W ocenie bezpieki posiadał trzy domy, dwa w Bełżycach i jeden w Lublinie, warsztat szewski, a „transakcje handlowe przeprowadza skrycie bez żadnego rozgłosu z ludźmi jego pokroju, z tego też czerpie du- że dochody”.

Ostatecznie bezpieka uznaje, że Albiński nie jest groźny dla ustroju, i zamyka jego sprawę.

Teczkę Albińskiego po raz pierwszy ujawniła WP.pl, w 2018 r., gdy poseł Tarczyński rozpoczął kampanię wychwalającą dokonania dziadka. Tekst WP pokazał, że nie ma dowodów na uratowanie przez Albińskiego 120 Żydów. Przeciwnie, z akt wyłanianiał się obraz szewca, który na Żydach się „dorobił” i współpracował z Niemcami. Tarczyński zarzucił na parę lat temat „dziadka wykletego”. Wrócił do niego ostatnio, podczas nagonki na historyków Holocaustu.

DZIADEK SYPIE KOLEGÓW I SIĘ BOGACI

Wiosną tego roku Tarczyński w TVP pokazał kawałek notatki jednego z esbeków, który napisał, że Albiński jako komendant NSZ miał twierdzić, że wyrabiał dowód osobisty dla Żyda, Tadeusz Laksa.

Tarczyński zbliżył do kamery tylko fragment dokumentu, wycięty z całości. Bo całość nie przynosi chwały jego przodkowi. W tych fragmentach, które poseł usunął (lub których nie chciał pokazać), Albiński opowiada, że kierował w NSZ 10-15 osobami. Podał nawet SB kilka nazwisk konspiratorów z przypuszczalnym miejscem zamieszkania. Z katalogów IPN wynika, że jeden z nich został po wojnie funkcjonariuszem SB, drugi milicjantem. Wobec trzech bezpieka prowadziła rozpracowanie operacyjne. Albiński podał też SB nazwiska swoich podwładnych z partyzantki działającej w ramach Armii Krajowej. To nie pierwszy raz, gdy sypał towarzyszy z konspiracji. W teczce znajduje się jego oświadczenie z 1952 r. Albiński podaje tam nazwiska i adresy dziesięciu dawnych kolegów.

Podczas rozmowy z esbekami Albiński mówi też, że w ramach partyzantki jako komendant NSZ w Bełżycach „żadnych akcji nie podejmował, ponieważ placówka ta nie posiadała uzbrojenia”. W 1947 r. ujawnił się przed Powiatowym Urzędem Bezpieczeństwa Publicznego Lublin, zdając pistolet i pepeszę.

W teczce „Wyczekującego” jest dokument, w którym czytam: „Na terenie miasta Bełżyc Albiński uchodzi za jednego z bogatych mieszkańców. Jesteśmy w posiadaniu informacji, że Albiński swojego bogactwa dorobił się na Żydach w okresie międzywojennym, w czasie okupacji i po wyzwoleniu”.

Kolejna jest relacja tajnego współpracownika o ps. „Stasiek”. TW informuje, że „po wyzwoleniu w miejscowości Zosin obok cmentarza zostali napadnięci z bronią Żydzi przez osobnika, którym miał być Albiński. Wspomniani Żydzi z Bełżyc w tym czasie przejeżdżali dorożką posiadając przy sobie dużą ilość pieniędzy, być może złoto zabrane z kryjówek ze swych kamienic”. Dalej mamy już informację o dramatycznych wydarzeniach, do których doszło po wojnie, „w mieszkaniu, które zajmuje Albiński”. Jak podaje TW, „zamordowanych tam zostało 2-3 Żydów, a ich nieruchomości zabrali wspólnie z Łuczkovskim Tadeuszem zam. Wojcieszyn, który zginął w napadzie na magazyn zbożowy”.

Posel Tarczyński twierdzi, ze jego dziadek to bohater. Dokumenty mówią co innego

W aktach znajduje się bardziej szczegółowa notatka na temat zdarzeń, o których mówił TW „Stasiek”. Nie pochodzi ona od agenta: „Ob. Niebecki Józef mówił, że zaraz po wyzwoleniu jechali dorożką Żydzi z Bełżyc. Koło cmentarza w Zosinie zostali napadnięci przez osobnika z bronią i zastrzeleni. Jedna z żydówek uciekła i opowiadała Niebeckiemu, że strzelał rudy z Bełżyc, co rzuciło podejrzenie na Albińskiego. Przypuszcza się, że Żydzi wieźli dużo pieniędzy, być może złoto wyciągnięte ze swych kamienic. Drugi przypadek po wyzwoleniu to wymordowanie 2-3 Żydów w mieszkaniu, które obecnie zajmuje Albiński lub w sąsiedztwie z jego mieszkaniem. Jeden z Żydów uciekł na balkon i wołał pomocy, istnieją podejrzenia, tak się mówi w Bełżycach, że zrobili to Albiński i nieżyjący już Łuczkowski Tadeusz z Wojcieszyna, który zginął w napadzie na magazyn zbożowy”.

Na temat okupacyjnej przeszłości Albińskiego mówi też sporo TW „Kozik”. Nie ukrywa, że nie lubi bogatego szewca. W 1969 r. donosi: „Albiński wg opowiadań Slotwińskiego, przetwórcy wód gazowanych (zakład prywatny) to członek NSZ, był człowiekiem takim, że w czasie okupacji chodził i zbierał kontrybucję od ludzi więcej za- możnych, które to miały być przeznaczone na cele walki z komunistami, w znaczeniu, że to Niemcy robili a w zasadzie pieniądze te znajdowały się w kieszeni Albińskie-

go jak również i pieniądze zdobyte po zabicu Żydów”.

Doniesienie „Kozika” z 1968 r. jest dla Albińskiego jeszcze gorsze:

„W czasie okupacji [Albiński] cały czas był na terenie Bełżyc, współpracował z Niemcami, był volksdeutschem, należał do NSZ. O nim już podawałem informację, że to stary bandyta NSZ-owski, zawsze mu się dobrze powodziło i powodzi. (...) Na wszystko go stać. Pieniądzy ma ile chce i zdobył je na Żydach i teraz interesu jaki prowadzi. Dobrze żyje z kierownikiem Wydziału Finansowego PPR, Bielakiem Henrykiem, nawzajem się odwiedzają i prowadzą rozmowy. Pomógł Bielakowi w czasie okupacji gdy przyszedł do niego z Niemcami ka- zał mu uciekać”.

Najwięcej o tym, co Albiński robił w czasie wojny, oraz o domu, który przejął „po Żydach”, mówi „notatka z rozmowy z ob. W.W.” (a więc nie z agentem SB) sporządzona w 1969 r. Rozmowa dotyczyła „właścicieli sklepów na terenie miasta Bełżyc” i w jej trakcie esbek miał „uzyskać informację na temat figuranta sprawy operacyjnej krypt. »Wyczekujący«”.

„W.W.” – podobnie jak „Kozik” – jest do Albińskiego nastawiony niechętnie i mówi o nim w bardzo emocjonalny sposób. Zapewnia, że kamieniczka przy Rynku 39 do czasów wojny należała do Żydów, u których w warsztacie szewskim Albiński pracował. „Rozmówca podał, że Albiński Józef pochodzi z biednej rodziny, która zamieszkiwała na Wzgórzu, a następnie w Rynku w Bełżycach. Ojciec wspomnianego trudnił się szewiectwem [tak w oryg.]. Józef Albiński po ukończeniu szkoły podstawowej był w terminie u szewców Żydów, którzy posiadali sklep i warsztat szewski w rynku, w budynku, który jest obecnie własnością Albińskiego Józefa. By budynek ten kupił wspomniany, rozmówca dokładnie nie mógł sobie przypomnieć, gdyż w mieście na ten temat krążyły różne wersje. Jedni mówili, że Albiński kupił dom od Żydów, którzy w okresie okupacji zostali wywiezieni przez Niemców do getta. Inni twierdzili, że Albiński otrzymał dom w podarunku od właściciela Żyda, u którego wyuczył się zawodu szewca i długie lata pracował u niego. Jeszcze inni mówili, że Albiński, mając dużo pieniędzy po wyzwoleniu, których dorobił się w okresie okupacji na Żydach przed ich likwidacją przez Niemców kupił wspomnianą kamienicę jako nieruchomość pożydowską od gminy. W okresie okupacji Albiński współpracował z Niemcami, należał do organizacji, która współpracowała i pomagała hitlerowcom w ustalaniu, wyszukiwaniu ukrywających się Żydów przed ich zagładą i egzekucją. Między innymi widziano go z policją niemiecką na terenie Bełżyc. Takich jak Albiński w okresie okupacji w Bełżycach było więcej, którzy pomagali, wydawali i donosili hitlerowcom. Nie kto inny tylko oni dorobili się bogactwa w czasie okupacji na Żydach, po wyzwoleniu na napadach, rabunku i grabieżach. Gdyby nie majątek po Żydach, w tym złoto i przynależność do bandy po wyzwoleniu, Albiński, i jeszcze inni nie byłby tak bogaty i tego by nie miał, co ma, gdyż nie wie, co robić z pieniędzmi, kupuje domy, buduje. Kawał złodzieja, ale zaczyna się za tych bogaczy brać (...). Rozliczyli Pogodzińską, rozliczają Króla Albińskiego. Gdybym był takim Polakiem jak Albiński i inni na pewno dzisiaj nie paliłbym w piecach i nie chodził brudny i urobiony. A stać by mnie było na wszystko tak jak Albińskiego i innych bogaczy w Bełżycach (...). Jest to bandzior, oszust i łgarz, sam nie wie co robić z pieniędzmi. Kupił samochód osobowy, po pewnym czasie sprzedał, bo się obawiał, by synowie go nie rozbili i sami się nie pozabijali. Na moje pytanie, czy Albiński chodził w okresie okupacji w mundurze i z bronią rozmówca powiedział, że raczej u niego bronie nie widział, nazywano go wartownikiem (miał dopilnować sklepów na terenie miasta przed kradzieżami)”.

Część tych dokumentów przytoczyła WP.pl i rozmawiała o nich z Tarczyńskim. „Zapytaliśmy Dominika Tarczyńskiego, dla-

czego publikując akta dotyczące dziadka, pominął niewygodne dla niego wątki. – Bo to wyłącznie plotki i pomówienia. Te doniesienia o mordowaniu Żydów wynikały tylko i wyłącznie z zawiści. Dziadek był zamożnym człowiekiem i ludzie mu zazdrościli – komentował wtedy polityk. Autorka tekstu spytała też Tarczyńskiego, skąd pochodzi informacja o tym, że Józef Albiński uratował 120 osób. Nie ma jej bowiem w aktach IPN.

Tarczyński: – Ustaliłem to na podstawie rozmów z ludźmi z jego oddziału. Najważniejsze dla mnie, że dziadek był w NSZ i WiN, co potwierdzają dokumenty.

Nie mówi, że swoich ludzi Albiński sypał na przesłuchaniach.

POWOJENNE MORDY ŻYDÓW

O śmierci Żydów, którzy ocalili z Zagłady i po wojnie wrócili do Bełżyc, mówią nie tylko źródła komunistycznej bezpieki z teczki „Wyczekujący”. Ta zresztą specjalnie nie przejęła się tą sprawą. W 1969 r., po wydarzeniach marcowych i wypędzeniu Żydów z Polski, władze nie były zainteresowane takimi informacjami.

SB zajmowała się Albińskim z dwóch powodów: pierwszy to jego antykomunistyczne poglądy, drugi – jego prywatna działalność gospodarcza. Dlatego np. w teście jest bardzo dużo materiałów o skórach na buty, pozyskiwanych przez szewca – jak podejrzewano, za łapówki – z państwowych garbarni.

Skąd zatem wiadomo, że po wojnie w Bełżycach zginęli jacyś Żydzi? Píše o tym Stanisław Jadczyk w wydanej w 2002 r. monografii Bełżyc. Czytamy w niej: „W lipcu 1944 roku nie było w Bełżycach ani jednego Żyda. W jakiś czas po wyzwoleniu zaczęli napływać nieliczni ocaleni z Holocaustu przedwojenni mieszkańcy Bełżyc pochodzenia żydowskiego. 14 marca 1946 roku grupa z oddziału WiN »Rysia« zabiła w Bełżycach 2 Żydów. Po tym fakcie pozostali Żydzi ewakuowali się z miasta”.

Oddział „Rysia”? W rozmowach z SB Albiński twierdzi, że grupa, którą dowodził w Bełżycach, była właśnie częścią oddziału „Rysia”...

W Bełżycach odwiedzam Konrada Kliczkę, regionalistę. Zna monografię Jadczyka, ale jego zdaniem Żydów nie zabili żołnierze „Rysia”. Uważa, że historia z zastrzeleniem żydowskiego właściciela jednego z domów jest prawdziwa, ale „chodzą o jednego, a nie dwóch”. – Ten jeden zmarł w szpitalu w dawnym dworze Brzezińskich, drugi uciekł i przeżył.

Czy chodziło o dom w Ryńku 39? Kliczka potwierdza. Kto strzelał? Kliczka: – Tego nie wiem, a plotek nie będę powtarzał.

Pamięta Józefa Albińskiego: – On był nie tyle bogaty, ile pracowity. Nauczył się szewstwa jeszcze przed wojną. Mieszkał potem w domu żydowskim, ale wszystkie domy tutaj są żydowskie. Mój też.

Kliczka ma prawdopodobnie rację, gdy mówi, że zabójstwo z 14 marca 1946 r. niesłusznie przypisano „Rysiovi”. W procesach złapanych i zamordowanych partyzantów z tamtego regionu nie ma wzmianki o jakichkolwiek aktach przemocy, których mieliby dokonać na Żydach. Bełżyc – ja-

ko miejsce akcji – pojawiają się kilka razy, ale nigdy nawet w okolicach marca 1946. Akta te są przy tym bardzo szczegółowe. Obejmują nie tylko przypadki likwidacji milicjantów, członków partii lub urzędników, ale też sprawy drobne, jak napady na urzędy czy placówki pocztowe.

Najszerzym opracowaniem opisującym temat zabójstw ocalałych z Zagłady Żydów, którzy po wojnie wrócili na te tereny, jest praca dr. Adama Kopciowskiego z UMCS. Podlicza on, że od końca 1944 r. do grudnia 1946 w ówczesnym woj. lubelskim w wyniku pojedynczych i zbiorowych mordów zginęło 118 osób narodowości żydowskiej. Nie podaje liczby rannych. Najwięcej tego typu wypad-

„Postawy antysemitki w kraju, w którym dopiero co dokonano się najstraszliwsza w dziejach zbrodnie na Żydach, to bez wątpienia fenomen socjologiczny. Nabierał on szczególnego znaczenia na obszarze Lubelszczyzny, wyjątkowo mocno naznaczonej hitlerowskim ludobójstwem Żydów” – pisze historyk. Przypomina, że w regionie działały obozy zagłady: Majdanek, Sobibór oraz Bełżec, a „większość chrześcijańskich mieszkańców była naoczniymi świadkami masowego mordowania Żydów, zarówno miejscowych, jak i deportowanych tu z innych państw”.

Wśród przyczyn powojennej agresji wobec Żydów Kopciowski wymienia tradycyjny antysemityzm (w tym podejrzewania o mor-

rym przebywało pięciu Żydów. Dwóch z nich zastrzelono na miejscu. Trzech kolejnych oraz Polkę z dzieckiem, która mieszkała z jednym z Żydów, wywieziono furmankami za miasto, tam rozstrzelano, a ciała wrzucono do Bugu. Jeden z zamordowanych był żołnierzem WP”.

„4 grudnia 1945 r. Trzej partyzanci z oddziału Stanisława Wójtowicza »Iwana« w budynku spółdzielni w Bełżycach otworzyli ogień do dwóch Żydów. Szlomo Szajbrun zginął na miejscu, a rannego Szlome Peresa odwieziono do szpitala. Dwaj spośród zabójców (Jan Pruszkowski i Czesław Broda) poszli do szpitala i tam dobili rannego”.

„Podobny atak na przebywają-

wielką tragedię. Zmusić do pozostania nie mamy jednak żadnego prawa. Winniśmy odradzić tylko wyjazdów chaotycznych”.

W swoim opracowaniu Kopciowski o Bełżycach pisze kilka razy. Wspomina też zabójstwa z 1946 r. Gdy pytam o szczegóły (nazwiska ofiar), odpisuje: „Niestety nie pamiętam zupełnie tej sprawy. Sądząc z przypisu w moim artykule, wiadomości o tym morderstwie zaczerpnąłem z (...) teczki z IPN (AIPN, sygn. Lu 08/102, t. III, s. 5), która zapewne miała charakter jakiegoś raportu/zestawienia, w którym jedynie odnotowano sam fakt zabójstwa, bez szerszego rozwinięcia jego okoliczności, przebiegu czy też personaliów sprawców i ofiar”.

Tajemnica pożydowskich domów w Bełżycach: w jednym z nich po wojnie zamieszkuje rodzina posła Tarczyńskiego



ków (79) miało miejsce w pierwszym półroczu 1945 r. Tylko 20 proc. z nich można przypisać faktowi, że zabici Żydzi byli członkami partii lub urzędnikami nowej władzy. Większość były to zbrodnie z nienawiści oraz chęci zysku. Zabijano tych, którzy chcieli odzyskać swoje majątki albo – jak podejrzewano – przyjechali po „ukryte złoto”.

Bezpośrednio po wojnie w województwie przebywało 4791 ocalałych Żydów. W 1946 doszło do nich jeszcze ponad 1000 osób repatriowanych ze Związku Radzieckiego.

dy rytualne chrześcijańskich dzieci), zarzuty o współpracę Żydów z komunistami, ogólne obniżenie norm moralnych po wojnie, wreszcie zwykły rabunek lub niechęć do oddania przejętego podczas wojny mienia. Kopciowski podaje dziesiątki drastycznych przykładów, gdzie ofiarami byli Żydzi, a sprawcami żołnierze antykomunistycznego podziemia lub podający się za nich zwykli bandyci.

Wybrane przykłady:

„9 marca 1946 r. W Janowie Podlaskim 30-osobowy oddział Kazimierza Harmidy »Lecha« napadł na mieszkanie, w któ-

rym przebywało pięciu Żydów. Dwóch z nich zastrzelono na miejscu. Trzech kolejnych oraz Polkę z dzieckiem, która mieszkała z jednym z Żydów, wywieziono furmankami za miasto, tam rozstrzelano, a ciała wrzucono do Bugu. Jeden z zamordowanych był żołnierzem WP”.

„Niekiedy mordy popełniane na Żydach przez żołnierzy podziemia miały podłoże rabunkowe. Zygmunt Klukowski odnotował zabójstwo dyrektora browaru w Zwierzynicy Emanuela Lufta i jego syna. Ten pierwszy jechał do Zamościa, mając przy sobie ogromną sumę pieniędzy: Po drodze »chłopcy z lasu« terroryzowali furmana i Lufta, skreślił do lasu, tam zajęli się odpowiednio Luftem, a furmana puścili”.

Dla wszystkich ocalałych Żydów mieszkających tuż po wojnie w Polsce przełomowa była data 4 lipca 1946 r. W pogromie kieleckim przy ul. Planty 7 zginęło wtedy 42 Żydów, a drugie tyle zostało rannych. Mordowali robotnicy i miejscowa ludność, do której przyłączyli się żołnierze i milicjanci.

Po tym wydarzeniu wśród Żydów wybuchła panika. Pogrom zapoczątkował tzw. Brichę, wielką emigrację ocalałych z Zagłady z Polski do Izraela. Oblicza się, że wyjechało wtedy ok. 150 tys. osób. Z 6,1 tys. Żydów mieszkających na Lubelszczyźnie jeszcze w maju 1947 r. trzy miesiące później zostało 1562. Dr Kopciowski przytacza słowa Lejzora Fajertaga, żydowskiego komunisty i członka PPR, który wcześniej był przeciwny emigracji. Po pogromie Fajertag mówił: „Przeżywamy obecnie

• **Mapka, którą dla Niemców narysował wójt Szubartowski. Na czerwono zaznaczył żydowskie domy**

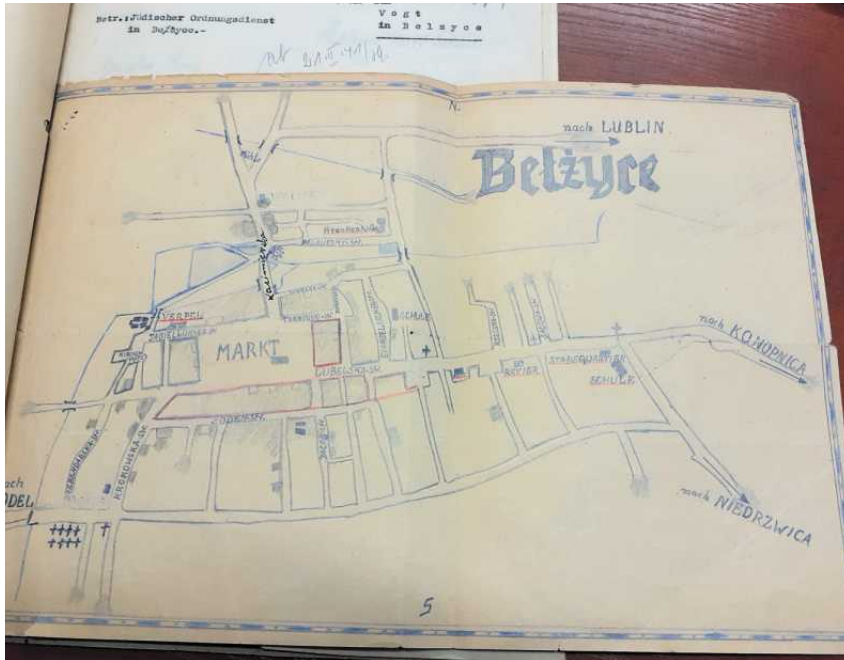
• **Obok kamienica w Bełżycach, Rynek 39 dzisiaj** FOT. AUTOR

Historyk przytacza inne podobne przypadki z Bełżyc.

„We wrześniu 1946 w pobliżu Bełżyc doszło do walki dwóch oddziałów podziemia antykomunistycznego z żołnierzami KBW i milicjantami. Po walce partyzanci przycięli do mundurów zabitych kartki z różnymi napisami, np.: »Zginął za żydo-komunę«”.

„W grudniu 1945 w Bełżycach 3-4 żołnierzy z oddziału »Iwana« (Stanisława Wójtowicza), będąc w budynku spółdzielni, otworzyli ogień do dwóch znajdujących się w środku Żydów. Szlomo Szajbrum, lat ok. 25, zginął na miejscu, a Szlomo Peres, lat ok. 50, został ranny. Odwieziono go do szpitala. Obaj zabici byli mieszkańcami Lublina. Do Bełżyc przybyli w celu odszukania rzeczy pozostawionych podczas okupacji”.

„Z kolejnego dokumentu UB wynika, że 1 grudnia do Bełżyc przyjechali dwaj Żydzi, którzy byli właścicielami domu w tej miejscowości, w którym podczas okupacji ukryli swoje rzeczy. Po wojnie w ich domu mieścił się sklep. 3 grudnia przeszli do kierownika sklepu, który chciał kupić ten dom. Podczas rozmowy ok. 14.30 do sklepu weszło kilka osób cywilnych i jeden wojskowy i ciężko ranił jednego Żyda, drugi został lekko ranny podczas próby uciecz-



ki. Obydwu zawieziono furmanką do szpitala. W drodze zmarł ciężko ranny. Drugi, po opatrzeniu, prosił, aby go odtransportować na posterunek MO, gdyż obawiał się wracać pieszo. Po wyjściu ze szpitala został zastrzelony. Obaj zabici byli mieszkancami Lublina. Według Rafała Wnuka rannego Peresa dobili w szpitalu Jan Pruszkowski i Czesław Broda. W milicyjnym raporcie stwierdzono, że powodem morderstwa »była niewątpliwie nienawiść rasowa tak szeroko propagowana w kolach rejonistów«. Podkreślono także beczynność miejscowej milicji, zwłaszcza ze strony komendanta posterunku MO w Bełżycach Witolda Sochaczewskiego, który został zatrzymany przez UB i natychmiast usunięty z milicji”.

Kopciowski przytacza też komentarz z raportu powiatowego UB: „Widac z powyższego, jak Milicja Obywatelska, tak również nasz pracownik pracuje wspólnie z bandą”.

KONSPIRACJA DZIADKA ALBIŃSKIEGO

Powołując się na życiorys swojego dziadka, Dominik Tarczyński nazywa siebie „trzecim pokoleniem NSZ”. Wróćmy więc do wojennej i powojennej przeszłości Józefa Albińskiego. Okazuje się, że „dziadek wyklety” posła PiS nie występuje w źródłach dotyczących historii NSZ, AK oraz WiN. Obszerny artykuł o wojennej i powojennej konspiracji w miasteczku poświęciła Bełżycom dr Ewa Kurek, historyczka kojarzona z pracicą i chętnie cytowana na „patriotycznych” forach. We fragmentach opisujących działalność „Zapory” i „Rysia”, liderów tamtejszej partyzantki, Kurek wymienia nazwiska należących do konspiracji mieszkańców miasteczka, ale w jej tekście nie pojawia się ani razu Józef Albiński. Nazwisko to nie znajduje się też wśród biogramów ludzi „Zapory” na stronie Zaporczycy.com.

Tak naprawdę głównym dowodem na udział Albińskiego w konspiracji jest jego własna relacja z akt SB oraz to, że jako żołnierz WiN ujawnił się w 1947 r. w lubelskim UB, zdając tam broń. Zresztą w relacjach Albińskiego też są sprzeczności. W rozmowie z UB z 1952 r. twierdzi, że w czasie wojny był „komendantem placówki WiN w Bełżycach należącej do Zgrupowania Rysia”. Miał nosić pseudonim „Nowy”. 17 lat później, przesłuchiwany przez funkcjonariuszy SB, aż dwa razy mówi, że bronił mieszkańców (w tym Żydów) oraz ich mienia przed „bandą Rysia”: „wyrobił dowód osobisty obywatelowi Boguckiemu /imienia nie pamięta/”, którego „obronił też przed bandą Rysia”. W innym miejscu stwierdza, że po odejściu z NSZ, już jako członek AK, „bronił sklepów przed bandą Rysia”. Z kolei z relacji, w której Albińskiego nazywano „wartownikiem” (miał dopilnować sklepów na terenie miasta przed kradzieżami), wynika, że Albiński współpracował z Niemcami. Cytując z notatki SB o niejakiem Bielaku, po wojnie urzędniku w gminie Bełżec: „Przyjaźń Bielaka Henryka datuje się od okresu okupacji, gdy wspomniany [Bielak] uciekł z tzw. Junaków i ukrywał się. Do jego ojca Franciszka Bielaka zam. w Krężnicy Okrągłej w okresie okupacji

przyjechał Albiński Józef z Niemcami w celu poszukiwania syna Henryka. W sklepie spożywczym prowadzonym w okresie okupacji przez Bielaka Franciszka był ukryty pod ladą Henryk, Albiński Józef odnalazł go i kazał mu uciekać. Te słowa mówił dosłownie Henryk Bielak w rozmowie z t.w. »Kozik«. Przy tym dodał, że Albiński w okresie okupacji nie był szkodliwym, ma mu dużo do zawdzięczenia, wielkie słowa uznania za ocalenie w czasie rewizji przez Niemców, gdyż uratował go przed wywozem do obozu i dalszymi przesładowaniami ze strony okupanta za dokonaną ucieczkę”.

Jako przewodniczący wydziału finansowego bełżyckiej MRN Henryk Bielak miał wpływ na decyzje dotyczące spraw własnościowych nieruchomości opuszczonych przez Żydów.

Analizując to wszystko, można dojść do wniosku, że po wojnie Albiński, chcąc „przykryć” swoją współpracę z Niemcami, wołał ujawnić się jako członek WiN. Potem jako konspirator i „żołnierz wyklety” przedstawiał się rodzinie i znajomym, by w końcu – rozmawiając pod koniec lat 60. z SB – opowiadać, że „bronił Żydów przed bandą Rysia”, którego – według swojej własnej relacji z roku 1952 – był podwładnym. Do tego w czasie wojny „pilnował sklepów przed kradzieżami”. Na czyje polecenie Albiński pilnował tych sklepów (podczas niemieckiej okupacji!), nie jest powiedziane wprost.

Gdy Dominik Tarczyński po raz pierwszy zaczął opowiadać o swoim „dziadku wyklełym”, podawał jego pseudonim: „Lis”. Nigdzie nie ma potwierdzenia, by Albiński pod takim pseudonimem występował w konspiracji. W relacjach Albińskiego jest tylko „Nowy”, który przechodził z NSZ do AK, a z AK do WiN.

POŻYDOWSKI MAJĄTEK

W znienawidzonym przez polską prawicę filmie „Pokłosie” Władysława Pasikowskiego bohater grany przez Macieja Stuhra odkrywa w miejscowym archiwum prawdę o domach i ziemi, które po wojnie przejęli jego rodzina oraz inni Polacy. To jednak rzeczywistość uproszczona na potrzeby filmu. Z Bełżycami nie jest tak łatwo. Stare księgi wiecyste, pokazujące, kto przed wojną był właścicielem domów w miasteczku, w tym domu z adresem Rynek 39, powinny być w archiwum państwowym w Kraśniku. Ale takich starych ksiąg zachowało się tam kilkadziesiąt. Ich pierwsze zapisy zaczynają się na początku XIX w. i są prowadzone w językach rosyjskim (urzędowy język zaboru rosyjskiego) oraz polskim. Wśród zachowanych ksiąg tylko jedna dotyczy nieruchomości (gospodarstwa rolnego), którego właścicielem byli Polacy. Cała reszta Bełżyc – przede wszystkim domów w rynku miasteczka – należała do Żydów.

Zachowane księgi pokazują, że część żydowskich właścicieli lub ich spadkobiercy odzyskali po wojnie swoje domy, ale do końca roku 1947 r. sprzedali je Polakom. I tak: Izrael Pres sprzedał swój dom przy Rynku 24. W tym samym czasie dom przy Rynku 27 sprzedali Nafali i Chila Gut. Chaja Friedman sprzedała dom na zbiegu Rynku i ul. Zielonej. Rynek 14 sprzedali

Elka Chawa Fajerhof, Lejzor Wolf Gajster i Golda Cukier, a Rynek 9 – Chil-Symcha Rozensztajn oraz Matla Rozensztajn.

Wszyscy potem wyjechali z Polski.

Już wtedy Polacy przejmowali też domy jako mienie porzucone: tak było z Rynkiem 16. Nowy właściciel przedstawił władzom zaświadczenie, że płaci podatki od nieruchomości i że dał ogłoszenie o poszukiwaniu właścicieli. Nikt się nie zgłosił.

Nie zachowała się księga Rynku 39, ale jest stara mapa, z 1917 r. Gdyby pokryć ją z planem wysłanym Niemcom w styczniu 1941 r. przez wójta Szubartowskiego, wiadać, że budynki (oznaczone według rosyjskiego porządku ogólnym numerem geodezyjnym 148) miały kilkoro właścicieli: byli nimi Szmul Chemin i Szmu Jakobson, Izrael Jakobson, Chaja Szrajbero-wa oraz Chil Zyskind Szrajber.

Dziadek Tarczyńskiego, by przykryć swoją współpracę z Niemcami, po wojnie ujawnił się jako partyzant

Większość ksiąg wieczystych bełżyckich nieruchomości za okres przedwojenny się nie zachowała. Po wojnie żydowskie domy zyskały „nowe życie”. Bez danych o dawnych właścicielach. To po prostu „mienie opuszczone”, zajęte w czasie okupacji, które w PRL zostało zalegalizowane jako własność polskich sąsiadów.

POGROM W PARCZEWIE

Zabójstwo Żydów w Bełżycach poprzedziły wydarzenia, do których doszło 5 lutego 1946 r. w Parczewie, także w woj. lubelskim. Parczew, tak jak Bełżyc, był przed wojną w połowie żydowski. W odróżnieniu od innych miejscowości regionu społeczność żydowska wróciła tu dosyć licznie. Kres temu położyła akcja oddziału WiN pod dowództwem „Żelaznego” (Edward Taraszkiewicz). Operacja miała czysto antysemicki wymiar. Jadczyk przytacza fragment kroniki oddziału „Żelaznego”: „»Jastrząb« [...] i ja proponowaliśmy »Orlisowi« uderzenie na miasto Parczew i rozgromienie zamieszkałych tam Żydów w ilości około 500 osób, którzy złapali w swoje ręce całkowity handel nie dając życia innym drobnym kupcom i handlarzom polskim. Milicja i UB składała się tam z około 25 ludzi, których w nocy można było łatwo zaszachować przy pomocy 2-3 erkaemów. Przy okazji tej można się było dobrze podreperować na żydowskich sklepach, a przeważnie na obuwiu, które nam było bardzo potrzebne, staliśmy pod tym względem źle. »Orlisowi« było w smak »coś« zawojuwać, lecz na tak ważną akcję musiałby sam iść i jako komendant prowadzić ją. Przy tem mógłby gdzieś łatwo kulą oberwać, bo jak to nie było, Parczew był miastem dość dużym, a Żydkowie też posiadali broń, i to

prawie każdy. Wobec tego »Orlis« nie chciał sam ryzykować i uczestniczyć w tej akcji, a dać zezwolenie »Jastrzębiowi« to w razie gdyby ona się nie udała, to zaszczyt ten spadnie wyłącznie na »Jastrzębia« a nie na »Orlisa« [...]. Plan akcji był następujący: grupa »Dąbka« z około 10 ludźmi miała opanować most na drodze do rynku w kierunku stacji. Koło tego mostu stała zwykle warta złożona z żydowskich ormowców, którzy pilnowali kompleksu budynków zamieszkałych przez Żydów [...]. »Dąbkowi« udało się pięknie podejść i bez strzału rozbroić wartę koło mostu, złożoną z dwóch Żydków z automatami i pistoletami. Jednym z nich był sierżant z UB nazwany popularnie »Bocian«, a było to do podłe Żydzisko w stosunku obejścia z Polakami. Idąc dalej w kierunku posterunku złapał i trzeciego Żydką z bronią [...]. Idąc ze spółdzielni »Społem« rekwiruje dwa samochody ciężarowe, na które ładuje towar ze sklepów ży-

sięgają wielomilionowej sumy. Napastnikom udzielili wskazówek co do miejsca położenia lokali żydowskich miejscowi ludzie”.

Na te wydarzenia zareagował Wojewódzki Komitet Żydów Polskich w Lublinie, w memoriale do wojewody lubelskiego:

„[...] Niezależnie od [...] faktów mordu i grabieży, jesteśmy świadkami uprawianej nielegalnie agitacji antyżydowskiej. Skutków tej agitacji nie można lekceważyć, trafia ona na podatny grunt, znajduje posłuch wśród tej części społeczeństwa polskiego, która pod wpływem niemieckich okupantów uległa deprawacji, zatraciła wszelkie kryteria etyczne i obywatelskie”.



Posel Tarczyński, głosząc pochwałę „dziadka wykletego”, wpisuje się w walkę PiS z niezależnymi historykami, piszącymi o wstydliwych dla Polaków kartach z dziejów Holocaustu. Ich badania nazywa się dziś „pedagogiką wstydu”. Autorem tego określenia jest publicysta Bronisław Wildstein, odznaczony przez prezydenta Dudę Orderem Orła Białego. Wildstein atakuje Grabowskiego, Barbarę Engelking i Jana Tomasza Grossa, przekreślając ich dorobek naukowy. IPN, w którego kolegium Wildstein zasiada z rekomendacji PiS, zajmuje się udowadnianiem, że podczas wojny Polacy ratowali Żydów. Antysemityzm powojenny w opracowaniach IPN występuje pod hasłem „walki z komunistami”. Tak właśnie zbrodnię w Parczewie przedstawia Mariusz Bechta z warszawskiego IPN. Jego książka „Pogrom czy odwet” była entuzjastycznie przyjęta przez Sławomira Cenckiewicza, jednego z ulubionych historyków PiS, tak jak Wildstein członka Kolegium IPN. Rekomendując pracę Bechty, Cenckiewicz jest zachwycony: „Gdyby polska historiografia miała tak rzetelnych i odważnych historyków jak Mariusz Bechta, byłbym spokojny o nasze wewnętrzne boje o pamięć i politykę historyczną broniącą dobrego imienia Polaków”.

Choć śmierć Żydów zabitych w Bełżycach 14 marca 1946 r. jest faktem, to nie sposób ustalić nazwisk ofiar. W cytowanej już pracy dr Kopciowski podaje, że po wojnie ze społeczności liczącej w 1939 r. blisko 3 tys. osób do Bełżyc wróciło 21: wymienia ich nazwiska zarejestrowane w lubelskim Komitecie Żydowskim. Później wszyscy wyjechali z Polski. W zachowanych księgach wieczystych tych nazwisk nie ma. Możliwe, że wśród nich byli właściciele domu przy Rynku 39.

Ryszard Dziadura, jego obecny właściciel, któremu dom przy Rynku 39 sprzedała matka Tarczyńskiego, zapamiętał, co matka posła mówiła, dobijając transakcji: – Że z pieniędzy za ten dom sfinansuje wesele syna... ●

Dziękuję prof. Janowi Grabowskiemu za kopię pisma do władz niemieckich wójta Szubartowskiego i narysowaną przez wójta mapę żydowskich nieruchomości w Bełżycach. Dziękuję również red. Stanisławowi Jadcza-kowi za cenne uwagi i konsultacje.

LITERĘ Z NOSZĄ PRZEGRYWY



FOT. ALEXANDER NEMENOV/AP/PEAST NEWS

Zachodni socjolodzy się mylą: Putina popierają nie sfrustrowane sieroty po imperium, ale kosmopolityczni przedsiębiorcy

Redakcja Meduza

Kiedy agresję Rosji na Ukrainę nazywają „wojną Putina”, od razu pojawia się problem badań socjologicznych: jakkolwiek interpretować wyniki, poparcie najazdu jest naprawdę ogromne. Tworzy się dość przekonujący obraz: zdeorientowani obywatele, wychowani na radzieckich wartościach, chłonący propagandę i nigdy nieposiadający paszportu – idealne społeczne wsparcie wojny.

Lecz ten obraz, powielany przez uczonych, polityków i publicystów w Ukrainie i na Zachodzie, nie odzwierciedla rzeczywistości. Bardziej niż biedni Rosjanie – wojnę popierają bogaci, czyli świetnie zorientowane i zglobalizowane elity.

„Jak to, kurwa, jest możliwe?” – powtarza raper Władi z zespołu Kasta w piosence o tym samym tytule [Kak eto blad' wozmožno]. „Żeby dzisiaj, w takim współczesnym społeczeństwie, mogło się dzieć to, co się dzieje. Nie mieści mi się to w głowie” – mówi Aleksandr Kierżakow, wybitny piłkarz.

Tłumaczymy sobie i innym, że choć wojna nie ma żadnych sensownych przyczyn i celów, to ma logikę historyczną i społeczną. Po pierwsze, znajduje wyjaśnienie w światopoglądzie Putina i jego otoczenia, w historycznym mesjanizmie rosyjskiej dyktatury, który rozwinął się na gruncie geopolityki i konspiracyjologii. Po drugie, ludność jest oczarowana resentymentem, imperiaлизmem, antywesternizmem i skłonnością do przemocy. To ta jedność władzy i „narodu” nad głowami prozachodniej mniejszości umożliwia irracjonalną wojnę.

Coś tu się jednak nie zgadza. Spokojne i zwyczajne życie społeczne w Rosji po 24 lutego nie odpowiada obrazowi mobilizacji i jedności, który kojarzymy z narodem prowadzącym wojnę totalną. O ile ktoś nie mieszka w obszarach przyfrontowych, ślady wojny na ulicach, poza wszechobecnymi reklamami armii kontraktowej, są trudne do znalezienia.

Jeśli spotkasz osobę z literą „Z” na koszulce lub tylnej szybie samochodu, czyli otwartego i aktywnego zwolennika inwazji – i nie jest to jakiś szef, pracownik mediów propagandowych czy aktor Władimir Maszkow – to najprawdopodobniej nosi ona piętno porażki. To członek Rosgwardii w najtańszej ładzie grantu, „Z-poeta”, który narzeka na brak wsparcia od państwa i dostępu do prasy lub telewizji, patriotyczny bloger i jego subskrybenci, którzy razem cierpią dlatego, że państwo nie bierze ich patriotyzmu pod uwagę. „Z” jest oznaką społecznej zemsty.

Większość społeczeństwa nie popiera wojny jawnie, ale akceptuje ją jako część naturalnego porządku społecznego (socjologowie mówią o „większości niesprzeciwiającej się wojnie”). Ale kto odpowiada za

ten porządek, jego produkcję i legitymizację? Elity, warstwa sukcesu, której członkowie mają wyższy niż przeciętny poziom integracji społecznej, a ich poziom kapitału – społeczny, finansowy, administracyjny, symboliczny – ma wysoki stopień płynności, tj. można je swobodnie wymieniać między sobą.

Po 24 lutego część elit opuściła kraj, ale zdecydowana większość została. Urzędnicy średniego i niskiego szczebla, którzy zapewniają funkcjonowanie maszyny Kremla; biznes, który zajął się zastępowaniem importu i obchodzeniem sankcji; dominująca klasa średnia i kierownictwo tzw. organizacji budżetowych – to kilka milionów ludzi, którzy bez widocznej chęci, ale i bez widocznego wysiłku wpisali się w moralną ekonomię agresji wojskowej. Życie nie zatrzymało się, prawie nie było dymisji z kierowniczych stanowisk, a optymizm przedsiębiorców wychodzi poza skalę.

To łatwość, z którą większość elit zaakceptowała wojnę, jest zagadką, o której mówi raper Władi i piłkarz Kierżakow.

...

Zaskakująco mało wiemy o postsowieckich elitach – wyparła je z naszej wyobraźni społecznej postać obywatela, „narodu”, za pomocą którego rosyjska klasa wykształcona od wieków wyjaśniała perypetie swojej historii. Skłonność do tak daleko idących uogólnień jest podsycana przez wyniki sondaży: na przykład stwierdzenie, że wojnę popiera przytłaczająca większość, 70-80 proc. Rosjan, pozwala unikać niewygodnych pytań i uznać ją za przejaw charakteru narodowego.

Fascynacja całością nie pozwala nam dostrzec szczegółów. Według tych samych sondaży główną rolę w poparciu dla „specjalnej

operacji wojskowej” odgrywają nie ludzie „biedni”, ale „bogaci”. Według niezależnego projektu socjologicznego Russian Field, który systematycznie publikuje wyniki badań sytuacji finansowej ankietowanych, deklaratywne poparcie dla Putina, „specjalnej operacji wojskowej” i „częściowej mobilizacji”, zaufanie do oficjalnych oświadczeń, a nawet gotowość do osobistego udziału w wojnie bezpośrednio korelują z poziomem możliwości: lojalność tych, którzy oceniają swoją sytuację finansową jako „wysoką”, jest przez cały okres trwania wojny średnio o 15-25 proc. większa niż tych, którzy oceniają ją jako „niską” i „bardzo niską”.

Należałoby zakładać, że niezależnie od poglądów poziom dochodów mniej więcej odpowiada poziomowi intuicji społecznej. I chociaż zamożniejsi ludzie są bardziej chronieni przed wstrząsami gospodarczymi, powinni też oceniać to, co się dzieje, w bardziej praktyczny sposób i bardziej dotkliwie odczuwać wpływ ogólnego kontekstu politycznego i gospodarczego na ich własne perspektywy.

Jednak tak się nie dzieje. Czy to w słowach, czy w czynach głównymi zwolennikami i promotorami wojny w Rosji są nie zdeprawowani przez propagandę „obywatele”, którzy nigdy nie trzymali w rękach paszportu, jak wyobraża ich sobie klasa wykształcona, ale zorientowane i zglobalizowane elity.

...

Ale kim są ci ludzie? Jak zorganizowany jest sukces w postsowieckim społeczeństwie? Paradoksalnie, najsilniejszą i najbardziej widoczną cechą postsowieckich elit jest ich niewidzialność i brak reprezentacji w sferze publicznej, z wyjątkiem samego szczytu.

Rosyjskie elity nie są elitami zasług i publicznego uznania – są elitami korupcji, czyli tajnych osiągnięć, bogactwa o niewytłumaczalnym pochodzeniu i wysokich płotów, za którymi się ukrywają. Istnieją w logice patronalnej i biurokratycznej, nawet jeśli nie są bezpośrednio związane z biurokracją państwową: dominująca część społeczeństwa jest pokryta solidną siecią biurokratyczną i władczą klientelą, a wzorce zachowań urzędowych już dawno rozprzestrzeniły się poza właściwy korpus biurokratyczny. Rosyjskie elity z reguły otrzymują swój status od patrona, zwierzchnika, a zatem ich reputacja nie jest publiczna i po prostu nie ma mitologii społecznej, która legitymizowałaby ich sukcesy w oczach społeczeństwa, a nawet w swoich własnych. Postsowieckie elity są klasą niewidzialną.

Inną ogólną cechą tych elit jest całkowity ideologiczny sceptycyzm, który uznaje jedynie prawo silnych i władzę pieniądza. Rosyjskie elity to elity wzbogacania się i konsumpcjonizmu, wyniesione do stopnia światopoglądu. Osobisty sukces materialny jest szczególnie sprzeczny z ideami dobra wspólnego i ogólnie idealizmem społecznym każdego rodzaju, które nie wzbudzają entuzjazmu – do tego wniosku można łatwo dojść, oceniając po prostu jakość infrastruktury społecznej, od mieszkań i usług komunalnych zaczynając.

Łączą one jednak brak ideałów z hiperlojalnością: składają się z przekonanych zwolenników reżimu. Ale są lojalni nie dlatego, że podzielają ideologiczny patos rządu, ale dlatego, że zapewnia on stabilność porządku społecznego.

Praktyka tych elit stała się hipokryzją przypominającą orwellowskie dwójmyślenie: zatwardziali przeciwnicy Zachodu inwestują w edukację dzieci i nieruchomości na Zachodzie, a liczby w deklaracjach podatkowych proporcjonalnie zaniżają ich rzeczywisty majątek – słowa są radykalnie sprzeczne z czynami i jest to norma społeczna.

Ale w tym samym stopniu dotyczy ona samej ideologii państwowej. Ideologią może być wszystko, jej treść jest dla elit drugorzędna wobec jej społecznej funkcji: przysięga „oficjalnym wartościom” jest tylko rytuałem lojalności i zapłatą za dobrobyt.

Nietrudno jest założyć, że te „niewidzialne elity wzbogacania się i hipokryzji” są wytworem tzw. złych lat dziewięćdziesiątych – okresu wczesnego kapitalizmu, który wyparł ze sceny społeczny idealizm ery sowieckiej. Tak uważa najlepszy znawca postsowieckiej biurokracji Aleksiej Nawalny. Z kolei dzisiejsi lewicowcy nazwaliby te elity elitami globalnego neoliberalizmu. Jednak obie hipotezy są błędne: postsowieckie elity są specyficznym dziedzictwem późnego radzieckiego porządku społecznego.

Dziesięć lat temu Stephen Kotkin, jeden z największych autorytetów wśród badaczy stalinizmu, oraz znany polsko-amerykański badacz Holokaustu Jan Gross wydali książkę „Rok 1989. Koniec społeczeństwa nieobywatelskiego” o upadku socjalizmu w Europie Wschodniej. Społeczeństwem nieobywatelskim była sowiecka nomenklatura: górna część aparatu państwowego, najwyższe władze partyjne i wojskowe oraz biurokratyczny establishment kulturalny, które tworzyły jeden organizm społeczny ze wspólnymi wartościami i strategiami.

To właśnie nagła rezygnacja społeczeństwa nieobywatelskiego z lojalności wobec radzieckiej ideologii pod koniec lat 80. zniszczyła wschodnioeuropejskie reżimy komunistyczne w taki sam sposób, w jaki panika bankowa niszczy system bankowy, piszą Kotkin i Gross. Przecistawiają skupienie uwagi na oportunistach elit socjalistycznych na wzór tych z 1989 roku znanemu obrazowi triumfu antykomunistycznej opozycji na ruinach muru berlińskiego.

Trafny termin „społeczeństwo nieobywatelskie” powinien być szeroko stosowany, odnosząc się nie tylko do radzieckiej nomenklatury, ale też do elit społeczeństwa z czasów późnego ZSRR jako całości – spo-

łecznie zaawansowanej klasy miejskiej, dużego i małego kierownictwa zaangażowanego w cykl wymiany administracyjnej, finansowej i symbolicznej.

Elity te powstają jakby w przeciwnym kierunku do zanikającego sowieckiego projektu; ich pojawienie się samo w sobie jest formą tego zanikania: idiosynkrazja wobec radzieckiej retorycznej egzaltacji i ideologicznej rytualizacji rodzi w latach 70. nową, antyidealistyczną etykę społeczną, rodzaj sowieckiego utylitaryzmu. Odżywczym pokarmem okazały się dla niego boom naftowy, który wpompował pieniądze w gospodarkę, oraz polityka détente, która zrobiła dziury w żelaznej kurtynie, ukrywającej przed ZSRR szybki wzrost gospodarki konsumpcyjnej na Zachodzie. Ow utylitaryzm stał się rodzajem równoległej, cieniejszej etyki społeczeństwa z czasów późnego ZSRR i etyki konsumpcjonizmu, która stworzyła szczególne symboliczne napięcie w świecie socjalistycznego deficytu.

Jednak scena publiczna w Związku Radzieckim jest w pełni zajęta przez sowiecką ideologię i walkę z nią, a zatem kult prywatnego sukcesu nie otrzymuje legitymizującej go społecznej mitologii. Kontynuując pilne wypełnianie radzieckich rytuałów, społeczeństwo nieobywatelskie późnego socjalizmu żyje i rozwija się w cieniu. Jednocześnie, w krytycznej, negatywnej ramie, staje się ono najważniejszym tematem „kultury stagnacji” – od kina gatunkowego, bez końca eksponującego szare schematy w warzywniakach i fabrykach odzieży, po wysoką prozę Jurija Trifonowa, który badał degradację rewolucyjnych ideałów i nowe zwycięstwo „burżuazji”.

Elity konsumpcjonizmu późnego ZSRR są prawie identyczne z postsowieckimi „elitami wzbogacania się”, co ma proste wyjaśnienie: to są te same elity i ta sama etyka. Jej propagatorami jest pokolenie lat 70., które weszło w dorosłość wraz z rozkwitem etyki wzbogacania się i znalazło się na scenie historycznej w pierwszej dekadzie XXI wieku, kiedy idealistyczne pokolenie odwiłży w końcu ją opuściło. Około 60 proc. dzisiejszej rosyjskiej elity politycznej, zgodnie z badaniem przeprowadzonym przez Marię Sniegową i Kirilla Pietrowa, wywodzi się bezpośrednio z nomenklatury późnego ZSRR, a jeden z typowych przedstawicieli pokolenia lat 70. został prezydentem Rosji.

Według Sniegowej ci przedstawiciele dzisiejszej wierzchuszki politycznej, którzy wywodzą się ze środowiska radzieckiej nomenklatury, niosą ze sobą jej wartości. To „ideały Stalina-Breżniewa”, „służba państwu”, „obrazy nieuchronności agresywnej konfrontacji Rosji z Zachodem”, a także „spojrzenie na całą przestrzeń postsowiecką jako strefę szczególnych interesów Rosji” i marzenia o przywróceniu jej strefy wpływów „właśnie na terytoriach byłego ZSRR”. Stąd badaczka uważa odmowę lustracji nomenklatury na początku lat 90. za historyczny błąd.

Tymczasem zupełnie inaczej wyobrażamy sobie sowieckie dziedzictwo. Takie wyobrażenia wiążą się z najbardziej wpływową i od dawna „powszechną” hipotezą o istnieniu w ZSRR szczególnego i dominującego typu społecznego – homo sovieticus.

Została ona szczegółowo opisana w książce „Sowietskij prostoj czelowiek” w 1993 roku przez Jurija Lewadę i jego kolegów z nowo utworzonego Wszechrosyjskiego Ośrodka Badania Opinii Publicznej, poprzednika obecnego Centrum Lewady.

Prosty człowiek sowiecki, jak postrzegali go socjologowie na początku lat 90., to człowiek ograniczony, infantylny i zawistny, który powierzył los państwu, stara się nie wyróżniać, jest elastyczny i przebiegły, boi się odpowiedzialności i kieruje się instynktem przetrwania. W 1993 roku wydawało się, że schodzi on ze sceny społecznej, ale dalsze obserwacje doprowadziły Lewadę do radykalnej rewizji tego wniosku: zdolność adaptacji i stabilność prostego człowieka sowieckiego okazały się tak wysoko rozwinięte, że umieściły go w centrum postsowieckiego porządku. To z kolei przesądziło o za-

hamowaniu impulsu pierestrojki w kierunku demokracji, a następnie osunięciu się Rosji w autorytaryzm.

Później socjologowie dodali do głównych cech homo sovieticus resentyment wymyślony przez Nietzschego, czyli rodzaj społecznego kompleksu niższości, który rekompensuje sobie poprzez aktywną negację bardziej udanych modeli społecznych (a dokładniej Zachodu). Z tego właśnie składa się przysłowiowa „większość putinowska”, te same 86 proc., które stały się memem.

Kwestia człowieka sowieckiego jest od dawna przedmiotem dyskusji naukowych i dziennikarskich. A jednak zaskakuje, jak bardzo się od siebie różnią – ten prosty człowiek sowiecki rosyjskiej socjologii, więzień paternalizmu i resentymentu, oraz nieprosty człowiek sowiecki elit postsowieckich i późnego ZSRR: zamiast paternalizmu ma on przedsiębiorczość administracyjną, biznes z pomocą państwa i wokół niego; zamiast resentymentu ma „deficyty symboliczne”, brak możliwości zalegalizowania własnych sukcesów społecznych (stąd biorą się żądza stopni naukowych u kierownictwa, która również sięga mód społecznych późnego ZSRR, oraz grawerowanie pomników słynnych ludzi).

Za dzisiejszymi elitami stoi potężna, dobrze zakorzeniona późno- i postsowiecka moralność społeczna, jaka ukształtowała stabilny porządek, który pomyślnie ewoluował przez pół wieku. Era postsowiecka jest nie erą homo sovieticus, lecz erą nieprostego człowieka sowieckiego: korupcja stała się legitymizowaną podstawą systemu politycznego i gospodarczego, a etyka wzbogacania się wyparła wartości idealizmu społecznego i politycznego, za którymi opowiadało się pokolenie lat 60. (jego najlepszym okresem była pierestrojka).

Dziś nieprosty człowiek sowiecki i społeczeństwo nieobywatelskie zajmują praktycznie całą rosyjską scenę. A więc główną rzeczą, którą społeczeństwo postsowieckie odziedziczyło po radzieckim, jest nie resentyment i paternalizm, ani nawet impe-

Nie przypadkiem Kreml rozważa anulowanie ustawy

o zamówieniach publicznych, o mobilizacji w dużych miastach nikt nie słyszał, a optymizm biznesu wychodzi poza skalę

rialne myślenie, ale połączenie specyficznej społeczno-biurokratycznej przedsiębiorczości z politycznym konformizmem, tj. depolityzacją.

Obraz świata nieprostego człowieka sowieckiego nie uznaje za wartość udziału politycznego. Uważa on, że machina demokratyczna jest nie mechanizmem, ale dekoracją. Brak zapotrzebowania postsowieckich elit na demokrację doprowadził do tego, że instytucje demokratyczne w nowej Rosji szybko przekształciły się w imitację, a fałszowanie wyborów stało się masową praktyką społeczną, w której główną rolę odgrywa to samo społeczeństwo nieobywatelskie, czyli kierownictwo niższego szczebla, dyrektorzy szkół i innych przedsiębiorstw budżetowych itp.

W ten sposób podstawą porządku społecznego jest nie publiczna konkurencja, ale biurokratyczna, w której główną przewagą jest nie uznanie społeczne, ale lojalność wobec tych, którzy są wyżej.

Zdepolityzowana postawa elit postsowieckich i późnego ZSRR, odrzucenie politycznych i intelektualnych wartości i aspiracji pozwoliły rosyjskiemu modelowi politycznemu ewoluować w dyktaturę personalistyczną, która ostatecznie rozpętała krwawą wojnę w Ukrainie. Rosję lat 90., pierwszej dekady XXI wieku i obecną ze schyłkowym ZSRR łączy ta sama moralność społeczna, moralność wzbogacania się i nieuczestniczenia. Wyrażenie „katastrofa moralna” to niejasny publicystyczny frazes, ale w przypadku Rosji 2023 ma konkretną socjologiczną treść.

Lojalność społeczeństwa nieobywatelskiego wobec reżimu jest ograniczona; podobnie jak w czasach późnego ZSRR nieprosty człowiek sowiecki jest całkowicie pozbawiony ideologicznego patosu i zaśłania swoje skorumpowane i biurokratyczne sukcesy gotowymi formułkami. Dziesiątki tysięcy kierowników, urzędników, menedżerów, przedsiębiorców wplecionych w biurokratyczną klientelę, „szanowanych” ludzi, którzy nie są w stanie wiarygodnie przedstawić reszcie społeczeństwa swoich sukcesów, są gotowi przysiąc przed najbardziej kanibalistycznym „przywódcą narodowym”, „specjalną operacją wojskową” i diabłem, jeśli zapewnią im pozycję i dadzą nowe możliwości.

Oznacza to jednak, że za wysokim poparciem dla wojny wśród elit stoi nie ideologiczna mobilizacja, ale inercja lojalności. Obecnie nieprosty człowiek sowiecki jest wciąż przekonany, że rząd Putina jest gwarantem jego dobrobytu. Jest jednak gdzieś punkt krytyczny, w którym jak zawsze po cichu odwróci się od zradkalizowanego reżimu, który zagroził jego dobrobytowi, a nowa fala paniki bankowej obali pozornie niezmienny system polityczny.

Sam reżim zdaje sobie sprawę, na czym opiera się jego poparcie, i stara się zrównoważyć swoje szalone ambicje z interesami nieprostego człowieka sowieckiego. Stolica i duże miasta, główne obszary jego działalności, są w większości omijane przez „częściową mobilizację” i przez propagandę wojenną.

Od początku wojny ustawodawstwo antykorupcyjne jest aktywnie demontowane; dyskutuje się nawet o anulowaniu ustawy o zamówieniach publicznych. Organizacje ekologiczne, które drażnią biznes i urzędników, są jedna po drugiej kryminalizowane.

Odpowiedź, czy Putin będzie w stanie utrzymać tę równowagę, nie jest łatwiejsza niż na jakiegokolwiek inne pytanie dotyczące naszej przyszłości. Na przykład – jak potoczą się losy nieprostego człowieka sowieckiego w następnym rozdziale historii, do którego szybko się zbliżamy. ●

Przeł. Weronika Leszczyńska

W Rosji zamknięto wszystkie wolne media. Redakcja portalu Meduza, wyrzucona z Rosji, straciła wpływy z subskrypcji, ale pracuje nadal z zagranicy. Dziennikarze i redaktorzy portalu zwracają się z prośbą do polskich czytelników o wsparcie. Przelewu można dokonać na **Support.meduza.io/en**

Kaczyński i Orbán wymykają się definicjom

NIPIES,
NIWYDRAJak opisać słonia,
mając do dyspozycji tylko pojęcia dotyczące ryb

Wojciech Sadurski*

Po upadku komuny w Europie Środkowej i Wschodniej na świecie zapanowało przekonanie o tym, że oto następuje wiosna demokracji. Bo nie tylko odejście pokracznych ustrojów „realnego socjalizmu” ze sceny, ale także zmierzch apartheidu w RPA, despotcji wschodnioazjatyckich (Korea Płd., Tajwan, Filipiny), dyktatur wojskowych w Ameryce południowo-wschodniej...

Mamy trzecią falę demokracji (po XIX-wiecznej i tej, która nastąpiła po II wojnie światowej) – cieszył się wybitny politolog Samuel Huntington, a za nim tłum publicystów i naukowców.

Wśród tych ostatnich powstała moda na „tranzytologię” (od „transition”, przejście). Wyglądało na to, że na początku ostatniej dekady ubiegłego wieku coraz więcej państw znalazło się na lotnisku transferowym, między lotniskami A i C. Punkt wylotu, czyli A, mógł mieć różne oblicza, wszystkie brzydkie, ale lotnisko docelowe miało być zawsze takie samo: demokracja liberalna, gospodarka rynkowa, prawa człowieka, praworządność. Tylko po drodze jest jeszcze ten punkt B, to miejsce przesiadkowe, które trzeba jak najprędzej opuścić, by znaleźć się w upragnionym miejscu C: czymś, co może przypominać Szwecję albo Wielką Brytanię, albo Stany Zjednoczone, co kto woli. Szczegóły demokracji liberalnej nie mają znaczenia, bo, parafrazując Tolstoja, wszystkie udane demokracje są takie same, tylko nieudane demokracje są felerne każda na swój sposób...

No, ale przejście do punktu C nie nastąpiło, a na miejsce radoznego optymizmu przyszła Wielka Smuta: bestsellerami są książki o tytułach „Jak umierają demo-

kracje” i podobnie. Samo pojęcie „tranzycji” sugerowało, że to etap krótki i stosunkowo bezbolesny.

Tymczasem stał się zjawiskiem trwałym: Polska za pierwsze, a potem drugiego PiS, Węgry Orbána czy Indie Modiego okopały się na swoich niedemokratycznych pozycjach i zaprezentowały obraz systemu zadowolonego z siebie i wcale nie kwapiącego się do punktu C. Autokraci wybrani w wolnych i (początkowo przynajmniej) w miarę uczciwych wyborach obalili podział władzy, śmieją się z rządów prawa i kolonizują kolejne instytucje państwowe, zadowoleni z poparcia dużej części społeczeństwa.

Tranzytologię zastąpiła więc „hybrydologia”. Już nie transformacja, ale raczej hybrydowość ma być instrumentem opisu autorytarnych populizmów na wzór PiS, Fideszu czy BJP w Indiach. Bo są to systemy niedające się opisać w prostych dychotomiach na skali demokracja – despotyzm. Z jednej strony elementy demokratyczne, ale wypaczone przez brak podziału władzy i przechył szans reelekcji na rzecz rządzących populistów. „Ni pies, ni wydra”, mówił zapomniany już na szczęście klasyk.

Bardziej subtelną zoologiczną analogię proponowała, polemizując z opisami „hybrydowymi”, znana publicystka „New Yorkera” Masha Gessen: „To tak, jakby opisywać słonia przy pomocy języka zaczerpniętego z wiedzy na temat ryb, używając słów takich jak »łuski« czy »pletwy«”. W książce „Surviving Autocracy” („Przeżyć autokrację”) z roku 2020 Gessen dodaje: „Dowiemy się co najwyżej, że słon nie jest rybą i nie umie pływać. No ale czym jest?”.

Gessen cytuję nieprzypadkowo, gdyż jej rekomendacja figuruje na okładce znakomitej książki Bálinta Magyara i Bálinta Madlovicsa „Krótki przewodnik po syste-

mach postkomunistycznych”, której świetne tłumaczenie (brawo, Sergiusz Kowalski!) właśnie ukazało się w Polsce. Autorzy już na wstępie posługują się tą samą analogią, wskazując na absurdalność opisów nowego ustroju w kategoriach hybrydowości: „Nieprzemysłane wykorzystanie języka liberalnej demokracji wprowadza szereg ukrytych założeń, których nie tylko nie możemy zweryfikować, ale nawet ich sobie nie uświadamiamy. Stwierdzenie, że słon nie ma skrzelu ani pletwy, nie mówi wiele o tym, czym on w istocie jest; nie ma też sensu uznanie go za »wadliwą« czy »nieliberalną« rybę, która nie żyje w wodzie”.

Myszę jednak, że autorzy trochę przesadzili ze swoją krytyką stosowania kryteriów demokracji do nowych systemów środkowoeuropejskich. Sam fakt, że Kaczyński czy Orbán stale podkreślają demokratyczny charakter swych ustrojów, powoduje, że demokratyczne kryteria oceny ich krajów na-

stytucja. Opis faszyzmu w kategoriach odstępstw od demokracji rzeczywście byłby absurdalny – ale już autokratycznych ustrojów postkomunistycznych nie, bo aspiracje demokratyczne są głęboko zakorzenione w „popycie społecznym” (oczekiwania społeczne) i w „podaży politycznej” (programy partyjne).

Stąd próby opisu nowych autokratyzmów w kategoriach demokracji przymiotnikowej – np. demokracja nieliberalna czy demokracja elektoralna. Może nietrafne – ale niekoniecznie absurdalne, jak połączenie słonia z rybą.

Magyar (niegdyś polityk Związku Wolnych Demokratów i minister edukacji w rządach liberalno-lewicowych) osiem lat temu napisał „Węgry. Anatomia państwa mafijnego” – rewelacyjną analizę Węgier Orbána. Dowodził, że cechą tego państwa jest „logika akumulacji władzy i bogactwa” i idące za tym

musu”. Radzę wczytać się w tę niełatwą definicję, bo zawarte jest w niej wszystko, co ważne także dla „Krótkiego przewodnika”, tyle że mamy w nim już nie tylko Węgry, ale wszystkie postkomunistyczne państwa.

„Patronalizm” (nie mylić z paternalizmem!) jest słowem kluczem do analizy Magyara i Madlovicsa. Nie ucieka ona całkowicie od analogii mafijnej, co cieszy dziennikarza śledczego „Wyborczej” Wojciecha Czuchnowskiego i mnie samego, gdyż za „mafię” czy „zorganizowaną grupę przestępczą” obaj mieliśmy w Polsce niejaki kłopoty w sądach. Jak pisał dziś węgierscy autorzy, „państwo mafijne jest próbą usankcjonowania władzy patriarchalnej głowy rodziny w skali kraju z wykorzystaniem demokratycznego systemu. W autokracji patronalnej wzorzec państwa przestępczego obejmuje rząd centralny. Państwo przestępcze jest produktem monopiramidalnej sieci patronackiej”.

Te dwa zdania wyjaśniają kluczową tezę autorów. Składają się na nią „autokracja patronalna” i „monopiramidalna sieć”. Autokracja patronalna jest oparta na „patronie”, takim jak Orbán, który stoi na szczycie piramidy kontrolującej władzę i bogactwo w skali kraju. „W systemie tym naczelnym patronem jest poligarcha, którego decyzje są ostateczne. W polityce i gospodarce jego słowo jest prawem”. Zaś owa „monopiramidalna sieć patronacka” oznacza, że w odróżnieniu od miejsc, gdzie jest wiele „piramid patronackich”, które mogą konkurować, w autokracji jest tylko jedna taka piramida. Czyli nie rywalizujące ze sobą mafie, tylko jedna. Jak ta sycylijska. Stąd – państwo przestępcze.

Ale nie każdy system postkomunistyczny ma taki właśnie kształt przestępczego państwa: jego skrajnym wciele-

Błędem jest branie
retoryki Kaczyńskiego
za dobrą monetę.
Jego religią jest władza.
To nie ideolog, ale cynik

zrzucają się same przez się. W istocie populiści twierdzą, że ich demokracja jest lepsza niż ich poprzedników, bo daje „suwerenowi” najwyższą władzę, nieskrępowaną rozmaitymi bezpiecznikami, jak niezależne sądy czy kon-

„połączenie koncentracji władzy politycznej i wzrostu majątku w rękach adopcynnej rodziny politycznej przy użyciu kultury mafijnej, podniesionej do rangi polityki centralnej, wykorzystującej państwowy monopol przy-



ILUSTRACJA PATRYK SROCYŃSKI

niem dla węgierskich badaczy są oczywiście Węgry Viktora Orbána. To na ich podstawie konstruują model skonsolidowanej autokracji patronalnej, który dla nas, Polaków i Polek, chwilę przed kluczowymi wyborami będzie szczególnie przydatny, bo pomaga odpowiedzieć na pytanie: w którym punkcie jesteśmy?

Przełożmy cechy skonsolidowanej autokracji na warunki polskie.

Po pierwsze: „dominacja w sferze komunikacji, co neutralizuje opozycję na etapie dyskusji”. W Polsce, wiadomo: TVP; wspierane finansowo media prorządowe; sekowanie opozycji w debatach sejmowych.

Po drugie: „brak równowagi prawnej i instytucjonalizacja kierowniczej roli partii, co neutralizuje stowarzyszenia i ruchy opozycyjne”. Brzmi znajomo? Przywileje dla zaprzyjaźnionych, konserwatywnych NGO, dyskryminowanie liberalnych, demokratycznych ruchów. Wielkie pieniądze pompowane z państwa do partii i zaprzyjaźnionych grup.

Po trzecie: „kampanie budujące lojalność i zmanipulowane wybory, odbierające głosującym wolność wyboru”. U nas: lipne referendum z kampanią budującą lojalność wokół partii rządzącej. Manipulacja referendalna odzierająca wybory z tajności głosowania.

Po czwarte: „instrumentalizacja prawa, tworzenie uznaniowych praw »szytych na miarę«, wymierzonych w polityczno-ekonomiczno-społecznych przeciwników”. Jasne: kolejne zmiany ustaw sądowniczych eliminujące niezależność sądów; ustawy o komisji anty-Tusk czy o zwiększeniu uprawnień „europejskich” prezydenta.

I po piąte: „selektywne egzekwowanie prawa na szkodę przeciwników i dla dobra politycznej rodziny adopcyjnej”. Czyli przesładowanie oponentów, choćby przy wykorzystaniu przepisów o zniesławieniu, przy całkowitym odpuszczeniu np. dwóch wień czy rozlicznych innych afer obozu władzy. Zgodnie ze sławną maksymą peruwiańskiego przywódcy Óscara Benavidesa: „Dla moich

przyjaciół – wszystko, dla moich wrogów – prawo”.

Magyar i Madlovics wskazują: „Tak oto skonsolidowana autokracja patronalna broni się przed naciskami z zewnątrz, nie uciekając się do masowego terroru i nie likwidując de iure politycznego pluralizmu”. Stąd Białoruś czy Turcja nie pasowałyby do opisu tego nowego ustroju. Próżnię wytworzoną przez brak terroru wypełnia intensywna retoryka populistyczna, która buduje wsparcie dla systemu, a przynajmniej lojalność: „ideologiczne narzędzie pozwalające realizować polityczny program zbiorowego egoizmu, uwolnionego od wszelkich ograniczeń moralnych”. Polakom czytelnikowi natychmiast narzuca się obraz nieszczęśników na granicy białorusko-polskiej, a naprzeciw „Murem za polskim mundurem”.

Druga, poza amoralnym egoizmem, formuła populistyczna to rozmaite teorie spiskowe: „logiczna konsekwencja populistycznej retoryki. W manichejskim światopoglądzie każdy bowiem musi stać po jednej lub drugiej stronie”. Polakom czytelnikowi nasuwa się natychmiast jedno słowo: Smoleńsk. I wieczny żal do całego świata, że nie dostrzega naszej wspianłości i wyjątkowości; coś, co polska psycholożka społeczna pracująca w Londynie, Agnieszka Golec de Zavalá, nazywa „zbiorowym narcyzmem”.

I na koniec: wykluczanie z narodu i stygmatyzowanie. Jak piszą węgierscy naukowcy, „można niektórych wykluczyć z narodu, nie każdy bowiem, kto jest obywatelem, a więc należy do narodu według jego pierwotnej definicji, jest automatycznie kimś, kto działa w imieniu narodu”. Pamiętają państwo perorowanie Andrzeja Zybertowicza – naukowca wiedzącego, gdzie aktualnie stoją konfitury – o tym, że ci, którzy nie spełniają pewnych oczekiwań, „wypisują się z polskości i polskiego Narodu”? Albo bredzenie Kaczyńskiego o wydumanej „ojkofohii” (czyli nienawiści do swego narodu) przeciwników PiS?

Zgodnie z podejściem „słoi a sprawa polska” czytamy tę wybitną książkę, mając Polskę w głowie. Obaj Bálintowie kwalifikują polski przypadek jako autokrację konserwatywną, odmienną od „autokracji patronalnej”. Myślę, że się mylą, z dwóch przyczyn: przeceniają „konserwatywny”, ideologiczny charakter systemu Kaczyńskiego i jednocześnie nie doceniają skali „patronackiego” charakteru owego układu. Po kolei:

Autorzy uważają, że w Polsce rządzi władza „fanatyczna”, skłonna do reprezentowania kwestii ideologicznych wbrew racjonalności politycznej. Kaczyński „kieruje się” ideologią, w przeciwieństwie do Orbána, który co najwyżej „używa” ideologii dla pragmatycznych celów. Jak twierdzą autorzy, po dojściu do władzy „Kaczyński zainicjował politykę wdrażania ideologicznych pryncypiów: koncentracja władzy szła w parze z dążeniem do hegemonii »narodowo-katolickiego« systemu wartości”.

Myślę jednak, że błędem jest branie retoryki Kaczyńskiego za dobrą monetę. On i jego ludzie

są „konserwatystami” w najbardziej płytkim znaczeniu tego słowa, jeśli w ogóle, a „narodowo-katolicki system wartości” jest dla nich przydatnym instrumentem uzyskania poparcia Kościoła. Nie jest więc tak, by ideologiczny „fanatyzm” Kaczyńskiego był w sprzeczności z racjonalnością polityczną z punktu widzenia interesów kasty rządzącej, a mianowicie akumulacji władzy i bogactwa. Bez Kościoła radiomaryjnego byłoby to o wiele trudniejsze – taki mamy klimat. Nic w życiorysie, zachowaniach czy publicznych wystąpieniach nie wskazuje na jakieś żarliwe przywiązanie Kaczyńskiego do religii chrześcijańskiej. Jego religią jest władza. To nie ideolog, ale cynik.

Jednocześnie węgierscy uczeni nie doceniają skali „patronalnego” charakteru polskiej autokracji. Być może to patologia na proporcjonalnie mniejszą skalę niż na Węgrzech. Ale w dzisiejszej Polsce przyklejenie się do kasty rządzącej jest gwarancją stanowisk, a co za tym idzie – bogactwa. Skala klientelizmu, polegającego na obdarowywaniu lojalnych działaczy królewsko opłacanymi funkcjami w spółkach skarbu państwa, zamówieniami publicznymi, awansami czy reklamami (w przypadku mediów), jest olbrzymia.

Bogactwo liderów partyjnych: premiera, wynikające po części ze spekulacji umożliwionych przez wpływy polityczne, czy samego prezesa, czerpiącego z publicznych środków korzyści w naturze, m.in. gigantyczną ochronę osobistą, pokazuje ścisły związek między władzą polityczną w Polsce PiS a bogactwem. Z tym że – w odróżnieniu od wczesnego kapitalizmu na Zachodzie – wektor u nas jest w kierunku od polityki do bogactwa, a nie na odwrót. Klasa oligarchów – np. senatora Biereckiego, który zdobył potężną fortunę dzięki wpływom politycznym (patronatowi Lecha Kaczyńskiego i jego usłużnego urzędnika Andrzeja Dudy) – jak najbardziej istnieje i łączy w sobie władzę pieniędza, polityki i mediów. Niezwykła kariera Daniela Obajtka przypomina zblatowanych z Orbánem węgierskich oligarchów, którzy nadzwyczajne bogactwo zawdzięczają poparciu patrona. W przypadku Obajtka ekonomicznie irracjonalne posunięcia Orłenu, takie jak kupno plajtujących gazet lokalnych, są źródłem jego pozycji, a co za tym idzie – fortuny: gdyby nie wykonywał zleceń politycznych, byłby nadal wójt w Pciimiu.

Systemowej korupcji, oligarchizacji i potężnych fortun wynikających z politycznej laskawości jest może u nas – proporcjonalnie – mniej niż na Węgrzech. Ale to różnica tylko ilościowa, nie jakościowa. Bo w systemie patronalnym: „gdy zyski oligarchów zależą od przywilejów oferowanych przez polityków, nieformalne powiązania polityczne stają się niezbędne dla utrzymania statusu członka elity ekonomicznej, przy czym powiązania te mogą zostać jednostronnie unieważnione przez stronę polityczną”. Czyż nie tak działa system oparty na „Cześć, Wujku”?

Na pociechę, Magyar i Madlovics uważają, że perspektywy odrzucenia tego modelu są całkiem spore. „Szanse

przewyciężenia polskiej próby zbudowania konserwatywnej autokracji są duże, nawet w obecnych ramach instytucjonalnych. Decydują o tym silne mechanizmy obronne, m.in. proporcjonalny system wyborczy, na mocy konstytucji zapobiegający nadmiernej koncentracji władzy, i silne społeczeństwo obywatelskie”. Jest pewną osobistą satysfakcją, że autorzy powołują się w przypisie na moją niedawną książkę „Polski kryzys konstytucyjny”.

Jednak od czasu, gdy ją pisałem, sporo się wydarzyło: autokracja została umocniona, władza skoncentrowana jest niemal totalnie (pomijając Senat, NIK czy liczne sądy), społeczeństwo obywatelskie zostało po części rozbite stworzeniem przez władzę własnych, prorządowych NGO typu bojówek Bąkiewicza, a system wyborczy został zmanipulowany kombinacjami przy okręgach wyborczych i wprowadzeniem kłamliwego „referendum” w dniu wyborów.

„Zwróceniu się ku autokracji patronalnej zapobiega sam charakter PiS, jego skład personalny, zasady i program, jak również tradycje i terażniejszość polskiej prawnicy” – pocieszają nas dwaj Bálintowie, ale żaden z tych czynników nie jest przekonujący. „Charakter PiS”? Partia wodzowska. „Skład personalny”? Mierni, ale wierni. „Zasady i program”? Wola wodza programem partii. Na koniec „tradycje polskiej prawnicy”? A cóż to za „prawica”, która zaprasza faszystę na swoje listy? Raczej ta spod znaku kastetu.

O tym, na ile nasi węgierscy przyjaciele mają rację, przekonamy się już za miesiąc. ●

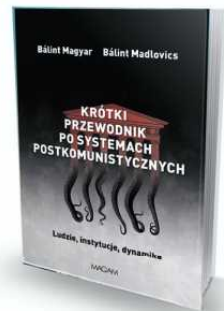


FOT. DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Wojciech Sadurski

● Jest profesorem filozofii prawa Uniwersytetu Sydneyjskiego i profesorem w Centrum Europejskim UW. Niedawno, nakładem Austerii, ukazała się jego książka „Demokracja na czarną godzinę”.

„Krótki przewodnik po systemach postkomunistycznych”. Bálint Magyar i Bálint Madlovics, przeł. Sergiusz Kowalski, wyd. Magam.



Jak żyć, gdy większość obywateli uważa porażkę swojej partii w wyborach za przegraną całego kraju?

Leszek Jażdżewski*

„Nihil esse bello civili miserius” -
„Nie ma nic gorszego od wojny domowej”.

Marcus Tullius Cicero, „Listy do przyjaciół”

Dla opozycji stawką tych wyborów jest przetrwanie demokracji. Dla rządzących – dla wielu tylko w cynicznej retoryce, ale część z nich naprawdę w to wierzy – narodowa suwerenność. Kiedy stawki są absolutne, walka musi się toczyć aż do całkowitego zwycięstwa. I nadchodzi czas apokalipsy.

„Nad światem chaos; mętna, krwawa kipiela,
Która zalewa falami i topi
Wszelkie misteria dawnej niewinności
Najlepsi w nic nie wierzą, a najgorsi
Cali aż wrą od niespożytej pasji”.

William Butler Yeats, „Drugie przyjście”.
Tłum. Antoni Libera

Duch ragnaröku unosi się nad Europą. To ostateczne starcie bogów w mitologii skandynawskiej, opisane w islandzkim poemacie „Völuspá”. Ziemia zaplonie, słońce i księżyc zostaną zniszczone, niebiosy upadną, ragnarök będzie końcem znanego świata bogów i ludzi. Wyloni się nowy świat, ci, którzy przetrwają, będą świętować pod złotym sklepieniem.

Dominującym nastrojem w zachodnich demokracjach jest nastrój apokaliptyczny, przestrzega Ivan Krastev. To będą najważniejsze wybory od dekad, słyszymy od USA przez Francję po Polskę, Izrael i Turcję. Tymczasem demokracje słabo znoszą walkę o wszystko. Warunkiem ich istnienia jest dalszy ciąg. Demokracja jest rodzajem niekończącej się gry, jak zauważa Simon Sinek w bestsellerze „Infinite Game”. Reguły i gracze się zmieniają, ale sama gra trwa nadal. W momencie, w którym możliwe jest ostateczne rozstrzygnięcie i jedna ze stron zostanie ostatecznie „pokonana”, politykę zastępuje przemoc.

Demokracja potrzebuje dramaturgii, Krastev powtarza za Tocqueville’em. Jednak po dramaturgii wyborów nastąpić powinna zwyczajność rządów. Czy to możliwe, skoro większość obywateli uważa porażkę w wyborach za przegranie całego kraju? W erze populizmu porażka jest najbardziej formą delegitymizacji polityki.

Partie walczące o władzę stają się zakładniczkami totalnej retoryki. „Oni” nie mogą wygrać w uczciwej walce. Wybory nie rozstrzygają już o preferencjach programowych wyborców, ale są starciem dobra ze złem. Demokratów i autokratów, zdrajców i patriotów. Jeśli wygrali przeciwnicy, to znaczy, że doszło do oszustwa. Lud nie może się mylić.

Populizm degradujący liberalne instytucje odpowiada za to, że stawki w ramach demokracji podskoczyły tak raptownie. Liberalizm chroni polityków przed nimi samymi. Nie pozwala na podjęcie decyzji, w wyniku których skończyć mogą w więzieniu. Leszek Miller powiedział kiedyś, że reguły państwowe należy tworzyć pod swoich przeciwników. Antyliberalny z zasady populizm jest tej rozsądnej zasady przeciwieństwem.

Kiedy instytucje stają się wydmuszkami, a reguły nie obowiązują, wszystko sprowadza się do politycznej woli. Ryzyko, że populiści wykorzystają osłabienie reguł do konsolidacji władzy, jest zbyt wielkie, żeby ich przeciwnicy mogli zaryzykować porażkę. Ale i populiści, kiedy raz pójdą drogą

demontażu państwa prawa i liberalizmu, muszą zapewnić sobie bezkarność. Żelazny list chroniący przed więzieniem w państwie bez reguł zapewnia jedynie władzę.

Cynizm – ten niedoceniany sojusznik populistów – instrumentalnie posługuje się wartościami. To on wydrążył od wewnątrz debatę publiczną. Dla każdej wartości znajduje odpowiedni kurs wymiany na walutę poparcia. Tak politykę widzą spin doktorzy. Przyjęcie tej optyki przez dziennikarzy i komentatorów niszczy debatę publiczną. Przyzwoitość staje się balastem – lecz bezwzględna walka o władzę, nawet jeśli po „właściwej” stronie, „tylko na chwilę”, instrumentalnie, bo „cel uświęca środki”, ma konsekwencje. Sprzyja niszczeniu reguł.

Populizm wyklucza też inność, z którą można negocjować i współżyć, zmieniając każdy spór w „My” vs. „Oni”. „Hasło

tów politycznych przewidywane są przez przekonanie, że przeciwnicy polityczni nie lubią i dehumanizują grupę, do której należy respondent” – kwituje Paulina Górską w raporcie Centrum Badań nad Uprzedzeniami „Polaryzacja polityczna w Polsce. Jak bardzo jesteśmy podzieleni?”.

To rodzaj uderzenia prewencyjnego: wiem, że przeciwnik chce mnie zniszczyć, więc zaatakuję pierwszy. Social media powodują, że wojna trwa cały czas. Zaangażowani użytkownicy są mięsem armatnim, a niezaangażowani stają się celem precyzyjnie zaplanowanych kampanii. Parafrazując Clausewitz: polityka staje się wojną prowadzoną przy użyciu innych środków.

Marcin Napiórkowski w „Naprawić przeszłość” tłumaczy niezwykłą solidarność Polaków z ukraińskimi uchodźcami tym, że wojna pozwoliła stworzyć „nowe my” – no-



»My i Oni, Oni i My«, zawsze w domniemanej kontrze, determinuje zachowania, rozmowy, wybory; zamyka w bańkach, w jakimś sensie odczłowiecza” – pisze Magdalena M. Baran w raporcie „Liberté!”, „Wartości i cele. Jak budować etykę rządu”. Obcy to „ktoś, kto nigdy nie może się znaleźć w naszej rzeczywistości”, zauważa Michał Paweł Markowski w „Wojnach nowoczesnych plemion”. Kogo obecność oznaczała by zniszczenie sfery wyobrażonej, na której tę rzeczywistość się buduje. Obcy. Dlatego pisowska propaganda o Tusku nie wspomina inaczej niż w niemieckim sztafazu. Brak jakichkolwiek politycznych konsekwencji dla autorów tej haniebnej akcji świadczy o niebywale krótkiej pamięci opinii publicznej. Cztery lata temu, po nieporównywalnie mniejszej nagonce, zamordowany został Paweł Adamowicz.

Lecz zanim wbijemy się w poczucie fałszywego moralnego komfortu: nie tylko „lud pisowski” jest antagonisticznie nastawiony do drugiej strony. To zwolennicy opozycji częściej postrzegają negatywnie zwolenników PiS niż na odwrót. Częściej też spodziewają się ze strony „pisowców” dehumanizacji. „Zarówno wśród zwolenników PiS, jak i zwolenników partii opozycyjnych negatywne uczucia wobec oponen-

wą opowieść o wspólnocie, w której Polacy i Ukraińcy stanowili część większej całości.

Dziś nie jest wcale pewne, czy sami Polacy wciąż stanowią jeszcze jeden naród polityczny.

Testem będzie poważny kryzys instytucji państwa. Wprowadzenie stanu wyjątkowego przy granicy z Białorusią skutkujące przesunięciem wyborów albo decyzja kontestowanej Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych Sądu Najwyższego w sprawie protestów wyborczych lub też stwierdzająca nieważność wyborów w całości lub częściowo.

Takim kryzysem, którego udało się w ostatniej chwili uniknąć, były planowane przez partię rządzącą pandemiczne wybory kopertowe, uchylone „bez żadnego trybu”, oraz głosowanie w Sali Kolumnowej zamiast w sali plenarnej podczas okupacji Sejmu przez opozycję. Każda z tych sytuacji mogła prowadzić do przesilenia nie przy urnach wyborczych czy w parlamentarnym głosowaniu, ale na ulicy.

Zniszczenie niezależnych instytucji przez PiS, włącznie z tymi odpowiedzialnymi za organizację i weryfikację wyborów, oznacza, że nie ma już arbitra, do którego będzie można się odwołać w sytuacji kryzysowej. Kiedy procedury są czysto umow-

ne, na służbie interesu partyjnego, nie ma żadnej siły, która mogłaby zatrzymać nakręcanie się konfliktu między politycznymi wrogami, z których żaden nie może pozwolić sobie na porażkę.

A rozróżnienie na wroga i przyjaciela w polityce jest centralnym pojęciem. Wróg może być piękny, handel z wrogiem może być opłacalny – pozostaje jednak „tym innym, obcym i to w zupełności wystarczy, aby określić jego istotę” – przypomina Carl Schmitt w „Pojęciu polityczności”. Istnienie wroga zagraża naszemu stylowi życia, naszemu istnieniu jako podmiotowej wspólnoty. To konflikt egzystencjalny, nienegocjowalny, a jednocześnie definiujący.

Teoretyczny konstrukt Schmitta, stworzony w upadającej Republice Weimarskiej, odnosił się przede wszystkim do antagonistycznych relacji między państwami. Jest jednak możliwe, pisze Schmitt, że kiedy państwo straci jedność polityczną, która łagodzi przeciwieństwa pomiędzy partiami, wówczas to napięcia wewnętrzne polityczne wysuwają się na pierwszy plan. „Powstają ugrupowania, które formują się według kryterium przyjaciela i wroga. Takie wewnętrzne podziały mają kluczowe znaczenie ze względu na możliwość wybuchu zbrojnego konfliktu. Realna możliwość walki, stale obecna w polityce, by w ogóle można było o polityce mówić, nie dotyczy już wojny między zorganizowanymi zbiorowościami narodowymi – państwami lub imperiami, lecz wojny domowej”.

Chciałbym wierzyć, że prędzej czy później nastąpi jakiś wstrząs, który uchroni nas przed zbiorowym samobójstwem, przynosząc refleksję, że tą drogą dalej iść nie możemy. Choć, zważywszy na liczne dziejowe przykłady, bardziej prawdopodobna jest refleksja przychodząca ponieważ się, gdy biegu wypadków nie da się już zatrzymać.

Więcej Polaków prędzej uwierzy w UFO niż w instynkt państwowy polskich polityków. Partyjni liderzy nie byłiby jednak tam, gdzie są, gdyby nie zostali obdarzeni nadzwyczaj wyczulonym instynktem samozachowawczym. Gdy już uruchomią kolejne transfery socjalne bez pokrycia, rozpala konflikty skutkujące paraliżem podstawowych usług publicznych, wywołają głęboki kryzys ekonomiczny i ekologiczny, w oczach pojawi im nowy, bardziej utalentowany i bezwzględny Lepper. Rozbujanie polskiej łódki ponad miarę będzie dla polskiej klasy politycznej zabójcze.

Czy można odnowić reguły? Dziś wydaje się to abstrakcją. Jeśli jednak najbliższe wybory skończą się wynikiem nierozstrzygniętym, dla bazowego funkcjonowania państwa niezbędne staną się niewyobrażalne dziś kompromisy.

Polityka musi być poddana regułom, inaczej zmienia się w rządę motłochu – przypomina Hannah Arendt w „Korzeniach totalitaryzmu”. Nie może być jednak wyzuta z pasji. Często to właśnie „najgorsi cali aż wrą od niespożytej pasji”, podczas gdy szlachetni są pełni wątpliwości i dzielą włos na czworo.

Z drugiej strony polityka jest przestrzenią konfliktów. Michael Walzer w „Polityce namiętności” zauważa, że wyzbyci emocji politycy mogą się pożegnać z walką o władzę. Dziś tę polityczną pasję nas wszystkich należałoby ukierunkować na przywrócenie reguł.

Stoi przed nami – żyjącymi dziś tu i teraz Polkami i Polakami – zadanie daleko większe niż przywrócenie podstawowych reguł państwa prawa, zadanie niemalże heroiczne. To zawiązanie na nowo wspólnoty tożsamości. Polska historia to horror nieudolnie przerabiany na western. Polski patriotyzm domaga się daniny krwi. Odnowienie wspólnoty wymaga postawienia pytania o obowiązki wobec niej. Odwrócenie pytania: „czy umrzesz za ojczyznę” na: „jak dla niej i z nią żyć”.

Tożsamość wspólnotowa Polaków opiera się na kilku fundamentalnych skryptach.

Walki narodowowyzwoleńczej. Zdrady narodowej. Etno-religijnego rozróżnienia swój – obcy (na przykład Polak katolik vs. Żyd). Nieufności do instytucji i osób spoza najbliższego kręgu. Kompleksu wobec lepiej rozwiniętego Zachodu połączonego z poczuciem moralnej wyższości. Uwniesieniu klęski. Doświadczeniu trudnych czasów i strachu przed ich powrotem.

Każdy z nich ma logiczne uzasadnienie w najnowszej historii. Każdy z nich był na jakimś etapie niezbędny do przetrwania wspólnoty narodowej pozabawionej państwa, przesiedlanej, prześladowanej i prześladowanej, walczącej o granice, zachowanie tożsamości, ale też pewnego szlachetnego wyobrażenia siebie i własnej historii. Bez niezbędnej dozy złudzeń i przemilczeń dzieje narodu, który tak wiele przegrał i tak bardzo zmalął – w porównaniu z monumentalną historią sprzed wieków – byłyby historią klęski. Aż do roku 1989.

Sukces Polaków zaskoczył. Nie mieli na niego odpowiednich szufladek. Opowieści, które go zdefiniowały, o klasie średniej, kapitalizmie i przedsiębiorczości, były importem. Nie jest więc wcale dziwny paradoks, że odrzucenie opowieści transformacyjnej przyszło wraz z sukcesem ekonomicznym i poprawą warunków bytowych. Tocqueville pisał, że rewolucja wydarza się nie wtedy, gdy ludziom się pogarsza, ale kiedy się im poprawia. Polakom nabranie pewności siebie umożliwiło wreszcie zrzućcie krępujących naleciałości. Krastev pisze w książce „Światło, które zgasło” o tym, że imitujący spoglądają na imitowanych z pozycji niższości. Psychologiczny dyskomfort powoduje spóźnioną w czasie reakcję. Tym jest właśnie słynne „wstawanie z kolan”.

Odnowienie wspólnoty narodowej to odnowienie więzi między kreującą trendy, mody i treści elitą, kosmopolitami, którzy wiedzą, że tożsamość to konstrukt, i sami się stwarzają, dla których adres to kwestia wyboru, i wszystkimi pozostałymi, tymi, którzy w pandemii nie przeszli „na zdalne”, którzy mieszkają w miejscu, w którym się urodzili, i tam też umrą, którzy nie zmieniają, ale są zmieniani, którzy z tramwaju Modernizacja wysiedli na przystanku Niepodległość.

W XIX wieku elity użyły nacjonalizmu, żeby stworzyć narody, które na początku XX wieku rozsadziły europejskie imperia. Dziś nacjonalizm służy obywatelom do dyscyplinowania liberalnych elit. Nacjonalizm pozbawiony pierwiastka liberalnego wypacza się w ksenofobię. Liberalizm bez pierwiastka narodowego pozbawiony jest politycznego znaczenia.

Problem w tym, że indywidualizm Polaków jest antypolityczny. Skierowany w prywatność, rodzinę – od lat wymienianą na szczycie hierarchii wartości. W połączeniu z kolektywną mentalnością narodową – wymuszającą jedność w obliczu narodowych tragedii – wyklucza świadome zaangażowanie w budowanie zróżnicowanej wewnętrznie wspólnoty. Antypolityczny indywidualizm mówi „nie” polityce, antypluralistyczna polityka mówi „nie” jednostkowemu zróżnicowaniu.

Te skrajności próbują, tak jak potrafią, zagospodarowywać politycy. Łatwo rozpoznać, kiedy odwołują się do jednych lub drugich emocji, piętnując pazerność władzy i obiecując niższe podatki, strasząc inwazją migrantów lub obcymi wpływami. Dopóki Polska tożsamość pozostanie schizofreniczna, dopóty skazani będziemy na dysonans. Wielkie zrywy, jak „Solidarność” czy pomoc Ukrainie – i przygnębiająca codzienność rozczarowania zbiorowością.

Odwroćcie się plecami do przeszłości. Zanurkowanie z głową w nostalgii. Ale przecież między tymi skrajnościami rozpięte jest pole możliwości.

Z Polaków nie zrobi się Duńczyków. Żadna zaawansowana inżynieria społeczna nie narzuci im nowej tożsamości. Trudno o bardziej spektakularną porażkę na tym polu niż propaganda PRL-u. Dziś, mimo że narzędzia manipulacji są znacznie bardziej zaawansowane, władza osiąga przeciwny do zamierzonego efekt, ośmieszając wartości, które pragnie promować. Ale błędem jest również traktowanie tradycji jak alkiejryka, w którym pieczołowicie składa się przykurzone narodowe pamiątki.

Praca na tożsamości, podobnie jak praca rzeźbiarza, nie od razu musi przynieść spektakularne skutki. Głośne „Dziady” wystawione w Teatrze Słowackiego są właśnie tym: wyzwaniem rzucanym polskiej tożsamości z wewnątrz. Agresja rządzących, jaką ten spektakl wywołał, świadczy o głębokim niezrozumieniu przez nich głównych nurtów polskiej kultury. Ale może też, przeciwnie, świadczyć o doskonałym instynkcie. Wyczuciu źródeł swojego politycznego sukcesu. Ponieważ pogodzenie polskiej tożsamości wspólnotowej z indywidualnymi prawami oznaczać będzie permanentną utratę przez nich władzy nad umysłami Polaków.

Wspólnota wymaga poczucia przynależności – zrozumiałych kulturowych kodów oraz systemu odniesień i akceptacji zobowiązań na rzecz innych członków wspólnoty. Być może już czas zadać pytanie: z czym przychodzę? Co mogę zaoferować na rzecz nas wszystkich? Czy swoim działaniem powiększam, czy pomniejszam wspólną wartość? Oczywiście najłatwiej takie pytanie zadać innym. Niestety jedynym sposobem jest zacząć od siebie. Wyjść z poza logikę prymitywnego egoizmu: „a co ja z tego mam?”. Naród myślący takimi kategoriami zawsze skazany będzie na drugorzędność.

**Nacjonalizm pozbawiony
pierwiastka liberalnego
wypacza się w ksenofobię.
Liberalizm bez pierwiastka
narodowego pozbawiony
jest politycznego znaczenia**

**Pisowska propaganda
o Tusku nie wspomina
inaczej niż w niemieckim
sztafażu.
Cztery lata temu,
po nieporównywalnie
mniejszej nagonce,
zamordowany został Paweł
Adamowicz**

Tylko akceptując fakt, że przysługi oddawane będą nie przez osoby, którym pomagamy, ale przez kogoś zupełnie innego – w przyszłości, w kompletnie innej sprawie – stworzymy społeczeństwo oparte na zaufaniu i współpracy, bez której nie jest możliwy zbiorowy sukces. Słusznie ogarnia nas gniew na partię i ludzi pasożytniczych na tym, co ogromnym indywidualnym wysiłkiem udało się nam osiągnąć. Tak dzieje się, gdy bez etyki obowiązku, poczucia zobowiązania wobec wspólnoty, pozosta-

wiamy ją jednostkom najbardziej bezwzględny. Profesjonalistom eksploatacji wspólnego dobra.

Być może to gniew stanie się pasją, która sprowokuje nas do działania. Gniew na bezczelność i na hipokryzję. Gniew na małość i na niemożność. A nadzieja będzie wyznaczać horyzont działania.

Czy tożsamość wojny i okupacji da się przerobić na tożsamość wspólnoty czasu pokoju? Czy nieufność da się przekuć w samodzielność? Obawę przed zdradą w geopolityczną racjonalność? Nie wiem.

Ale jeśli nie próbujemy, nigdy nie będziemy wspólnotą ludzi wolnych. ●

***Leszek Jażdżewski** – redaktor naczelny magazynu idei „Liberté!”, współzałożyciel Igrzysk Wolności w Łodzi.

Igrzyska Wolności 2023 już trwają



• Siedem scen i niemal 500 prelekcji – największy festiwal idei w Europie Środkowo-Wschodniej odbywa się od piątku w łódzkim Centrum Nauki i Techniki EC1. Hasłem 10. edycji imprezy jest „Punkt zwrotny”, bo – jak mówią organizatorzy – właśnie on „zbliża się dla całego regionu, demokracji, praworządności oraz modelu kapitalizmu”. Przed nami jeszcze dwa dni Igrzysk, wypełnione spotkaniami z intelektualistami, ludźmi nauki, kultury, polityki i biznesu.

• W sobotę m.in. dyskusja z **Anne Applebaum** o Ukrainie i sojuszu transatlantyckim, debata o przyszłości kapitalizmu z **Andrzejem Lederem** i **Witoldem Gadomskim**, spotkanie ze **Stefanem Chwinem** oraz eksperckie rozmowy – wymieniamy tylko niektóre, bo program pęka w szwach – o reformie psychiatrii, in vitro, bezpieczeństwie energetycznym, relacjach Unia – Chiny, ukraińskiej gospodarce, cyfryzacji i potencjale konsumenckim.

• W niedzielę **Danuta Hübner** i **Janusz Lewandowski** przyjrzą się polskiej drodze do euro, **Marcin Kącki** opowie, skąd się wzięła i co tak naprawdę planuje Konfederacja, odbędą się spotkania z **Leszkiem Balcerowiczem** i z **Jarosławem Kuroskim**, autorem najgłośniejszej tegorocznej książki biograficzno-historyczno-eseistycznej „Dziady i dybuki”, a także – znów, między innymi – debaty: o szkole po Czarnku, apostazji, regulacji działalności służb specjalnych w sieci, nowym rodzicielstwie, Polsce w erze cyfrowej i populizmie anty klimatycznym.

Zapraszamy. Szczegóły na **igrzyskawolnosci.pl**

Proboszczu, stań na tylnych łapkach i ładnie poproś

Jeśli wygra PiS, patologiczna zależność Kościoła od widzimisiej władzy będzie się pogłębiać.

Magdalena Czyż

W środku lata zostałam zaproszona przez przyjaciół na kolację w towarzystwie dwóch, nazwijmy ich, notabli kościelnych. Z radością zaproszenie przyjął, licząc na smakowite płatki z pałaców biskupich. Przeliczyłam się.

Jednak tak zupełnie głodna nie wyszłam, bo dostałam równie smakowite spekulacje dotyczące finansowania Kościoła i zaproszenie na konferencję w Warszawie na ten temat.

Żadna ze mnie katoliczka, więc bez żalu zamiast konferencji wybrałam Oksytanię, a konferencję obejrzałam na stronie Katolickiej Agencji Informacyjnej. Warto było, bo potwierdziła spekulacje zasłyszane u przyjaciół.

Coraz większej liczbie członków polskiego Episkopatu przestaje podobać się sytuacja, w której PiS postawił Kościół.

I niemała liczba biskupów ma już świadomość, że jeśli wygra PiS, to patologiczna zależność Kościoła od widzimisiej władzy będzie się pogłębiać, natomiast przy wygranej opozycji ich finansowanie może ulec radykalnej zmianie.

Ten sam problem bardzo dobrze przedstawia prezes Instytutu Finansów Publicznych Sławomir Dudek w książce ks. Kazimierza Sowy „Nie wierni, wierni. Rozmowy o prawdziwym Kościele”. Zapytany, czy najbliższy czas przyniesie Kościółowi rewolucję, czy ewolucję, czy też nic się nie zmieni, odpowiada: „Nie znam się na polityce, ale znam się na finansach. (...) Jeśli nastąpi zmiana władzy i zostaną ujawnione jakieś nieprzejrzystości w zakresie finansów publicznych wspierających Kościół, to będzie to miało konsekwencje w postaci wpływu na kształt dalszych relacji. Podejrzewam, że wyjdą też pewne sprawy, w których Kościół niełatwo będzie mógł się bronić. Natomiast co do zmiany reguł czy modelu finansowania Kościoła, to tutaj zadecyduje polityka. Dlatego lepiej mieć gotową propozycję. Ale dyskusja będzie obciążona tym, co działo się na przestrzeni ostatnich ośmiu lat”.

Jaka jest ta propozycja? Mówi się o powrocie do projektu kardynała Nycza i ministra Boniego, czyli zastąpienia Funduszu Kościelnego (to kwota 200 milionów) odpisem podatkowym na poziomie 0,8 proc. Takie rozwiązanie – omawiane również podczas rzeczonyj konferencji – dawałoby Kościółowi stabilizację i stałość wpływów na lata.

No i jawne, demokratyczne źródło finansowania, gdzie każdy decyduje w zeznaniu podatkowym, czy chce wspierać Kościół, czy nie, istnieje w wielu krajach i nigdzie Kościółowi nie zaszkodziło – konkluduje Dudek.

Dla jasności: szacunki mówią, że takie rozwiązanie przynosiłoby Kościółowi rocznie nawet 800 milionów, a to tylko przy odpisie 0,8 proc. A dyskusja w komisji Nycz – Boni, jak mi donieśli znajomi z kolacji, rozbija się o to, czy to ma być 0,8, 1, czy 1,5 proc. wysokości podatku.

Na swoim profilu o. Tomasz Dostatni jako dowód patologii trawiącej Kościół zamieścił niedawno zdjęcie kandydata na posła PiS szeroko uśmiechniętego i wręczającego proboszczowi swojej parafii na tle ołtarza tekturowy czek na 350 tys. zł. Proboszcz też się szeroko uśmiechał. Być może nie wie jeszcze, czym za ten prezent przyjdzie mu zapłacić. Jednak coraz więcej jego kolegów zaczyna zdawać sobie sprawę, że dali się uwiązać na smyczy i traktować jak tresowane pieski, które jeśli czegoś potrzebują, muszą za każdym razem stanąć na dwóch łapkach i ładnie pana poprosić. ●

15 lat po wielkim kryzysie. Co się zmieniło i dlaczego nic od upadku Lehman Brothers

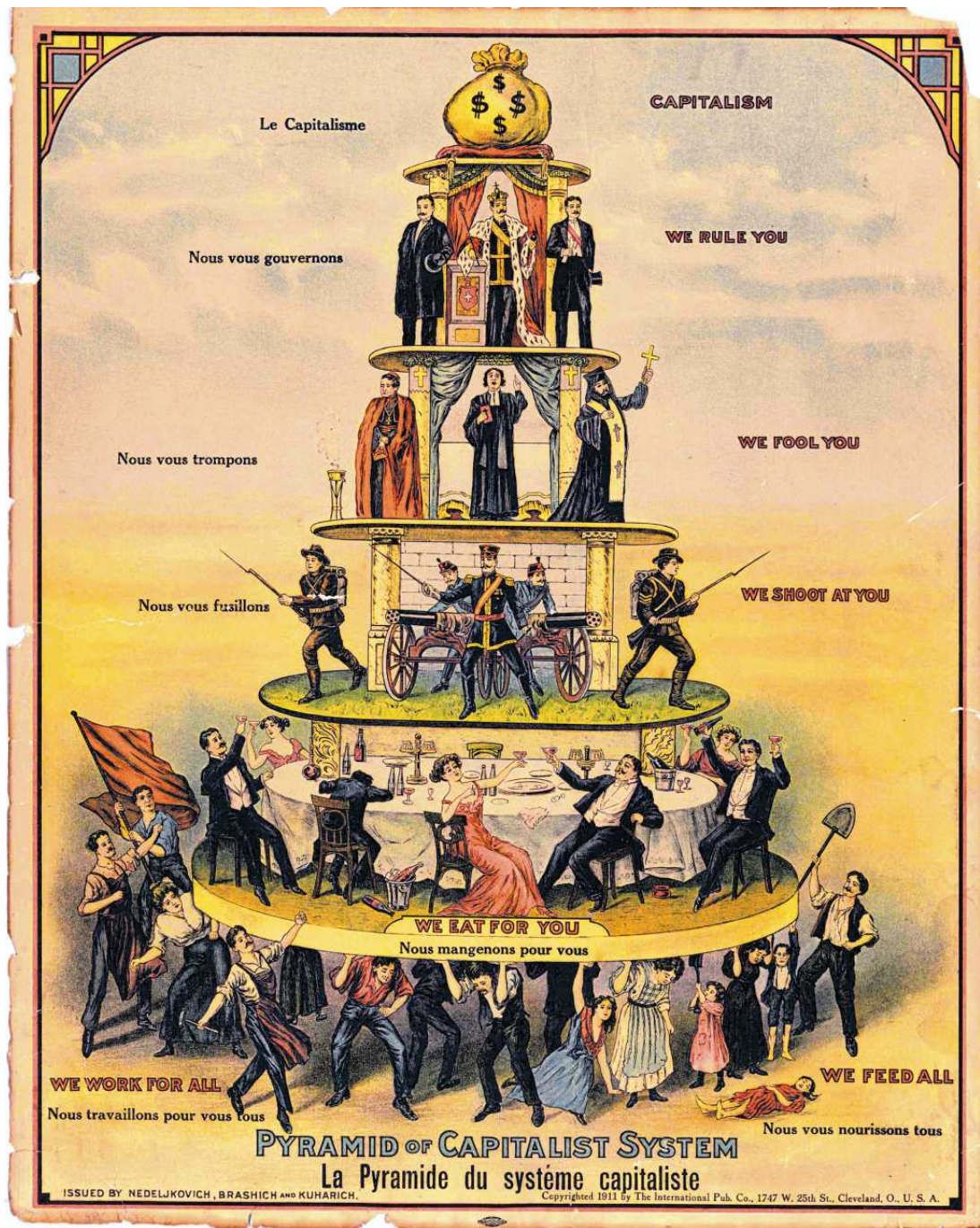
W wieku 26 lat nowojorczyk Moses Taylor – wykorzystując kapitał i kontakty, jakie zbudował z pomocą bogatego ojca – otworzył biznes pośrednictwa handlu cukrem. Był rok 1832. Cukier pochodził z niewolniczych plantacji na Kubie. Taylor nigdy nie od-

wiedził zależnej wtedy od Stanów wyspy, ale przyjaźnił się z pewnym kupcem, biegłym w hiszpańskim, znającym kubańskie realia. Wspólnie zbijali kokosy. Ich biznes wkrótce ewoluował w stronę udzielania pożyczek pod inwestycje plantatorów. Taylor harował od świtu do zmierzchu, nieprzerwanie realizował nowe pomysły. Przejął National City Bank of New York, później przemianowany na Citibank – do dziś jeden z największych banków świata. Inwestował w kolej, huty, kopalnie, firmy telegraficzne. Jedną z nich położyła pierwszy kabel do Europy na dnie Atlantyku. Wyrósł na jednego z największych bogaczy w kraju. Miał pięcioro dzieci. Po jego śmierci kolejne pokolenia spadkobierców powiększały rodzinną fortunę. Jego syn hojnie sponsorował Uniwersytet Princeton, co pozwoliło niewielkiej uczelni zostać jedną z najbardziej prestiżowych w Ameryce.

Taylor nie miał niewolników, a w czasie wojny Północy z Południem wspierał wojska Unii preferencyjnymi kredytami. Ale cała branża cukrowa, w której zarobił pierwsze miliony, postawiona była na niewolniczej pracy tysięcy ludzi. Historii podobnych do Taylora są setki.

Rolnicze, niewolnicze Południe i przemysłowa Północ funkcjonowały w symbiozie. To na Północy pełną parą chodziły tekstylne konglomeraty szyjące z bawełny ubrania, rzeźnie wysyłające na Południe mięso, firmy ubezpieczeniowe sprzedające plantatorom polisy, obsługujące plantatorów korporacje transportowe, brokerskie, meblowe, narzędziowe, na Północy powstawały silniki parowe do statków kursujących z towarem po Missisipi i miotły do zmiatania obejść panów, na Północy rosły w siłę banki finansujące rozwój plantacji. Z punktu widzenia beneficjentów niewolnictwo było nowoczesnym i wydajnym systemem ekonomicznym. Zyski, jakie wytwarzało, zasilają też fundowane przez bogaczy szpitale, muzea, filharmonie, uniwersytety – takie jak Princeton.

W XIX w. dochody z interesów opartych na niewolniczej pracy uczyniły z USA jedną z najsilniejszych gospodarek globu. Dziś Stany Zjednoczone są najbogatszym krajem świata, konsumują najwięcej dóbr i surowców, emitują najwięcej gazów cieplarnianych w przeliczeniu na jednego mieszkańca. Afryka, kontynent, który stał się ofiarą zbrodni niewolnictwa, jest domem dla dwóch trzecich najbardziej ubogiej części światowej populacji. Przeciętne zarobki w USA wynoszą 6200 dolarów miesięcznie. W Ugandzie – jednym z lepiej radzących sobie krajów



• **Piramida kapitalistyczna - amerykański plakat polityczny z 1911 roku** FOT. WIKIPEDIA

me wytworzą dobrobyt. Polanyi twierdzi za to, że człowiek z natury jest istotą społeczną, dążącą do zacieśniania wspólnoty w celu zapewnienia dobrostanu i bezpieczeństwa. Rynek jako podstawa stosunków gospodarczych jest wytworem politycznym. W erze nowoczesnej mentalność społeczeństw została zmieniona. Fakt, że dziś postrzegamy nasze życie bardziej w kategoriach rynkowych – czyli opartych na konkurencji – niż wspólnotowych, opartych na współpracy – jest właśnie ową wielką transformacją.

O Polanym przypomniano sobie po kryzysie 2008 r., kiedy ewidentne stało się, że rynek sam nie zapewni globalnego szczęścia. Węgier stał się myślicielem chętnie cytowanym przez zwolenników regulacji rynków i zwiększania roli państwa w kształtowaniu gospodarki. Jego pisma nie proponują utopijnego powrotu do idyllicznej wspólnotowej przeszłości, której po prawdzie nigdy nie było. Wskazują na potrzebę tworzenia w ramach systemu kapitalistycznego – lokalnie i globalnie – mechanizmów zwiększających solidarność, wzajemność, uczciwą wymianę. W ten sposób, a nie przez skąpo regulowaną konkurencję, można się zbliżyć do ideału bezpieczeństwa i pokoju.

Jedną z cech światowego rozwarstwienia jest nadkonsumpcja globalnej Północy przy jednoczesnym braku zaspokojenia podstawowych potrzeb milionów mieszkańców globalnego Południa.

Przyjrzyjmy się trzem przykładom.

Każdy z nas kupuje nieraz kwiaty w kwaciarni, nie zastanawiając się zbyt wiele, skąd się biorą. Część popytu na kwiaty cięte zaspokajają polskie gospodarstwa ogrodnicze. Jednak ogromna ilość towaru przyjeżdża z holenderskiego Aalsmeer, gdzie działa największa na planecie giełda kwiatów i roślin ozdobnych. Przechodzi przez nią 12,5 miliarda roślin rocznie, a łączna powierzchnia handlowa giełdy zbliżona jest do powierzchni Monako. Skąd wzięły się kwiaty w Aalsmeer? Otóż 35 proc. kwiatów sprzedawanych w Unii Europejskiej pochodzi z upraw w Kenii. Na wielu tamtejszych plantacjach kobiety pracują na akord po 12-14 godzin dziennie. Jeśli norma dzienna nie zostanie wykonana, nadrabiają kolejnego dnia bez zapłaty. Często pokonują codziennie pieszo kilkanaście kilometrów, aby dotrzeć na plantację, bo nie działa transport publiczny. Powszechne jest wykorzystywanie seksualne pracowników przez nadzorców grożących ofiarom zwolnieniem. Nie ma osłony socjalnej ani instytucji, w której skutecznie można by walczyć o lepsze traktowanie.

Produkcja skoncentrowana jest w biednym regionie wokół jeziora Naivasha. Hodowla kwiatów jest wodochłonna. Plantacje zużywają zasoby irygacyjne w miejscu od lat dotkniętym suszą. Wysychają małe gospodarstwa prowadzone od pokoleń przez lokalnych mieszkań-

NIEPIĘKNA HISTORIA RÓŻY

**Chcemy godnie żyć, zapewnić szczęście naszym dzieciom.
W chwili moralnej próby zapewne stanęlibyśmy po właściwej stronie.
Ale nie obchodzi nas, skąd się wzięła róża w kwaciarni**

Maciej Jarkowiec

Afryki – 750 dolarów. Globalne nierówności pozostają jednym z najważniejszych wyzwań ludzkości. Przyczyniają się do masowych migracji, kulturowych i politycznych napięć rodzących przemoc.

Zyjemy w świecie konsumpcji. Wydaje nam się on naturalnym stanem rzeczy. Kupowanie dóbr i usług poza tym, że ma być źródłem satysfakcji, jest też niezbędne dla gospodarki. Gdy konsumpcja spada, ekonomiści się niepokoją, bo spada wytwórczość, upadają firmy, pojawiają się bezrobocie i wiele innych problemów.

Zalamuje się system, który organizuje nasz świat.

Nie zawsze tak było. W „Wielkiej transformacji” (1944), jednej z najważniejszych książek ekonomicznych XX w., węgierski ekonomista Karl Polanyi dowodził, że społeczeństwo rynkowe jest wytworem stosunkowo nowym. Przed jego powstaniem stosunki ekonomiczne opierały się w dużej mierze na wymianie i redystrybucji w obrębie niedużych wspólnot – wsi, miasteczek, regionów. Rynki i pieniądź miały ograniczone znaczenie. Dopiero industrializacja i towarzyszące jej przemiany po-

lityczne doprowadziły do powstania państw narodowych, w których życie gospodarcze podporządkowane zostało nowym instytucjom rynkowym.

Nastąpiło utowarowienie pracy, ziemi, a ostatecznie wszystkiego – łącznie z dostępem do przyrody czy religijnych obrzędów jak ślub albo pogrzeb.

Myśl Polaniego odwraca klasyczną ortodoksję kojarzoną z Adamem Smithem, mówiącą, że człowiek z natury dąży do pomnażania bogactwa, naturalne są więc stosunki rynkowe i nie należy w nie zbyt ingerować, bo sa-

ców, zmuszając ich do migracji do przeludnionych miast lub poszukiwania pracy u hodowców kwiatów. Jezioro zostało zabite ściekami z plantacji pełnymi pestycydów. Przez wieki połowy były częścią lokalnej gospodarki. Dziś obowiązują zakaz wyciągania ryb z jeziora Naivasha, bo ich mięso jest trujące. Kto z nas, sytych mieszkańców globalnej Północy, ma o tym pojęcie, kupując różę dla cioci na imieniny?

Podobna opowieść dotyczy koszulki albo nowej pary spodni. Za 99 proc. światowej produkcji bawełny odpowiadają kraje rozwijające się. Na plantacjach bawełny w Chinach, które są jej największym światowym producentem, niewolniczą pracę wykonują 10-letnie dziewczynki z nękanymi państwem przemocą społeczności Ugurów. Organizacje humanitarne regularnie donoszą też o zatrudnianiu dzieci i lamaniu praw człowieka na polach i w fabrykach obróbki bawełny w Indiach – innym kraju zaopatrującym świat w ten surowiec.

Szacuje się że na świecie przymusową pracą dotkniętych jest ok. 160 milionów dzieci. Praca, której często towarzyszy przemoc, odbiera im dzieciństwo, możliwość edukacji, prowadzi do chorób i traum. Zjawisko jest najbardziej rozpowszechnione w produkcji bawełny, ale dotyczy też takich produktów jak kakao czy kawa.

Prawie wszystko, co kupujemy, aby utrzymać życiową satysfakcję i obowiązujący system gospodarczy, jest zapakowane w plastik. Podejmujemy wysiłki, aby go przerezić albo się go pozbyć. Do 2016 r. Chiny były największym światowym odbiorcą śmieci – przyjmowały ponad połowę eksportu odpadów – głównie plastiku, metalu i zużytej elektroniki. Później Chińczycy zorientowali się, że toksyczne odpady zatruwają ich wody i pola. Wprowadzili zakaz. Import przejęły inne kraje azjatyckie, m.in. Malezja, Tajlandia, Filipiny. Na śmieciowego potentata wyrosła Indonezja, stając się największym odbiorcą na świecie. Oficjalnie wykorzystuje importowane śmieci – choćby w przemyśle chemicznym. Ale na-

wet władze kraju przyznają, że nie nadążają za przerabianiem tysięcy ton zużytego plastiku. Wysypiska wielkości miast otoczone są przez skupiska ludzkie. W największym z nich – Bantar Gebang – mieszka ok. 10 tysięcy tak zwanych pemulung – ludzi żyjących z tego, co wydobędą z gór odpadów. Wiele regionów wyspiarskiego kraju od wieków żyjących z połowów zostało zdewastowanych przez wysypiska położone bezpośrednio nad brzegiem oceanu.

Poza oficjalnym eksportem i importem na śmieciach tuczy się mafia. Światowy nielegalny obrót odpadami generuje od 10 do 12 miliardów zysku rocznie. Dwa lata temu zrzeszająca 191 państw konwencja bazylejska, która od 1989 r. reguluje obrót niebezpiecznymi odpadami, przyjęła poprawki nakładające surowe ograniczenia na handel zużytym plastikiem. Jednym z krajów, które nie podpisały się pod nowelą, są Stany Zjednoczone. Trudno się dziwić. Produkcją 42 miliony ton plastikowych śmieci rocznie – najwięcej na świecie. Jakoś muszą się ich pozbyć.

W tym roku mija 15 lat od upadku banku Lehman Brothers, od którego rozpoczął się światowy kryzys. Powoli następuje przewartościowanie obowiązujących przez dekady paradygmatów. Jednym z nich był tak zwany konsensus waszyngtoński. Pod koniec lat 80. amerykański ekonomista John Williamson terminem tym określił szereg zasad, jakimi organizacje międzynarodowe – z Bankiem Światowym i Międzynarodowym Funduszem Walutowym (MFW) na czele – miały się kierować przy udzielaniu pomocy krajom rozwijającym się. Wśród zaleceń znalazły się: liberalizacja handlu, prywatyzacja, utrzymywanie umiarkowanie niskich podatków, otwarcie na inwestycje zagraniczne, deregulacja rynków, zachowanie dyscypliny finansowej (w praktyce oznaczające najczęściej cięcie wydatków socjalnych). Reformy oparte na konsensusie wprowadzane były w biednych krajach Ameryki Łacińskiej, Azji, Europy Środkowo-

**Przeciętny
Amerykanin zjada
124 kg mięsa rocznie,
przeciętny
Ugandyjczyk
– 10 kg**

-Wschodniej. Przemiany gospodarcze w Polsce przełomu lat 80. i 90., kojarzone dziś głównie z postacią Leszka Balcerowicza, odbyły się pod dyktando konsensusu.

W różnych miejscach przyniósł on różne efekty. Niektórym państwom pomógł wydzwignąć się z biedy. W innych prowadził do bezrobocia, korporacyjno-państwowej korupcji, nędzy całych warstw społecznych. Jego efekty były też różne w obrębie poszczególnych krajów. W Polsce lat 90. doprowadził do szybkiego bogacenia się nowej klasy średniej w metropoliach, jednocześnie spychając w biedę regiony popegeerowskie.

Jeden z krytyków konsensusu, południowokoreański ekonomista, profesor Uniwersytetu Londyńskiego Chang Ha-joon, już w 2003 r. w książce „Kicking Away the Ladder” pokazywał, że Zachód daje biednym krajom recepty, których sam nie przestrzegał, gdy się bogacił. Pomijając nawet fakt, że dobrobyt globalnej Północy w dużej mierze budowany był na kolonialnym i postkolonialnym wyzysku, warto zauważyć ogromną skalę interwencjonizmu, jaki państwa zachodnie stosowały w gospodarce przez dekady.

Dwadzieścia lat temu Chang był wyśmiewany przez większość ekonomicznego establishmentu. Dziś na naszych oczach formuje się nowy konsensus. Mało kto kwestionuje, że aby skutecznie się rozwijać, kraje potrzebują równowagi między wolnym rynkiem a państwową regulacją. Że gospodarka powiązana jest z lokalną kulturą i recepty działające w jednym miejscu mogą pogorszyć chorobę w in-

nym. Że gdy pomaga się biednym krajom, należy pozostawić im więcej swobody w eksperymentowaniu z różnymi modelami rozwoju. Że wzrost mierzony wskaźnikiem PKB nie może być jedynym wskaźnikiem sukcesu. Że potrzebne są skuteczne mechanizmy dystrybucji dochodu. Że rozwój nie może dewastować środowiska.

Międzynarodowe instytucje finansowe i wymiany gospodarczej muszą ewoluować w stronę skuteczniejszego egzekwowania praw pracowniczych i praw człowieka. Potrzebna jest większa wymiana wiedzy i technologii między bogatymi i biednymi. Biedni powinni mieć możliwość interwencji w gospodarkę i ochrony raczkujących branż, aby dać im szansę się rozwijając. W swojej nowej książce „Ekonomia na talerzu” Chang Ha-joon daje przykład Korei Południowej, która przez lata budowy dobrobytu była zamknięta na rynki zewnętrzne. Gdyby Koreańczycy mogli w tamtym czasie jeździć volkswagenami i toyotami, Hyundai i Kia nie miałyby szansy mozołnie ulepszać technologii i osiągnąć poziomu konkurencyjności, jaki mają dziś.

Reformy na poziomie międzynarodowym nie rozwiążą problemów wewnętrznych. To władze Indonezji otworzyły kraj na miliony ton plastikowych śmieci. To kenijska klasa polityczna nie potrafi, albo nie chce, tworzyć instytucji chroniących pracowników na plantacjach kwiatów. To chiński reżim wykorzystuje ujęskie dziewczynki do pracy przy bawełnie. Nie zmienia to faktu, że nadkonsumpcja Zachodu jest jednym z filarów podtrzymujących popsuty system gospodarczy.

Globalne Północ i Południe żyją w symbiozie, tak jak amerykańskie Północ i Południe w XIX w. Kupujemy tanie produkty wytwarzane na Południu, czerpiemy stamtąd surowce, wyrzucamy tam nasze śmieci. Sprzedajemy tam nasze kredyty, polisy, maszyny. Działające tam korporacje, najwięksi kapitaliści i skorumpowane bądź niewydolne rządy to klasa plantatorów wykorzystująca z naszym

udziałem miliony słabo opłacanych, niewystarczająco chronionych prawnie ludzi, dewastująca całe społeczności i ekosystemy. Żyjemy w bańce beneficjentów systemu. Z naszego punktu widzenia nie jest zły. Ciężko pracujemy, więc stać nas na nowy samochód, na zagraniczne wakacje, na stek – przeciętny Amerykanin zjada 124 kg mięsa rocznie, przeciętny Ugandyjczyk – 10 kg.

Jesteśmy jak Moses Taylor. Nie mamy złych intencji. Chcemy godnie żyć, zapewnić szczęście naszym dzieciom. W chwili moralnej próby zapewne stanęlibyśmy po właściwej stronie – tak jak on wspierając wojska Unii. Ale nie obchodzi nas, skąd się wzięła róża w kwaciarni, tak jak jego nie obchodziło, że cukier, którym handlował, produkują niewolnicy.

Adam Smith i Karl Polanyi mieli ze sobą więcej wspólnego, niż nam się wydaje. Nazywany ojcem kapitalizmu Smith zajmował się też filozofią moralną. Kapitalizm postrzegał jako zależny od uczciwości i dobroczynności. Pisał o odpowiedzialności, jaka spoczywa na najmocniejszych uczestnikach rynku. Nawoływał do umiaru. Sam rozdał sporą część majątku. Społeczeństwo nie może kwitnąć i budować szczęścia, jeśli jego większa część żyje w nędzy – twierdził.

System niewolniczy w Ameryce upadł w wyniku moralnego przesilenia. Ludzie, powodowani odruchem moralnym, zwiększali presję na polityków. Opór kapitalistów z Południa był tak duży, że doprowadził do wojny. Dziś świat poszukuje nowych idei w ekonomii. Podobnie jak w erze niewolnictwa decydujące znaczenie dla kształtowania gospodarki – w poszczególnych krajach i na całym świecie – ma polityka, a nie technologia albo niewidzialne mechanizmy rynkowe. Decyzjami politycznymi można wprowadzać rozwiązania, które zmniejszyłyby przepaść między bogatymi a biednymi. Nie da się tego zrobić bez postrzegania wyzwań w kategoriach moralnych – tak jak kiedyś widzieli je abolicjoniści w Stanach. ●

OGŁOSZENIA

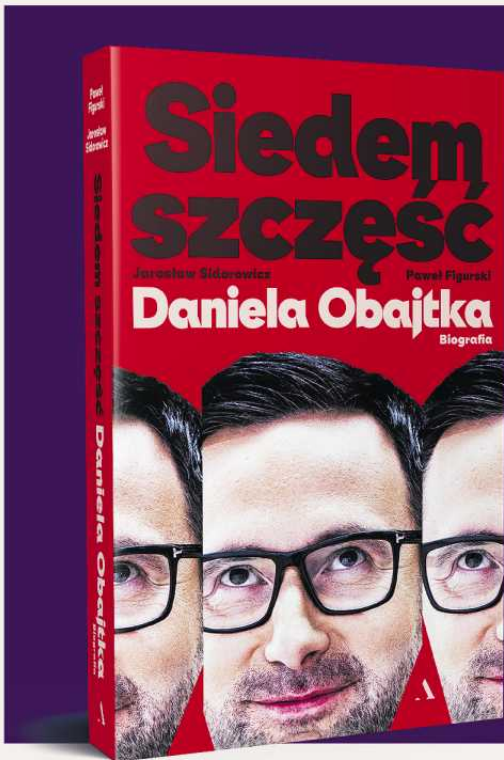
ZAPRASZAMY NA PREMIEROWE SPOTKANIE

AGORA
CENTRUM PREMIER
WARSZAWA
UL. CZERSKA 8/10

**19.09.2023
(WTOREK)
GODZ. 19.00**

Rozmowę z autorami
poprowadzi
ROMAN IMIELSKI,
Zastępca Redaktora
naczelnego
„Gazety Wyborczej”.

KSIAZKI **wyborcza**



PRAWDA O POWIĄZANIACH, SPEKTAKULARNYCH AWANSACH, MAJĄTKACH i UKŁADACH

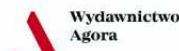
DANIELA OBAJTKA

Książka dziennikarzy, którzy ujawnili taśmy Prezesa Orlenu, autorów najlepszego materiału śledczego roku 2021, zdobywców nagrody Grand Press za cykl "Afera Daniela Obajtko".

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA



WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA **publio.pl**

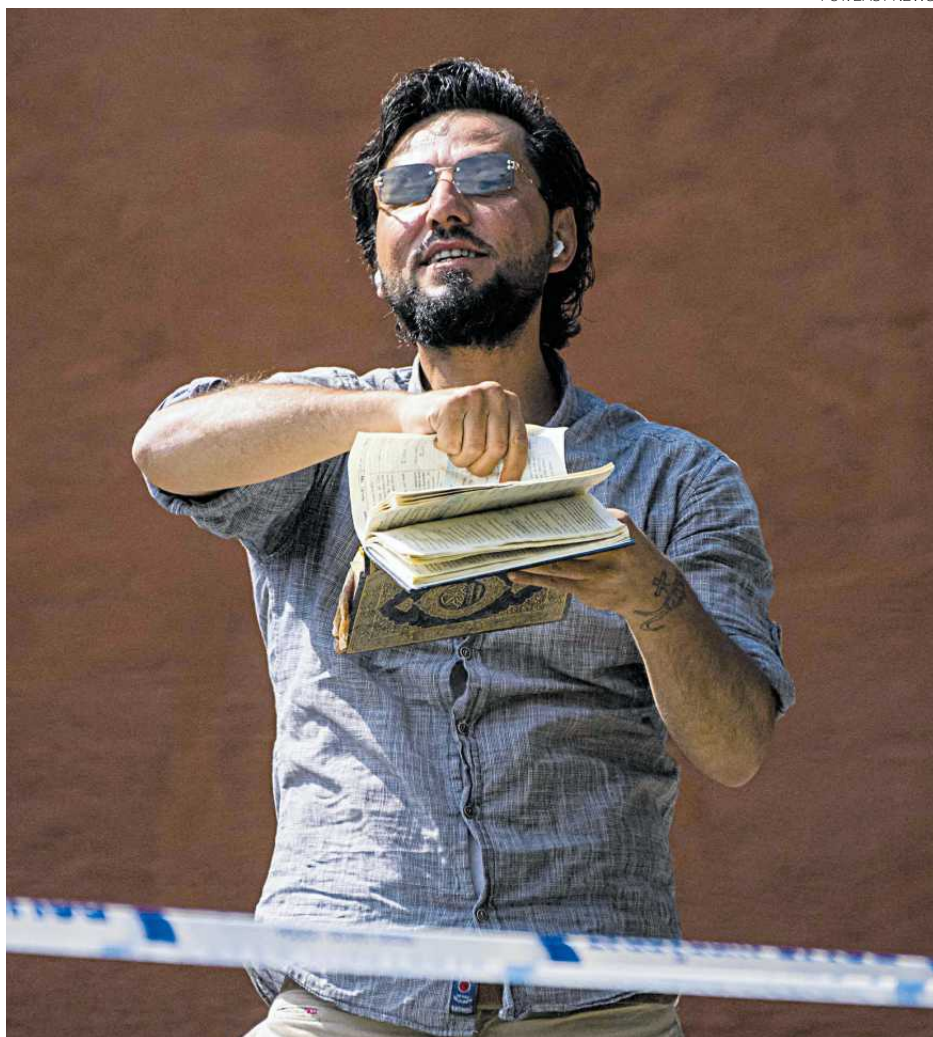


FOT. EAST NEWS

KORAN.

CZY PALIĆ, JAK PALIĆ, GDZIE PALIĆ

Jak można bronić palenia księgi w imię wolności słowa, pamiętając inkwizycję i nazistów – pytają skandynawscy muzułmanie



Maciej Czarnecki
ze Sztokholmu i Uppsali

Edy w niedzielne popołudnie 3 września 37-letni Salwan Momika podpalił w centrum Malmö świętą księgę islamu, wzbudzony tłum próbował przerwać kordon policjantów. Po zmroku w Rosengardzie, imigranckiej dzielnicy, młodzi ludzie obrzucili funkcjonariuszy kamieniami, podpalili opony i dziesiątki samochodów, rzucali hulajnogami elektrycznymi i rowerami.

Mohammad Fazlhashemi, profesor teologii islamskiej z Uniwersytetu w Uppsali, podkreśla, że to nietypowa reakcja: Momika urządza podobne akcje już od czerwca, gdy spalił Koran przed meczetem w Sztokholmie, a lokalni muzułmanie bardzo się pilnowali, by protestować pokojowo.

– Wyciągnęli wnioski z wiosny zeszłego roku, kiedy spalania Koranu przycięły rozróbę. Gromadzili się zatem bez przemocy, zapraszali ludzi do meczetów, by dyskutować – opowiada Fazlhashemi.

Wtedy podpalaczem był skrajnie prawicowy, duńsko-szwedzki polityk Rasmus Paludan. Sprawa miała międzynarodowe reperkusje: prezydent Turcji Recep Tayyip Erdogan oświadczył, że dopóki Szwecja pozwała na takie działania, nie ma czego szukać w NATO.

Szwedzka policja próbowała zakazać kolejnych demonstracji, ale utraciły to sądy, przypominając o świętej wolności słowa.

W czerwcu pojawił się Momika. To Irakijczyk, który przed przyjazdem do Szwecji walczył w chrześcijańskich oddziałach Sił Mobilizacji Ludowej – zdominowanych przez szyitów bojówek, przynajmniej formalnie wcielonych w struktury irackiego wojska

w 2016 r. Przedstawia się jako wolnomyśliciel, pisarz i ateista, który walczy o wolność słowa. Choć niektórzy zachodzą w głowę, czy równie ważne nie są dlań kwestie finansowe – transmitował spalania na TikToku, gdzie internauci wpłacali mu datki. Często towarzyszy mu 48-letni Szwed irackiego pochodzenia Salwan Najem.

Po akcji Momiki w Id al-Adha, jedno z najważniejszych muzułmańskich świąt, wybuchł międzynarodowy skandal: w Bagdadzie tłum zwolenników szyickiego przywódcy Mukhtady as-Sadra wdarł się do ambasady Szwecji, Iran wstrzymał wyjazd do Sztokholmu nowego ambasadora i nie przyjął jego szwedzkiego odpowiednika, kolejne muzułmańskie państwa wzywały przedstawicieli Szwecji na dywanik. Zaś obradująca na nadzwyczajnym posiedzeniu w Arabii Saudyjskiej, zrzeszająca 57 krajów Organizacja Współpracy Islamskiej (OIC) wezwała państwa członkowskie do „kolektywnych działań, by zapobiec kolejnym przypadkom profanacji Koranu”.

– Pytanie, które przewija się w muzułmańskich społecznościach, brzmi: jak można bronić palenia księgi w imię wolności słowa, pamiętając o historii nazistów z lat 30. czy inkwizycji – mówi Fazlhashemi.

Pierwszy teolog islamski na szwedzkiej uczelni, z którym rozmawiam w jego pełnym książek po arabsku gabinecie z oknem na pomnik XIX-wiecznego obrońcy konserwatyzmu, króla Karola XIV Jana, badał m.in., jak postrzegane są europejskie wartości w świecie islamu.

– Do niedawna Szwecja była podziwiana za równość, system opieki społecznej, politykę względem słabszych. Nie uważano jej za kraj islamofobiczny. Teraz się to zmieniło. Oczywiście wiele rządów będzie wykorzystywać spalania do własnych celów. Ekstremiści z Al-Kaidy czy ISIS

już mówią do 800 tys. muzułmanów w 10,5-milionowej Szwecji: nie możecie oczekiwać, że będziecie traktowani tak samo jak Szwedzi. Nie lekceważyłbym też rosyjskiej dezinformacji – mówi Fazlhashemi.

Szwedzki rząd potępił akcje Momiki i Najema, ale podkreśla, że będzie bronił wolności słowa.

– W kraju takim jak Szwecja panuje wielka wolność. Ale z nią wiąże się wielka odpowiedzialność. Nie wszystko, co legalne, jest właściwe. Może być odrażające, ale nadal legalne – tłumaczył na początku sierpnia centroprawicowy premier Ulf Kristersson.

Zastrzegł, że nie ma mowy o powrocie do praw o bluźnierstwie, które znikły z prawodawstwa w latach 70. Natomiast rząd rozważa nowelizację ustawy o bezpieczeństwie publicznym. Chodziłoby zatem nie o obrażać uczuć religijnych, tylko pragmatyczne względy pokoju na ulicach. Dyrektor krajowej rady ds. zapobiegania przestępczości ma przedstawić raport... do lipca 2024 r. Wygląda to na próbę przeczekania burzy.

Inną taktykę przyjęli Duńczycy, którzy również mają problem z paleniem Koranu, i już ogłosili, że tego zakażą.

W niedawnym komentarzu dziennik „Washington Post” przekonuje, że co prawda takie, a nie inne postępowanie jest obraźliwe, ale zakazywanie go nagradza tych, którzy urażeni kierują pogroźki.

– To samo mówią szwedzcy socjaldemokraci. Są zdania, że nowelizacja ustawy o bezpieczeństwie publicznym tylko utorowałaby drogę pogroźkom w innych sprawach. Ich zdaniem lepiej jest skorzystać z przepisów o mowie nienawiści. Społeczność muzułmańska podkreśla, że przecież ci mężczyźni nie palą Koranu w dzielnicach, w których mieszkają sami etniczni Szwedzi, tylko tuż pod meczetem – mówi Fazlhashemi.

Sprawa nie jest jednak oczywista. W badaniach Kantara oraz SIFO 53 proc. Szwedów opowiedziało się za zakazem w duńskim stylu. Performanse Momiki dopuściłoby 34-37 proc.

– Nie jestem taki pewien, że wolność słowa jest Szwedom tak droga, jak nam się wydaje – tłumaczy słynny szwedzko-polski pisarz i dziennikarz Maciej Zaremba Bielewski.

Przytacza wnioski z opublikowanego rok temu badania politologów Thomasa Perssona i Stena Widmalma, którzy pytali ankietowanych, jakich grup społecznych nie lubią. Na czele uplasowali się ksenofobiczni Szwedzcy Demokraci, wysoko byli też antyszczepionkowcy, przeciwnicy aborcji czy negujący zmiany klimatyczne. Następnie tych samych ludzi zapytano, czy owi nielubiani powinni móc korzystać z wolności słowa. I co trzeci odpowiedział, że nie. Niektórzy byli gotowi ograniczać im wolność zgromadzeń, dostęp do niektórych zawodów czy prawo kandydowania.

– W szwedzkim społeczeństwie istnieje nieświadomy podział obywateli na „porządną” i „inną”. On może być koniunkturalny: do niedawna homoseksualizm wykluczał z porządnictwa, dzisiaj homofobia. Ale decydujący jest fakt, że tym odmiernym nie przysługują równe prawa. To tłumaczy paradoks szwedzkiej eugeniki w latach 30. – mówi Zaremba, którego seria tekstów w dzienniku „Dagens Nyheter” nagłośniła historię sterylizacji.

– Z jednej strony premier Per Albin Hansson proklamuje „dom ludu”, w którym nie ma pasierbów, gorszych i lepszych. Wszyscy są równi. I ten sam rząd wprowadza ustawę o przymusowej sterylizacji „mało wartościowych”. Moja hipotetyczna odpowiedź jest taka, że mówiąc „wszyscy”, premier Hansson był prawdopodobny, bo tak jak jego słuchacze, nie miał na

myśli tych niespolegliwych. Zatem nie jestem wcale pewien, że święte wartości liberalne są tak powszechnie szanowane.

Zaremba przypomina, że Szwedzi wielokrotnie już mierzyli się z konfliktem między wolnością wypowiedzi a pokojem społecznym. Choćby, jak opisywał były ombudsman Hans-Gunnar Axberger, po zakończonej w 1570 r. wojnie duńsko-szwedzkiej, gdy Dania i Szwecja wspólnie zadecydowały, by pod karą śmierci zabronić propagandy przeciwko temu drugiemu państwu. Inny przykład to głośne wyroki sądu najwyższego z lat 2005-06.

– Pierwszy dotyczył pastora, który w czasie kazania lżył homoseksualistów, drugi – neonazistów, którzy w szkole rozłożyli ulotki o podobnej treści. Pastor został uniewinniony, oni skazani. Sąd argumentował, że pastor został specjalnie zaproszony przez wiernych, którzy dzielili jego poglądy, więc, domyślamy się, nie było wśród słuchaczy osób, które mogłyby się poczuć zaatakowane. A nikt nie zapraszał neonazistów do szkoły – referuje Zaremba.

Jego zdaniem dowodzi to, że ta sama wypowiedź w jednym kontekście jest dopuszczalna, a w innym zakłóca bezpieczeństwo publiczne.

– Nawet złośliwa krytyka islamu – i każdej innej wiary – musi pozostać dozwolona, ale nie w każdej formie i nie w każdym miejscu. A w szczególności nie w przypadku, kiedy celem jest sprowokowanie gwałtownej reakcji. Tak rozumiem Axbergera. Jeśli Szwedzcy Demokraci chcą sobie palić Koran – a może Deklarację Praw Człowieka i Obywatela – na wiecach partyjnych, to mamy wolność słowa. Ale ten sam akt przed meczetem w Sztokholmie to zakłócenie porządku.

To podejście bliskie temu, co rozważa rząd. Ale... no właśnie, rozważa. Tymczasem według Zaremby Szwecja nie powinna za-

chowować się tak, jakby została kompletnie zaskoczona. Obecnie bowiem „prawie nikt, poza garstką naukowców, zdaje się nie pamiętać, że szwedzkie prawo od wieków przerabiało ten problem, i do tego w dosyć mądry sposób”.

– Z czego to wynika? – pytam.

– Trudne pytanie. W szwedzkim samorozumieniu jesteśmy narodem, który nie musi oglądać się do tyłu. Niemcy muszą, ale my nie, bo tutaj od stuleci miał miejsce nieprzerwany postęp. Wszystko jest ciągle nowe i niepodobne do tego, co było, przez co historia straciła moc objaśniającą. Widać to na wielu płaszczyznach. Najgorsze oskarżenie, na jakie można się narazić, to że nie idzie się z duchem czasu – odpowiada Zaremba.

● ● ●

– Cała saga palenia Koranu jest fascynująca. Ujawnia wiele osobliwości społeczeństwa, głęboko skrywane konflikty, ale i kontekst historyczny – mówi mi Nicholas Aylott, politolog z Uniwersytetu Södertörn w Sztokholmie i Szwedzkiego Instytutu Stosunków Międzynarodowych, dodajmy – Brytyjczyk, który od lat mieszka w Szwecji.

Rozmawiamy w kawiarni w centrum miasta, bo jego instytut zaostrzył reguły zapraszania gości. To skutek gniewnych reakcji niektórych muzułmanów na działania Momi-ki. 17 sierpnia w Szwecji podniesiono stopień zagrożenia terrorystycznego: z trzeciego na czwarty w pięciostopniowej skali.

Życie w Sztokholmie toczy się jednak normalnie: kafejki są pełne ludzi, na dworcach i w innych miejscach publicznych nie widać zbyt wielu policjantów.

– Norweski pisarz Karl Ove Knausgård przekonuje, że Szwedzi widzą świat takim, jakim powinien być, a nie takim, jaki jest. Ta saga również to pokazuje. Panuje przekonanie, że rzeczy powinny wyglądać tak, a nie inaczej, a jeśli części populacji albo innym krajom się to nie podoba, to cóż, powinny zrewidować swoje myślenie. Szwedzi od dawna nie byli zmuszani do kompromisów w sprawie swoich podstawowych wartości – uważa Aylott.

Jego zdaniem taktyka wzięcia spraw na przeczekanie jest częsta w szwedzkiej polityce. Kiedy pojawia się sporna kwestia, ogłasza się przegląd prawodawstwa. Tryby kręcą się

powoli, w praktyce temat trafia do zamrażarki. Tak jest właśnie teraz.

– Socjaldemokraci mają silne świeckie tradycje i wielu patrzyłoby krzywo na powrót regulacji o bluźnierstwie. Łaskawiej spojrzeliby na skorzystanie z przepisów o mowie nienawiści. Ale w Partii Socjaldemokratycznej jest też element tradycji – nie religijny, który poparłby zakaz obrażania religii. Rządząca koalicja też byłaby podzielona, nawet w łonie samych Moderatów Kristerssona – drugiej największej partii – jest podział na tych pryncypialnie broniących wolności słowa oraz pragmatyków, dla których ważniejsze jest bezpieczeństwo. Z kolei Szwedzcy Demokraci, którzy mają tak duży wpływ na rząd, przekonywaliby oczywiście, że zawsze opowiadali się za wolnością słowa, skoro alternatywą mają być ustępstwa wobec islamistów. Trudno zatem wyobrazić sobie, jak miałyby się zebrać większość dla uchwalenia nowych przepisów – referuje Aylott.

Wypytuje go, jak cała sprawa wpasowuje się w dążenia Szwecji do NATO. Finowie, którzy zgłosili się w tym samym czasie, dawno już zostali przyjęci. A Sztokholm dalej męczy się, by dostać zgodę Erdogana (muszą wyrazić ją wszystkie kraje członkowskie, w tym Turcja).

● ● ●

Na lipcowym szczycie Sojuszu sekretarz generalny Jens Stoltenberg z ulgą ogłosił zakończenie impasu, tylko po to, by na zakończenie Erdogan zastrzegł, że turecki parlament będzie mógł zająć się ratyfikacją dopiero w październiku.

Zdaniem Aylotta Ankara nadal prowadzi jakąś grę, choć zachodni komentatorzy za bardzo koncentrują się na tym, co chce ugrać od USA, nie doceniając wagi zastrzeżeń wysuwanych wprost. Możliwe, że turecki przywódca sam zagonił się do narożnika: przed majowymi wyborami tak mocno kreował się na obrońcę Koranu, że teraz naprawdę trudno mu zapalić zielone światło, przecież w Szwecji płoną kolejne egzemplarze. Co powie jego elektorat?

– Decydujące będzie, jakiej presji zostanie poddana Ankara przez sojuszników, przede wszystkim Amerykanów. Same ruchy Szwecji na pewno nie wystarczą. Erdogan też zapewne dostrzegł, że Szwedzi grają na przeczekanie – ocenia politolog. ●

Głosuję na Makłowicza

Piwo przyciąga ludzi, którzy chcieliby przywalić, ale jeszcze się boją. Może po trzecim kuflu?

Marcin Matczak



Jesteś tym, co jesz. I pijesz. Przynajmniej politycznie, bo karmienie i pojenie wyborców ma długą tradycję. W 1758 Jerzy Waszyngton wydał cały kampanijny budżet (50 funtów) na 160 galonów wódki. W 1876 Republikanie przeprowadzili przez Nowy Jork dwa wielkie woły, po czym zrobili grilla dla 50 tysięcy ludzi. A Hoover w 1928 obiecał Amerykanom „kurczaka w każdym garnku”, na czym chyba wzorowała się Konfederacja, obiecując nam psa w każdym ogródku.

Politycy konsumują tak, by wyglądać na swojaków. Eisenhower fotografował się, pijąc coca-cola z gwinta, a Trump – jedząc KFC. Przy czym geniusz robił to nożem i widelcem, więc komunikat „swoj chłop” jakoś się nie przebił.

Na swojaka pozuje Mentzen z kuflem, a piwo wypiera chleb, igrzyska i kielbasę wyborczą. Napisałem, że organizowanie przez Konfederację spotkań w piwiarniach to nie przypadek, ale znak. Była kiedyś partia, której lider w 1920 w piwiarni Hofbräuhaus w Monachium wygłosił mowę „Dlaczego jesteśmy antysemitami”. Wciąż serwuje się tam piwo warzone zgodnie ze starą bawarską „ustawą o czystości” (sic!).

Od razu podniosły się krzyki, że piwo Mentzena nie jest faszystowskie. Pal licha, że Konfederacja promuje antysemityzm i myślenie eugeniczne. Skupmy się na piciu piwka, które jest idealnym kompromisem. Nie jest chamskie, jak walenie wódy, ani aryстокratyczne, jak degustowanie wina. Jest w sam raz – trochę luzackie, bardzo normalne, źle nieświadczące.

Piwo, jak czekolada, nie pyta. Piwo rozumie i nie wymaga. Nie trzeba go, jak wina, próbować, czy nie korkowe. Nikt nie daje kapsla do powąchania, nikt beczelnie nie pyta, czy wolimy bardziej tanić, czy okrągle. Piwo nie stresuje, jest terapeutyczne, bezpieczne.

Chleb i kielbasa usypiają, piwo ośmiela („nie takie rzeczy robili my ze szwagrem”). Rzeczy dotąd nie do pomyślenia wydają się możliwe, a te do pomyślenia łatwe gęstnieją. Mówi Mentzen: „po trzecim piwie pytań nie rozumiem, więc odpowiadać nie muszę”.

Bezpieczeństwo piwa przyciąga tych, którzy ze światem radzą sobie średnio: ludzi, którzy chcieliby przywalić, ale jeszcze się boją. Może po trzecim kuflu? W książce Marcina Kąckiego „Chłopcy. Idą po Polskę” młodzież od Korwina o 40 lat żona mówi, że fascynował ją, bo był jej pierwszym mężczyzną. Dla zwolenników, zwanych pieszczotliwie kucami, też chyba jest: pierwszym w ich świecie wzorem ojca, który mimo groteskowości imponuje pseudosprawczością. Wszystko przegrał, ale mówi głośno to, o czym inni boją się pomyśleć.

Dzięki Konfederacji staje się u nas popularna agresja. Taka, która masakruje i miażdży, choćby symbolicznie. Lubią ją marzący o sprawczości chłopcy. Gdy słyszą, jak konfederata obraża kobiety, zastępczo odgrywają się na nich za niepowodzenia. Gdy widzą go, jak wyrывa profesorowi mikrofon, wirtualnie uciszają tych, których słów trudno im słuchać.

Jedzeniowi rzecz ujmując, marzy się kucem polityczna „Piekielna kuchnia”, w której

jurorem będzie Braun basem mówiący kolejnym cieniasom „oddaj fartucha!”.

Konfederacji spada, ale to nie powinno nas uspokajać. Chodzi nie o podaż prowokacji i bzdur z ich strony, ale popyt na nie. To popyt na faszyzm, nie historyczny, ale psychologiczny, który bierze się z poczucia bezradności. Skoro popyt jest, w społeczeństwie tyka bomba. I trzeba się zastanowić, jak ją rozbroić.

Bo każdy, kto przeczytał choćby „Faszyzm. Ostrzeżenie” M. Albright, wie, że Konfederacja faszyzuje: podważa sens demokracji, stygmatyzuje niepolskość, chce rozwiązywać konflikty przemocą. Proponuje też niższe podatki. Ale Hitler także zapewniał uczniom kubek ciepłego mleka. Przedsiębiorcy, którzy popierają Konfederację, jak ślepy na jedno oko, na tym mleku się skupiają.

A niektórym już się faszyzm przejadł. Pi-sze mi krytyk, że martwi go moje rzucanie „kryptofaszyzmem” na prawo i lewo. Że nazywam tak ludzi, którzy z faszyzmem nie mają nic wspólnego, bo nie spełniają głównego postulat: kultu państwa.

Padacie ofiarą tzw. anatomicznego podejścia do pojęć, kolego. Wydaje się wam, że pojęcia to zamknięte listy kryteriów. Jeśli jedno (kult państwa) nie jest spełnione, faszyzmu nie ma. A pojęcie to nie formularz, który się odhacza, ale uchwycenie czegoś, co ma podobną funkcję. W tym sensie „faszyzm” jest jak „trucizna”. Interesuje nas to, co robi, nie to, z czego się składa. Życie nas nieprzyjemnie zaskoczy, gdy będziemy wierzyć, że zło przychodzi zawsze w tej samej postaci. Na marginesie: podejście Konfederacji do aborcji to silne państwo, które wchodzi z butami w życie jednostki. Więc i ten kult się znajduje.

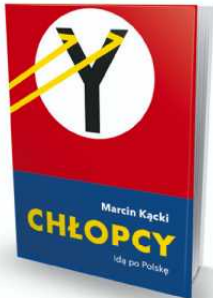
Zalewa nas to piwo Mentzena jak krew. Co więc robić? Trzeba mianować królem Polski Roberta Makłowicza – niech nam gotuje lepszą przyszłość. Ktoś, kto potrafi ocalić wyrafinowanie Chorwacji, zagrożone najazdem turystycznych Hunów, może wszystko.

Makłowicz uosabia tęsknotę za polityką normalną, gdzie jest i wódeczka, i korniszonek, i winko, i chateaubriand. Ale i świadomość, że zamiast nienawidzić, trzeba czerpać garściami z naszego krótkiego życia. A agresywnych frustratów wypraszać, a nie sadzać u szczytu stołu. ●

„Czy zastanawialiście się kiedyś, jak będzie wyglądała Polska bez was? Za 50, 60 czy 100 lat?” – pyta nasz felietonista w „**Kraju, w którym umrę**” (wyd. Znak). Nowa książka Marcina Matczaka dostępna od 6.09 w dobrych księgarniach i w formie e-booka.



Kim są konfederaci, „kuce Korwina” i sieroty po wszechpolskach? Książka Marcina Kąckiego „**Chłopcy. Idą po Polskę**”, wyd. Znak. Litera Nova, już w dobrych księgarniach i w formie e-booka na Publio.pl.



W szwedzkim społeczeństwie istnieje nieświadomy podział obywateli na „porządnych” i „innych”. Bywa koniunkturalny: do niedawna homoseksualizm wykluczał z porządnictwa, dzisiaj homofobia. Ale decydujący jest fakt, że tym odmieńcom nie przysługują równe prawa

My, emigranci, jesteśmy potężnym przesłaniem dla świata, obrońcami wiecznotrwałych, boskich fundamentów ludzkiej egzystencji. One chwieją się nie tylko w Rosji

Iwan Bunin*

Rodacy! Dziś wieczorem chcemy porozmawiać o misji rosyjskiej emigracji. Jesteśmy emigrantami – słowo „émigrer” pasuje do nas jak ulał. W ogromnej większości nie jesteśmy wygnańcami, tylko właśnie emigrantami; dobrowolnie opuściliśmy ojczyznę. Nasza misja wiąże się z powodami, dla których to zrobiliśmy.

Na pierwszy rzut oka są one różne, ale sprowadzają się do jednego: nie akceptowaliśmy stylu życia, który obowiązywał od jakiegoś czasu w Rosji, nie zgadzaliśmy się z nim, zmagaliśmy się z tym życiem. Przekonani, że dalszy opór grozi nam daremną, bezsensowną śmiercią, udaliśmy się na obczyznę.

„Misja” to wzniosłe słowo. Ale używamy go całkiem świadomie, pamiętając jego dokładny sens. Francuskie leksykony mówią, że „misja to władza dana delegatowi, która pozwala mu na określone działanie”. Delegat ma mandat do działania w czyimś imieniu.

Czy takie podniosłe słowa odnoszą się do nas? Czy możemy powiedzieć, że jesteśmy delegatami, którym powierzono pewnego rodzaju mandat, że jesteśmy czyimiś przedstawicielami?

Nie tylko możemy – wręcz musimy. Niektórzy z nas są już bardzo zmęczeni, może gotowi, pod wpływem różnych złych podszeptów, rozczarować się sprawą, której służyli, gotowi uznać swój pobyt na obczyźnie za bezwartościowy, ba, haniebny. Chcemy powiedzieć stanowczo: podnieście głowy! Misję, właśnie misję – trudną, ale i wzniosłą – powierzył nam los.

Jest nas około trzech milionów rozsianych po całym świecie. Odliczmy z tej ogromnej masy dziesiątki, a nawet setki tysięcy tych, którzy do strumienia emigracji włączyli się przypadkowo. I tych, którzy jako przeciwnicy – a raczej rywale – obecnych władców Rosji są zarazem ich duchowymi braćmi. Oraz ich współników, którzy wkradli się w nasze szeregi, by zniesławiać nas w oczach cudzoziemców i nas podzielić. Ale ci, którzy zostaną, samą swą liczbą świadczą o ogromnej wadze wydarzeń, które powołały do życia rosyjską emigrację i dają nam pełne prawo do wzniosłych słów.

Jednak nasz stan liczebny to nie wszystko. Jest coś jeszcze, co wyznacza nasze powołanie: jesteśmy potężnym przesłaniem dla świata, obrońcami wiecznotrwa-

Adam Michnik poleca. **Głos pisarza sprzed stu lat**

MILION NAJLEPSZYCH

FOT. ALAMY/BE&W



ROSYJSKICH DUSZ

łych, boskich fundamentów ludzkiej egzystencji, które chwieją się dziś nie tylko w Rosji, lecz wszędzie.

Choćby nasz exodus z Rosji był niczym więcej niż instynktownym protestem przeciwko powszechnym tam mordom i spustoszeniom, i tak przyznać by na-

leżało, że przypadła nam misja przekazania pewnej wiedzy.

„Wejrzyj, świecie, na ten wielki exodus i pojmij jego sens. Oto przed tobą milion najlepszych rosyjskich dusz, świadectwo tego, że bynajmniej nie cała Rosja przystała na jakże podle i okrutne rządy jej władców.

Oto przed tobą milion dusz zagrożonych w najgłębszej żalobie, którym przyszło ujrzyć hańbę i ruinę jednego z najpotężniejszych mocarstw tej ziemi, a wiedzieli, że to mocarstwo jest ich ciałem i krwią; którym los kazał porzucić domy i często zbezczeszczone groby ojców, by oplakiwać

gorzkimi łzami mnogą rzeszę umęczonych i niewinnie pomordowanych, być wyzutym z wszelkiej ludzkiej pomyślności, poczuć rękę wroga tak podłego i bezwzględnego, że braknie słów, zaznać w ucieczce przed nim wszelakich egipskich plag, znosić na obcych szlakach wszelkie możliwe ciosy i upokorzenia”.

Byłoby tak, gdybyśmy byli jedynie masą bieżących, którzy samym swym istnieniem podnoszą krzyk przeciwko temu, co wyrażono Rosji – gdybyśmy byli, jak to pięknie ujął rosyjski pisarz, żurawiami Ibika, które rozfrunęły się po niebiesiech, by świadczyć przeciw katom Moskwy. Ale to jednak nie wszystko – rosyjska emigracja może o sobie powiedzieć znacznie więcej.

Setki tysięcy spośród nas powstały czynnie i świadomie przeciwko wrogowi, który ma teraz stolicę w Rosji, ale mieni się władcą świata, setki tysięcy zbuntowały się przeciw niemu, walczyły ze wszelkich sił – i nie wiadomo jeszcze, jaki, gdyby nie oni, los czekałby Europę.

Czym jest nasza misja? W czym imieniu działamy i występujemy? Zaiste, mimo wszystkich naszych ludzkich upadków i słabości działamy w imię tego, co w nas na Boży obraz i podobieństwo. A także w imię Rosji – ale nie tej, która zdradziła Chrystusa za 30 srebrników, za prawo do grabieży i mordy, do pogrążenia się we wszelkich obrzydliwościach, okrucieństwach i moralnym brudzie – tylko w imię innej Rosji, tej zniewolonej, cierpiącej, ale nie do końca ujarzmionej.

Świat odwrócił się od niej, od cierpiącej Rosji, i chwilami przypomina rzymskiego żołnierza, który podał gąbkę z octem Ukryżowanemu. Europa w mgnieniu oka dławi bolszewizm na Węgrzech, nie wpuszcza Habsburgów do Austrii, a Wilhelma do Niemiec. W przypadku Rosji powołuje się zaś niezwłocznie na zasadę nieingerencji w wewnętrzne sprawy sąsiada i spokojnie przygląda się jego „sprawom wewnętrznym”, takim jak trwający od sześciu lat pogrom, który Rosja nawet zalegalizowała. I tak raz po raz wypełniają się słowa Piśma:

„Z Nilu wyszło siedem pięknych tłustych krów, które zaczęły się paść wśród przybrzeżnych traw. A za nimi wyszło z Nilu siedem innych krów, brzydkich i wychudzonych, które stanęły obok tłustych krów nad brzegiem rzeki. Nagle te brzydkie, wychudzone krowy zaczęły pożerać siedem krów pięknych i tłustych. (...) Bo oto ciemność okrywa ziemię i gęsty mrok spowija ludy. (...) A twarz pokolenia będzie jak psi pysk”.

Jednak tym ważniejsza jest misja rosyjskiej emigracji.

Co się stało? Stało się to, że sromotną klęskę poniosła Rosja, a wraz z nią ludzkość. Klęski Rosji nie tłumaczy nic. Czy rewolucja rosyjska była nieuchronna? Oczywiście, że nie, bo mimo wszystkich swoich wad Rosja w bajechnym tempie kwitła, rosła, rozwijała się i zmieniała.

Rewolucja, powiadają, była nieuchronna, bo lud pragnął ziemi i żywił nienawiść do dawnych panów, wszelkich panów. Ale dlaczego ta ponoć nieuchron-

na rewolucja nie wydarzyła się np. w Polsce i na Litwie? Czyżby nie było tam żadnych dziedzi-ców, nierówności czy spragnio-nego ziemi ludu? I dlaczego w re-wolucji i wszystkich jej okrucień-stwach uczestniczyła Syberia z jej przedpotopowym nasileniem pańszczyźnianego zniewolenia?

Nie, nie było to nieuchronne, ale stało się. Jak, pod jakim sztandarem? Stało się i staje w straszny sposób, pod sztandarem internacjonalizmu – pod rzekomym sztandarem wszystkich narodów – który zamiast kamiennych ta-blic z Synaju i „Kazania na górze”, zamiast starożytnych boskich praw, oferuje światu coś nowego, diabelskiego.

Była Rosja, wielki dom uginają-cy się pod ciężarem wszelkich bogactw, zasiedlony przez ogromną i pod każdym względem potężną rodzinę, dzieło błogosławionej pracy niezliczonych pokoleń, natchnione miłością Bożą, pamięcią przeszłości i wszystkim, co zwie się kultem i kulturą. Co się z nim stało?

Ceną za obalenie pana do-mu było obrócenie go w zgłisz-cza i bezprzykładne bratobójstwo, cała ta koszmarna, krwawa far-sa, której strasznych skutków nie da się zapewne nigdy odwrócić. Koszmar ten jest tym straszniej-szy, że czczony na wszelkie możli-we sposoby jako perła stworzenia, że trwa latami bez cienia protestu świata, który dawno już powinien ruszyć z krucjatą na Moskwę.

Cóż więc się stało? Choć bez-rozumna była rewolucja pod-czas wojny światowej, opowie-działo się za nią mnóstwo przy-szłych białych żołnierzy i emi-grantów. Nowy pan domu okazał się istnym koszmarem, ale niemal wszyscy stanęliśmy za nim mu-rem. A Rosja podpalona przez in-ternacjonalnego nikczemnika, który wynosi nieokiełznaną wła-dzę motłochu z wszystkimi jego najgorszymi cechami do rangi re-ligii – ta Rosja już oszalała.

Sam pierwszy minister na ra-radzie w Moskwie w sierpniu 1917 r. oświadczył, że zarejestro-wano już – tylko zarejestrowa-no! – 10 tys. brutalnych, bezmyśl-nych ludowych „samosądów”. A co było potem? Potem podepta-no i zhańbiono najstraszniej, jak można, wszystko, co stanowi fun-dament człowieczeństwa.

Zaczął się od zabójstwa Ni-kołaja Duchonina [naczelný do-wódca armii rosyjskiej, 20 listopa-da 1917 r. zlinczowany przez tłum] i haniebnego traktatu brzeskiego, a skończyło na kanibalizmie. In-ternacjonalny nikczemnik, wznoszący szyderczo sztandar wolno-ści, równości i braterstwa, roz-siadł się na ramionach ruskie-go dzikusia i wezwał świat, by ten wdeptał w błoto sumienie, wstyd, miłość i miłosierdzie, by rozbił w proch tablice Mojżesza i Chry-stusa i stawiał pomniki Judaszo-wi i Kainowi, by nauczał „siedmiu przykazań Lenina”.

I dzikus rozbił wszystko, podep-tał wszystko, ba, poważyl się na coś, przed czym wzdrygał się sam diabeł – wdarł się do najświętsze-go ze świętych swojej ojczyzny, miejsca potężnego i błogosławio-nego sakramentu, gdzie od wie-ków spoczywał jej największy Bu-downiczny i Obrońca, targnął się na sanktuarium św. Sergiusza, grobowiec, przed którym przez wieki rzesze Rosjan padały na

twarz w przełomowych chwilach ich ziemskiej egzystencji.

Boże, czy przed tym właśnie dzikusiem mam teraz pokłonić się i mu służyć? Czy ma on być samo-władnym panem nowej Rosji, któ-ry spełnił swoje „najsłynniejsze ma-rzenia” kosztem sąsiada, którego zarznął za pół dziesięciny ziemi?

W moim wykładzie na Sorbo-nie przytoczyłem słowa wielkiego historyka Wasilija Kluczewskie-go: „Koniec państwa rosyjskiego nadejdzie, gdy runą w gruz nasze

gnięcie tego wszystkiego wymaga wielkiego kłamstwa, wielkiej słu-żalczności, wzniecania niepokojó-w i rewolucji – trzeba od czasu do czasu brodzić po kolana we krwi.

I co najważniejsze, trzeba ode-brać masom „opium religii” i za-stąpić je bogiem-idolem, cielcem, czyli, mówiąc wprost, bydlęciem. Pugaczow! A co mógł taki Puga-czow? Co innego „internacjonal-ne” bydlę. Lenin – degenerat, mo-ralne zero od urodzenia – zaofe-rował światu u szczytu kariery

Pojawiły się w świecie mnogie zastępy heroldów „nowego” życia, którzy uzurpują sobie koncesję na organizowanie ludziom szczęścia, jakoby uniwersalnego, jednakiego dla wszystkich

moralne fundamenty, gdy zgasa-ją znicze na grobie św. Sergiusza i zatrzasa-ją się wrota Jego Ławry”.

Wielkie słowa, które brzmią dziś złowieszczo! Fundamen-ty zburzone, wrota zawarte, zni-cze pogasły. Bez tych zniczy nie ma rosyjskiej ziemi – nie wolno zbrodniczo służyć mrokowi.

Tak, drżą fundamenty całego świata i wyobrażalne jest, że świat nie ruszy ręką, gdy czerwony sztandar zalopocze nad Jerozolimą i spustoszony zostanie sam Grób Pański – wszak moskiewski Antychryst już marzy o zalegitymizowaniu przez samego rzymskiego namiestni-ka Chrystusa.

Świat, którym zawładnęła nie-spotykana żądza zysku i dogo-dzania tłumom, upodabnia się znów do Tyru i Sydonu, Sodomy i Gomory. Tyr i Sydon dla handlu nie wzgardzą niczym, Sodoma i Gomora nie cofną się przed ni-czym, by zaspokoić żądzę. Rosną-cy w liczbę i podnoszący dumnie głowę tłum pożąda przyjemno-ści i zazdrości wszystkim, którzy jej zaznają. Jedni (żądni zysku) olśniewają go przepychem świa-towego bazaru, drudzy (żądni władzy) rozpalają jego zazdrość.

Jak zapanować nad tłumem, jak rozślawić się w całym Tyrze, całej Gomorze, jak wejść do daw-nego carskiego pałacu lub choćby zwiększyć skroń laurem bojowni-ka o rzekome dobro ludu? Trzeba oszukać tłum, a czasem wręcz sa-mego siebie, swoje sumienie, trze-ba kupić przychyłność tłumy, do-gadzając mu.

Pojawiły się więc w świecie mnogie zastępy heroldów „no-wego” życia, którzy uzurpują so-bie przywilej, koncesję na orga-nizowanie ludziom szczęścia, ja-koby uniwersalnego, jednakiego dla wszystkich. Wyrosła cała ar-mia zawodowców – tysiące zaj-mujących się tym działaczy wsze-lakich partii socjalnych, tysiące trybunów, z których wywodzą się ci wszyscy, którzy koniec końców zyskują sławę i splendor. Ale osi-ą-

coś potwornego, wstrząsającego. Spustoszył największy kraj na Zie-mi, wybił kilka milionów, a jed-nak tenże świat zdążył oszaleć do tego stopnia, że w biały dzień spiera się o to, czy jest on dobro-czyńcą ludzkości, czy nie.

Siadywał już na czworakach na swoim krwawym tronie, poka-zywał język angielskim fotogra-fom, ale to nic, oni dalej się spie-raj! Sam Siemaszko [Nikołaj, lu-dowy komisarz zdrowia w la-tach 1918-30] wypaplał niemądrze, że w czaszce tego współczesne-go Nabuchodonozora znaleźli za-miast mózgu zieloną breję; na łożu śmierci, w czerwonej trumnie, le-żał, jak pisał gazety, ze strasznym grymasem na szarożółtej twa-rzy. Nic to, dalej się spierają! A je-go towarzysze pisali: „Umarł no-wy bóg, stwórca Nowego Świa-ta, demiurg!”. Moskiewscy poeci, ci utrzymankowie moskiewskiej czerwonej ładacznicy, pono aku-szerzy nowej rosyjskiej poezji, od dawna wołali:

„Jezusa na krzyż,/ Barabasza pod ręce i na Twerską,/ Język po-każę światu długi jak kometa,/ Nogi rozkraczę po Egipcie/ Bogu brodę wysuknię,/ Modląc się plu-gastwem...”.

A jeśli połączymy to wszyst-ko – plugastwa i sześć lat rządów sprytnego szaleńca, jego wysu-nięty język, czerwona trumna i to, że wieża Eiffla odbiera radioko-munikat o pogrzebie nie Lenina, tylko nowego Demiurga, a Mia-sto Świętego Piotra, Sankt Peters-burg, zostaje przemianowane na Leningrad – ogarnie nas iście bi-blijny strach nie tylko o Rosję, ale i Europę, bo te nogi rozkraczają się bardzo daleko i śmiało.

W stosownym czasie spad-nie na to wszystko gniew Boży – zawsze tak było. „Oto powsta-ne przeciw wam, Tyrze i Sydonie, i strącę was w głębiny morskie...”. Ogień i siarka spadną na Sodo-me i Gomorę, na wszystkie te Le-ningrady, ale Syjon, Boże Miasto Pokoju, przetrwa wieki. Cóż więc robić? Co robić ma rosyjski emi-grant?

Misją emigracji, która swoim exodusem z Rosji, swoją walką i Wielkimi Marszami Lodowymi [odwrot armii Białych w 1920 r.] dowiodła, że odrzuca przykazania Lenina – nie tylko ze strachu, tak-że w odruchu sumienia – jest te-raz kontynuacja tego odrzucenia.

„Chcą odwrócić bieg rzeki, nie chcą uznać tego, co się stało!”. Nieprawda, nie chcemy, żeby rze-ki płynęły wstecz, tylko inaczej. Nie przeczymy faktom, ale oce-niamy je – to nasze prawo, a na-

czzerwonoarmistów – gdy tylko zobaczył w oddali ich płaszcze, gnał za nimi jak wichur, dławiąc się szczekaniem!

Przeczytałem tę relację z prze-rażeniem i zachwytem, a teraz modłę się do Boga, żeby przedłu-żył we mnie do ostatniego tchnie-nia tę samą świętą psią nienawiść do rosyjskiego Kaina. A moja mi-łość do rosyjskiego Abła nie po-trzebuję modlitw, by trwać. Mo-że nie przetrwać biały jak górski śnieg mundur białego żołnierza, ale niech święci się na wieki je-go pamięć!

Pod lukiem triumfalnym ga-lijskiego męstwa płonie wiecz-ny ogień przy trumnie niezna-nego żołnierza. Na dzikim i mar-twym dziś rosyjskim stepie, gdzie spoczął biały żołnierz, ciemność i pustka. Ale Bóg jeden zna jego drogi. Gdzie łuk z kamienia, gdzie płomień godzien tego grobu. Bo tam jest grób Chrystusowej Ro-sji. I tylko jej oddam cześć w dniu, w którym anioł odwali kamień z jej mogiły.

Wyglądamy tego dnia. A na ra-zie niech naszą misją będzie opie-ranie się pokusom i nawoływa-niom. To niezmiernie ważne za-równo w tej epoce bezprawia, jak i dla przyszłych prawych ścieżek samej Rosji.

Lecz jest jeszcze coś o wie-le większego niż Rosja, a zwłaszcza jej materialne interesy. To mój Bóg i moja dusza. „Przez wzgląd na Jerozolimę nie zaprę się Boga!”. Wierny Żyd dla żadnych dóbr nie wyrzeknie się wiary ojców, św. ksiązę Michail Czernihowski oddał się Ordzie za Rosję, ale nawet dla niej nie pokłonił się bożkom chana, tylko wybrał męczeńską śmierć.

W dawnej Rosji mówiono ze smutkiem i wzruszeniem: „Pocze-kajmy, prawosławni chrześcija-nie, aż Bóg zabierze stąd Ordę”.

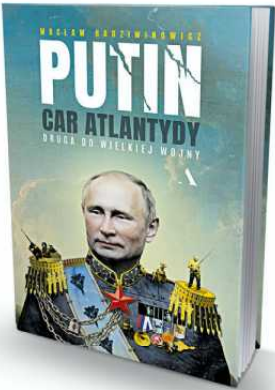
My też poczekajmy. Poczekaj-my ze zgodą na nowy haniebny pokój z obecną ordą. ●

przeł. Sergiusz Kowalski

***Iwan Bunin** – rosyjski nowelista, poeta i tłumacz. Urodzony w 1870 r. w Woroneżu, zmarł w 1953 w Paryżu. Jeden z najważniejszych rosyjskich pisarzy XX wieku, w 1933 r. otrzymał literackiego Nobla. W 1920 r. wyemigrował do Francji.

Tekst za: Iwan Bunin, „Okajannyje dni. Wspominania. Statji”, wyd. Sowietiskij pisatel, Moskwa 1990. Jest to przemówienie wygłoszone w Paryżu 16 lutego 1924 r. Tytuł – „Wyborcza”. Tytuł autorski: „Misja rosyjskiej emigracji”.

„Putin, car Atlantyd. Droga do wielkiej wojny”. Nowa książka Wacława Radziwinowicza już w dobrych księgarniach, na Kultu-ralnysklep.pl i w formie e-booka na Publio.pl.



TERMINATOR NAM NIE GROZI

**Gdy społeczeństwo zobaczy,
że zamiast ludzi giną roboty,
to może być bardziej przychylne
wobec wywoływania kolejnych wojen**

Z **WŁODZISŁAWEM DUCHEM**, PROFESOREM WYDZIAŁU FIZYKI, ASTRONOMII I INFORMATYKI STOSOWANEJ UMK W TORUNIU ORAZ ŚWIATOWEJ SŁAWY EKSPERTEM W DZIEDZINIE SZTUCZNEJ INTELIGENCJI, ROZMAWIA **DAMIAN NOWICKI**

Hollywood wyprodukował wiele filmów, w których sztuczna inteligencja dochodzi do wniosku, że ludzkość jest zagrożeniem. Grozi nam scenariusz „Terminatora” albo „Matrixa”? – (śmiech) Terminatora nawet nikt nie próbuje zrobić, bo stworzenie takiego humanoidalnego robota jest ekstremalnie drogie i ma mało praktyczne zastosowanie. Nie wiemy jednak, co będzie za kilka lat, gdy rozpowszechnią się różnego rodzaju zautomatyzowane systemy wojskowe. Obstawiam, że będą to raczej jakieś pojazdy opancerzone, jeszcze bardziej rozwinięte drony i różnego rodzaju samoloty. Główne pytanie, które przychodzi mi do głowy, to właściwie po co ta sztuczna inteligencja miała by nas ścigać.

Aktualnie najmodniejszy scenariusz apokaliptyczny dotyczy ekologii: ponieważ zabijamy planetę, na której znajdujemy się serwery, na które wgraliśmy AI, czyli sztuczną inteligencję. – Owszem, ale te najbardziej idiotyczne scenariusze Hollywoodu twierdzą, że prąd będziemy czerpać z organizmów biologicznych. Wystarczy, że AI zabezpieczy sobie energię pochodzenia nuklearnego, co jest znacznie łatwiejsze w porównaniu z tradycyjnymi węglowodorami, i scenariusz takiego „Terminatora” traci sens. Żeby z kolei spełnił się wariant „Matrixa”, potrzebujemy ogromnych mocy obliczeniowych. W Europie dyskutowało się dużo na temat stworzenia komputera egzaflopowego, czyli takiego, który robi miliard miliardów operacji na sekundę. W ramach bezpieczeństwa miał być rozproszony i w każdym kraju znajdowałaby się inna jego część. Amerykanie już mają coś podobnego, a kolejne firmy deklarują, że trwają prace nad zbudowaniem takich egzaflopowych komputerów. Co i kiedy wyjdzie z tych deklaracji, dowiemy się w bliskiej przyszłości, ponieważ nakłada się na to bar-

dzo wiele innych czynników, od ekonomii do polityki.

Nie obawiałbym się jednak sztucznej inteligencji, bo ona „nie żyje” w naszej fizycznej, trójwymiarowej przestrzeni. Nie wyobrażam sobie, jak AI miałaby cokolwiek chcieć od człowieka, a tym bardziej – abyśmy w czymś jej przeszkadzali.

W „Odysei kosmicznej” Stanleya Kubricka pojawił się motyw fabularny, gdy człowiek chciał wyłączyć AI, która odczytała to jako zagrożenie i postanowiła temu przeciwdziałać. Na razie AI wykonuje nasze polecenia i nie jest w stanie podejmować rozważań, co sama miałaby ze sobą zrobić. Nic też nie zapowiada, abyśmy mieli – a tym bardziej chcieli – AI wyłączać.

A czy doczekamy się momentu, w którym naukowcy staną się „za wolni” dla sztucznej inteligencji? Prof. Andrzej Dragan twierdzi, że tworząc AI, „hoduujemy sobie gatunek, który będzie nad nami górował intelektualnie”.

– Już teraz mamy z tym do czynienia, bo systemy, które stworzyliśmy, przekraczają nasze zdolności i w wielu wymiarach przestaliśmy być dla nich partnerem. W przypadku gier, jak szachy, było to już w 1997 roku, a w go – niespełna 20 lat później. Czytałem też, że naukowcy poprosili GPT-4, aby napisał w formie wiersza dowód twierdzenia matematycznego. No i zrobił to. Można dyskutować nad wartością stylistyczną, ale zrobił to, czego wielu matematyków raczej nie dałoby rady.

Pamiętam, jak kilka lat temu w dyskusjach na temat szerokiej sztucznej inteligencji padał termin „za 100 lat”, co dzisiaj już tylko bawi. Pytanie, które się za tym rodzi, to czy możemy znaleźć jeszcze jakieś intelektualne wyzwanie, w którym będziemy mieli przewagę. Następnym krokiem może być tzw. god mode, czyli bo-ski tryb, w którym nie będziemy rozumieć nieprawdopodobnie szczegółowych odpowiedzi na pytania, które zadaliśmy systemowi. Na razie to my decydujemy o kierunku, w którym AI się porusza i rozwija, ale to może się zmienić bez czekania na nasze zatwierdzenie. No i wtedy może trzeba będzie pomyśleć nad ich wyłączeniem.



Kojarzy mi się to z powieścią science fiction Douglasa Adamsa pt. „Życie, wszechświat i cała reszta”, w której ludzkość stworzyła superkomputer, który zapytała o sens życia, a maszyna odpowiedziała po prostu „42” i nikt nie wiedział, o co chodzi. (śmiech)

Mówił pan, że jesteśmy na drodze do „Ludzkości+”, czyli transhumanistycznego społeczeństwa bardziej rozwiniętych gatunków ludzkich”. Co to znaczy?

– Przez termin „Ludzkość+” rozumiem udoskonalanie naszych możliwości za pomocą bioelektroniki, ingerencji w mózg oraz optymalizacji procesów w nim zachodzą-

cych. Odkodowanie tego, co dzieje się w naszych głowach, może spowodować ogromny rozwój medycyny spersonalizowanej. Przykładowo – poprzez elektroencefalografię czy elektrokortykografię będziemy monitorować pracę mózgu, a za pomocą mikroelektrod oraz późniejszej analizy przez sztuczną inteligencję będzie można wyłapywać sygnały odpowiedzialne za konkretne zaburzenia psychiczne. Rozwinięciem gatunku ludzkiego będzie sytuacja, w której osoby cierpiące np. na chorobę Parkinsona, padaczkę czy uzależnienia, dzięki wszczepionym stymulatorom będą mogły monitorować pracę kory mózgowej i regulować swoje zachowania za pomocą zewnętrznego kontrolera.

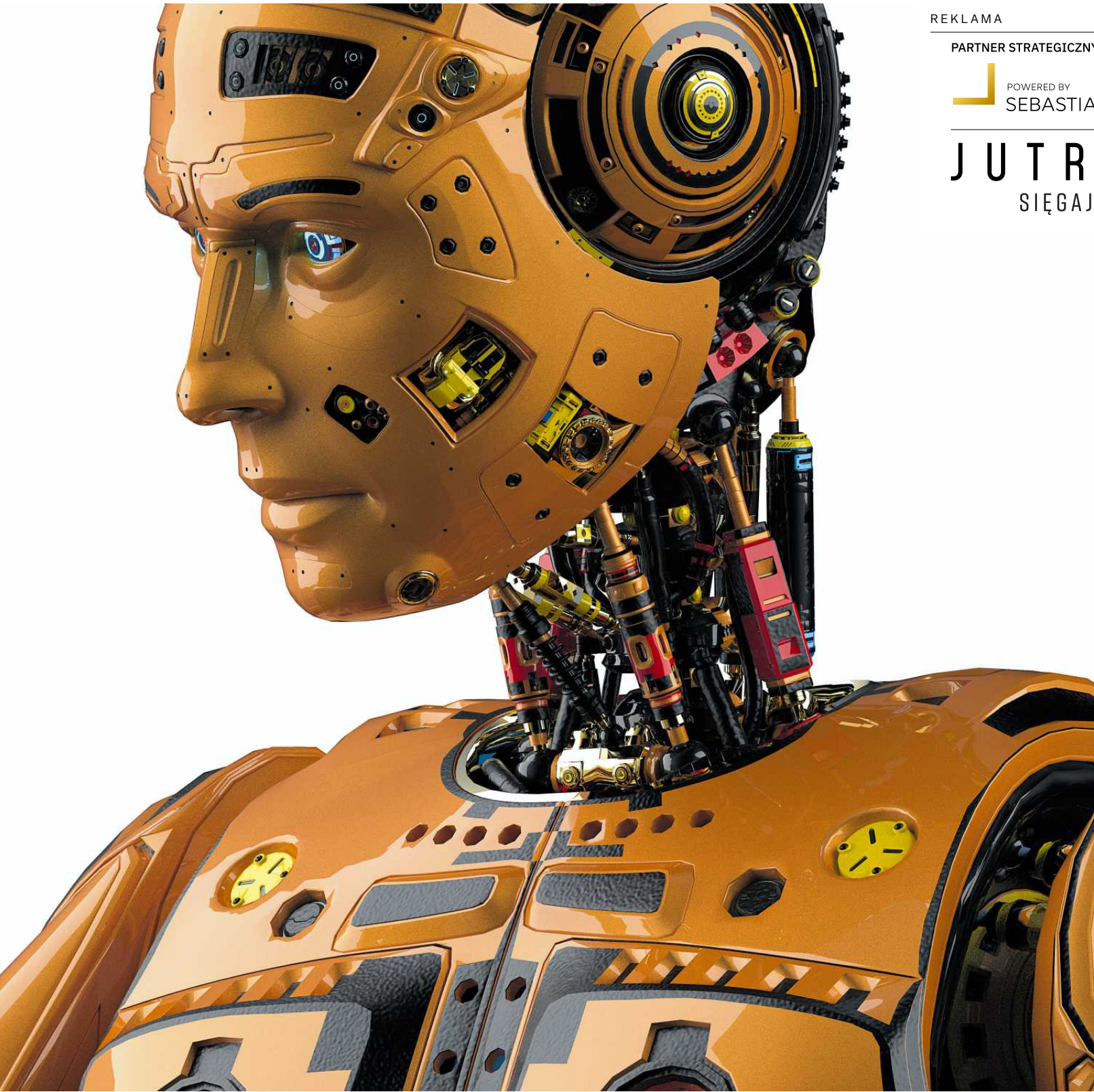
Mówił pan też, że „droga do Ludzkości+ jest pełna niebezpieczeństw, ale może wcale nie być aż tak długa”.

– Bo wielu ekspertom wydawało się, że to, co mamy dzisiaj, nadejdzie dopiero za kilkadziesiąt lat, a różnego rodzaju przełomowe odkrycia wydarzają się niemal co tydzień. Np. takie systemy językowe jak GPT. Aby mogły sensownie odpowiadać na szczegółowe pytania, powiedzmy z fizyki kwantowej, to system musi przyjąć ogromną liczbę jednostek informacji liczonej w tokenach, stanowiących około 2/3 słowa. Np. 8 tys. tokenów odpowiada 6 tys. słów i w obrębie tak opisanego kontekstu chat jest w stanie odpowiedzieć na nasze pytanie. Tak było na początku funkcjonowania GPT-3, natomiast najnowsze publikacje donoszą, że z tych 8 tys. wskoczyliśmy już na miliard tokenów. Jesteśmy u progu niezwykłego skoku, który pozwoli nam zadawać bardzo precyzyjne pytania w bardzo wyfinansowanych obszarach wiedzy.

Te cuda brzmią fantastycznie, ale jakie powinniśmy stworzyć regulacje etyczno-prawne, aby technologia AI nie została wykorzystana przeciw ludzkości? – Równie dobrze możemy zapytać, jakie zastosować regulacje prawne, żeby ludzie nie popełniali przestępstw. Przecież mamy jasno okre-

**Dowód matematyczny
w formie wiersza?
ChatGPT to zrobił,
matematykom byłoby
trudno**

FOT. SHUTTERSTOCK



REKLAMA

PARTNER STRATEGICZNY:



POWERED BY
SEBASTIAN KULCZYK

JUTRONAUCI
SIĘGAJ ZA HORYZONT

ślone prawo, a w dalszym ciągu jest wielu ludzi, którzy popełniają wykroczenia. Podobnie z medycyną, która boryka się ze znochorami, czy nauką, gdzie naukowcy muszą obalać domorosłych ekspertów i zwolenników teorii spiskowych. Jedyne, co można zrobić, moim zdaniem, to regulować każdy produkt, który pojawia się na rynku, i reagować na bieżąco względem negatywnych społecznie zjawisk. Aktualnie Unia Europejska próbuje wprowadzić jakieś ograniczenia dotyczące konkretnych systemów, ale aplikacji opartych na tego typu rozwiązaniach AI są tysiące. Niestety konkurencja jest na tyle silna, że ludzie nie zatrzymają się przed, powiedzmy, moralnie wątpliwym zastosowaniem tej technologii.

Na początku lipca podano, że trójka amerykańskich pisarzy pozwala firmę OpenAI o naruszenie praw autorskich.

– Ciekawe, czy te osoby, które poczuły się pokrzywdzone, będą w stanie udowodnić przed sądem, że GPT rzeczywiście naruszył ich prawa i spowodował realne straty. Niemożliwe jest dzisiaj stworzenie książki czy muzyki, w której nie będzie śladów jakichś wcześniejszych dzieł. Problem jest taki, jak udowodnić, w jakim stopniu AI wykorzystwała fragmenty czyjejs twórczości. Czas pokaże, jak te pozwy się zakończą

i w jaki sposób zareaguje rynek. Z perspektywy badacza to bardzo interesujące, ale niestety w procesie prób i błędów często dochodzi do szkód.

A czy to nie jest tak, że wielkie firmy technologiczne spychają odpowiedzialność za swoje produkty na ich użytkowników?

– Oczywiście. Microsoft sprzedaje nam systemy, ale najpierw każe kliknąć guziczek „zaakceptuj warunki”, który oznacza, że nie będą odpowiedzialni za to, że ten system może narozrabiać. Nikogo nie obchodzi, że dany system może komuś wszystko wymazać i zniszczyć. Skoro chcemy korzystać z danego produktu, to sami musimy się jakoś zabezpieczyć. Zdarzają się jednak wyjątki od reguły. Google na przykład próbował postępować etycznie, ponieważ kiedy wymyślili swoje transformery GPT, to stwierdzili, że ta technologia nie powinna być udostępniana publicznie, bo może zostać wykorzystana w niewłaściwy sposób. Tymczasem inne firmy wychodziły ze swoimi rozwiązaniami bez podobnych moralnych zahamowań, więc i oni stwierdzili, że nie mogą sobie pozwolić na zostanie w tyle. Dzisiaj niemal każda duża firma dołącza do tego wyścigu i próbuje zagarnąć jak największą część tego rynku. Tak działa kapitalizm.

Elon Musk już od lat mówi o wszczepianiu czipów w mózg, ponieważ ma to zbawić ludzkość. Nie ukrywa też, że badania prowadzi pod kątem komercyjnym i liczy na zwrot tych wszystkich milionów, które za-inwestował w firmę Neuralink.

– Jednego tygodnia Musk mówi, że AI to niebezpieczna technologia, a drugiego, że chce jak najszybciej wprowadzić ją do masowej produkcji. W żadnym stopniu nie jest wiarygodną postacią, a jedynie zatrudnia prawdziwych ekspertów w SpaceX czy Neuralink. Z kolei stwierdzenie, że sprzężenie ludzi z komputerami zbawi ludzkość, jest zupełną głupotą. Każdy, kto chociaż trochę się na tym zna, wie, że ludzki mózg jest za wolny na przetwarzanie informacji z prędkością nawet zwykłego komputera, a sztuczne sieci neuronowe nie mają wad (ani zalet), które mają nasze.

Wyobraźmy sobie, że Musk doprowadza do popularyzacji wszczepiania czipów, a potem, „o dziwo”, dochodzi do monopolizacji jego produktów, usług czy ogólnie technologii. Może wchodzić w sferę teorii spiskowych, ale jestem w stanie wyobrazić sobie przyszłość, w której Big Tech wpływa na swoich użytkowników już nie tylko za pomocą reklamy, ale

też bezpośrednich impulsów do mózgow. Przecież wiele miesięcy zajęło, zanim świat się dowiedział, że inteligentny głośnik Alexa od Amazona szpiegował swoich użytkowników.

– Na ten moment to kompletne SF, a jedynym sposobem, aby zdalnie choćby odczytać np. obrazy z ludzkich myśli, jest nałożenie komuś na głowę maszyny do elektroencefalografii, co kosztuje i na razie pozwala odtworzyć najprostsze obrazy. Takie technologie oczywiście będą się pojawiać, ale z czysto technicznego punktu widzenia raczej trudno będzie wpływać na nasze myśli bez naszej zgody, gdy jedy-

Zagrożenia sztucznej inteligencji?

Ale po co miałyby nas ścigać?

nym sposobem, aby to w ogóle zrobić, jest fizyczne leżenie bez ruchu, gdy jest się podłączonym do aparatury. Aktualnie największym zagrożeniem w manipulowaniu ludźmi są fałszywe obrazy, filmy i boty, które je rozpuszczają w mediach. Dzisiaj na podstawie kilku sekund z zapisem głosu człowieka można wydobyc odpowiednio dużo informacji, aby go zreplikować i dowolnie nim manipulować. Socjotechnika będzie się coraz prężniej rozwijać, a jedyne rozwiązanie to krytyczne podejście, ostrożność i weryfikacja. Na co za bardzo niestety nie liczę, gdy widzimy, jak bezkrytycznie ludzie biorą za pewnik wszystkie bzdury, które pojawiają się chociażby na Twitterze. W języku nauki nazywa się to błędem konfirmacji, czyli szukaniem informacji, które nam pasują, a unikaniem tych niewygodnych.

Koronnym argumentem przeciwników ChatuGPT czy sztucznej inteligencji w ogóle jest widmo masowych zwolnień wynikające z automatyzacji, a w dłuższej perspektywie likwidacji całych zawodów. Czy to nie będzie tak, że na tej rewolucji zyskają nieliczni, zasiadający w zarządach firm produkujących software AI, a zwykli ludzie „po prostu” stracą pracę?

– Obawiam się, że to nieuniknione. Gdy wymyślono koparkę, to ludzie kopiący łopatami stali się niepotrzebni. Rolnicy z kolei protestowali, gdy zmechanizowano krosna. Sztuczna inteligencja była wykorzystywana już od dłuższego czasu, np. w automatyzowaniu prostych komunikatów jak prognoza pogody czy wyniki sportowe. Z czasem technologia rozwinię się do takiego stopnia, że będzie można wyeliminować prawie wszystkich programistów.

To już zawód bez przyszłości?

– Myślę, że niebawem okaże się, że programowanie jest już dziedziną na tyle zautomatyzowaną, że osoby, które dzisiaj dopiero uczą się układać ścieżki kodów, w krótkiej przyszłości będą miały pod górkę albo w ogóle będą niepotrzebne dla pracodawców, którzy wybiorą algorytm.

W testach, które Amazon jakiś czas temu prowadził wśród kandydatów na inżynierów oprogramowania, to GPT-4 dostawał

w cztery minuty maksymalną liczbę punktów, gdy ludziom zajmowało to około dwóch godzin. Wyrafinowanych analityków z doświadczeniem, którzy będą rozmyślać nad całym kontekstem, przeprowadzać bezpośrednie rozmowy z klientem, aby lepiej zrozumieć jego potrzeby, jeszcze tak szybko się nie zastąpi. Co więcej, to nie będzie dotyczyć wyłącznie obszarów pracy intelektualnej, ale też fizycznej, np. kierowania ciężarówek. Już teraz w Stanach Zjednoczonych, na długich trasach przez autostrady, kierowców zmienia się na automaty, a człowiek przejmuje kierownicę, gdy sytuacja robi się bardziej skomplikowana, np. w mieście.

Skoro ludzkość czeka automatyzacja, to w jakim kierunku rodzice powinni popychać dzieci, aby poradziły sobie na rynku pracy za – powiedzmy – 20 lat? Czy każdy, kto nie będzie neuroinformatykiem bądź neurokognitywistą, będzie miał pod górkę?

– Nikt nie wie, co będzie za 20 lat, natomiast kluczowe moim zdaniem jest, aby dzieci nauczyły się zadawać dobre pytania. Najlepiej świadczą o tym nasze dzisiejsze interakcje z ChatemGPT, w których ludzie pytają głównie o rzeczy trywialne. To urządzenie na razie jest odbiciem tego, co tam wkładamy. Aby otrzymać inteligentne i ciekawe odpowiedzi, musimy zadawać inteligentne i ciekawe pytania, z czym ludzie mają aktualnie problem. Dla milionów ludzi to przede wszystkim zabawka.

Istnieje fantastyczny projekt, o którym prawie nikt nie wie, a konkretnie Akademia Khana, należąca do Salmana Khana, amerykańskiego edukatora i twórcy internetowych systemów wspomagania edukacji, który organizuje nowy projekt o roboczej nazwie „Khanmigo” – będzie służył indywidualnemu nauczaniu najmłodszych. Interaktywny czat napędzany sztuczną inteligencją będzie rozmawiać z dzieckiem, pytać, co je interesuje, dlaczego myśli w taki, a nie inny sposób, i w efekcie pokazywać mu nowe i ciekawe rzeczy, których warto się nauczyć w kontekście jego zainteresowań. Co najciekawsze, Khan robi duży projekt w bardzo biednym Malawi we wschodniej Afryce, a tamtejsze dzieci dostaną najnowsze komputery, ale także ekosystem sztucznej inteligencji, który będzie je prowadził za rączkę i monitorował proces nauki nowych umiejętności.

A więc kapitał: intelektualny, kulturowy i społeczny.

– Poruszyłem kiedyś ten wątek na spotkaniu Polskiego Porozumienia na rzecz Sztucznej Inteligencji, czyli organizacji zrzeszającej wszystkie stowarzyszenia, które zajmują

się AI. Próbowałem przekonać kolegów, abyśmy zwrócili się do ministerstwa, że skoro wydaje się 1,2 mld zł na zakup sprzętu szkolnego, to przydałoby się przeznaczyć około 10 proc. tej kwoty na rozwój ekosystemu, który spowodowałby, że ten sprzęt staje się użyteczny. Chcieliśmy wprowadzić do szkół podstawowych naukę programowania, ponieważ dobrze jest uczyć dzieci myśleć algorytmicznie oraz rozbudzać wyobraźnię. Pozwoliłoby to dopasować możliwości, które daje AI, do potrzeb człowieka, a nie z nimi konkurować. W świecie sztucznej inteligencji istnieje cały nurt temu poświęcony, który nazywa się „human alignment” (dopasowanie do człowieka) i moim zdaniem to jest najważniejszy kierunek. Niestety okazało się, że bardzo trudno było się przebić z taką propozycją w polskich realiach.

A czy automatyzacja oraz AI mogą zagrozić także samemu procesowi zdobywania wiedzy czy prowadzenia badań? Skoro cały zespół będzie można ograniczyć do jednej osoby zadającej właściwe pytania czatowi oraz zarządzającej wynikami, to czy część naukowców i badaczy może również zostać bez pracy?

– To już się dzieje. Kiedyś zbieranie informacji wymagało całej armii studentów, którzy biegali z kwestionariuszami. Dzisiaj robi się to przez internet, a jedna bądź dwie osoby zbierają i analizują odpowiedź. Są działy, zwłaszcza w naukach o życiu, jak biologia czy chemia, gdzie dane są tak ogromne, że analizowanie ich ręcznie jest fizycznie niemożliwe. Np. projekt AlphaFold, którego wynikiem było stworzenie 620 mln struktur przestrzennych białek. Bez sztucznej inteligencji ludziom zajęłoby to dekady. Nowe możliwości techniczne eliminują proste czynności, które dotychczas ktoś wykonywał, ale jednocześnie przyspieszają procesy badań w wielu obszarach oraz umożliwiają dokonywanie coraz bardziej złożonych eksperymentów. Chociażby mój doktorat, który w latach 70. trzeba było przepisywać ręcznie, co dzisiaj jest już nie do pomyślenia. (*śmiech*)

O naukę się stosunkowo mało martwię, bo np. w sektorach eksperymentalnych automatyzacja bardzo pomaga. Niestety nie wiem, co się stanie z pewnymi gałęziami nauk humanistycznych. Jakiś czas temu okazało się, że GPT-3 był w stanie napisać tak doskonały esej, że fachowcy od filozofii umysłu nie potrafili rozróżnić, czy to praca czatu, czy esej Daniela Dennetta, jednego z największych filozofów na świecie w tej dziedzinie. Pokazuje to, że modele naszego myślenia w niektórych obszarach również dają się zautomatyzować.

Konkurencja w produkcji AI jest tak silna, że ludzie nie zatrzymają się przed moralnie wątpliwym jej zastosowaniem

A czy trwają jakieś rozmowy dotyczące użycia AI w szpiegostwie albo innym militarnym aspekcie?

– To na pewno dzieje się na dużą skalę, a obszar cyberbezpieczeństwa staje się coraz szybciej i bardziej istotny. Trwają badania dotyczące software'owej ochrony państwa, rządów czy ogólnie narodowych interesów. Znacznie więcej dzieje się w kwestii sterowania sprzętem. Sztuczna inteligencja w coraz bardziej wyrafinowany sposób potrafi prowadzić np. samochody czy samoloty, a już 10 lat temu widziałem wideo, jak AI wykonywała manewry helikopterem, których człowiek nie był w stanie zrobić. Kolejnym krokiem jest np. sterowanie przez AI całą eskadrą dronów, samolotów, czołgów itp. Wójko ma bardzo duże możliwości, a na razie głównym hamulcem dla krajów o największych armiach jest jedynie opinia publiczna, a nie regulacje. Bardzo mnie martwi, co się stanie, gdy w wojnach znacznie uczestniczyć sztuczna inteligencja. Obawiam się, że gdy opinia publiczna zobaczy, że w konflikcie nie giną prawdziwi żołnierze danej armii, to np. przestanie być krytyczna wobec takich sytuacji, jak również wobec wywoływania kolejnych lokalnych wojen. Nie jestem pewien, czy politycy zdają sobie sprawę, jak mocno technologia wpłynie na kształt światowej geopolityki w ciągu następnych lat.

A czy inżynierowie i naukowcy mają moralne rozterki?

– Najlepszym przykładem jest pionier w dziedzinie sztucznych sieci neuronowych Geoffrey Hinton, który odszedł z Google'a i zaczął głosić, że sztuczna inteligencja jest za mądra i grozi nam poważne niebezpieczeństwo. Z kolei Stuart Russell, ekspert z uniwersytetu w Berkeley i współautor jednego z najczęściej używanych podręczników do AI, twierdzi, że zbliżają się nadludzkie możliwości, nad którymi nie będziemy w stanie zapanować. Jednocześnie są próby stworzenia procedur i mechanizmów, które zapewniłyby, że sztuczna inteligencja rzeczywiście będzie działać w naszym interesie i z ludzkimi intencjami. Taką grupę roboczą powołali w połowie tego roku twórcy ChatuGPT i nazwali ją Superalignment. Czas pokaże, co z tego wyjdzie i na ile te próby okażą się znaczące. Warto jednak pamiętać, że opinia publiczna ma dość ograniczony wpływ na funkcjonowanie tych kilku wielkich amerykańskich czy chińskich firm. Realny wpływ mogą mieć rządzący, którzy decydują, w jakim sektorze i na jakie produkty regulacje zostaną wprowadzone. Obecnie wydaje mi się, że liczba zwolenników i przeciwników AI jest porównywalna.

A pan? Jak urodzony w Kwidzynie fizyk teoretyczny, który obronił doktorat w Instytucie

Fizyki UMK, stał się światowym ekspertem neuroinformatyki i neurokognitywistyki?

– Sam się nad tym zastanawiam. (*śmiech*) Wydaje mi się, że to wynik naszego niedorozwoju, ponieważ w którymś momencie zorientowaliśmy się w Toruniu, że wszyscy mają rozwinięty kierunek informatyki, a u nas go nie było. Byłem świeżo po habilitacji, moje działania dotyczyły fizyki komputerowej i ówczesny rektor zaproponował, abyśmy zaczęli tworzyć własną informatykę. Mnie najbardziej interesowała sztuczna inteligencja, no i tak powstała Katedra Metod Komputerowych, a następnie Katedra Informatyki Stosowanej. Jej działanie na początku lat 90. to był koszmar, bo każdy, kto tam przychodził, niemal natychmiast był wysysany przez przemysł, który proponował wielokrotność stypendium doktorskiego.

To samo dzieje się dzisiaj.

– Tak, niestety pogłębiają się dysproporcje między biznesem a nauką. Niemniej duże zmiany zaszły u nas w 1992 roku, gdy zdobyliśmy naprawdę duży grant ze środków Unii Europejskiej. Rozesłałem wtedy ludzi do największych ośrodków w Cambridge, Leeds, Monachium, Tuluzie, aby stworzyć grupę ekspertów, z którymi skupiliśmy się na sieciach neuronowych oraz tym, co dzisiaj nazywamy uczeniem maszynowym. Pod koniec lat 90. stworzyliśmy innowacyjny wtedy system do data miningu, czyli oprogramowania do głębokiej analizy danych, dzięki któremu nawiązaliśmy współpracę z polskim oddziałem firmy Fujitsu. Tymi dokonaniem dość miękko weszliśmy w dziedzinę nauk kognitywnych i zajęliśmy się badaniami tego, jak ludzie rozwiązują problemy i jak przebiegają takie procesy w mózgu.

W mediach znalazłem opinię, że jest pan „nestorem polskiej kognitywistyki”.

– To oczywiście bardzo miłe, ale nie do końca prawdziwe. (*śmiech*) Sztuczna inteligencja od połowy lat 70. zaczęła się zbliżać do nauk kognitywnych, m.in. dzięki publikacji pt. „Sztuczna inteligencja jako nauka empiryczna”. W związku z tym pod koniec tych lat 90. zaczęliśmy tworzyć od podstaw własne nauki kognitywne, najpierw konwersatoria, potem ćwiczenia, no i w końcu odrębne kierunki takich studiów. Założyliśmy też Polskie Towarzystwo Kognitywistyczne. Żeby sprawiedliwości stało się zadość, to Poznań jako pierwszy otworzył kierunek kognitywistyka, ponieważ tam była silna psychologia, której my nie mieliśmy w Toruniu. Później okazało się, że nasza dyscyplina zrobiła się popularna, a kierunków kognitywistyki jest w Polsce już kilkanaście. Szybko też zaczęła się debata, w jakim kierunku rozwijać zajęcia dla studentów. Główny

ny pomysł dotyczył nauki przydatnej w programowaniu, interfejsach człowiek-komputer. Chcieliśmy też, aby młodzi ludzie wykonywali eksperymenty bliższe badaniom neurokognitywnym, i dlatego zaangażowałem się w tworzenie neurokognitywistyki w Toruniu, otwierając Laboratorium Neurokognitywne. Dlatego też z czasem moje zainteresowania sztuczną inteligencją poszły w kierunku próby zrozumienia ludzkiego mózgu i jak możemy rozwijać technologie, które np. wykorzystują sygnały z mózgu w celach diagnostycznych.

Czy w obliczu pana wiedzy, znajomości historii, ale przede wszystkim aktualnej sytuacji na świecie więcej ma pan obaw, czy nadziei w związku ze sztuczną inteligencją?

– Jestem pełen obu. Skoro już teraz mamy narzędzia, które pozwalają w łatwy sposób ludzi ogłupić, to czy w obliczu rozwiniętej AI demokracja nie stanie się iluzoryczna, a może w ogóle się rozsypie? Wystarczy spojrzeć na ostatnie wybory prezydenckie w Stanach Zjednoczonych, aby dostrzec, że polityka staje się konkursem na to, kto bardziej ogłupi lub oszuka więcej ludzi, którzy, niestety, bezkrytycznie się na to zgadzają. Z drugiej strony sztucznej inteligencji towarzyszy szansa przyspieszenia rozwoju w wielu obszarach, lepszego zrozumienia świata i tego, jak wykorzystywać technologie w dobrych celach.

Zarówno obawy, jak i nadzieje są realne, więc trzeba uważnie się przyglądać, co się dzieje i w jakich obszarach możemy liczyć na postęp, a w jakich sytuacja może ulec pogorszeniu. No i reagować.

Najbardziej chyba niepokojące jest, że ciągły rozwój cyfrowych sieci społecznościowych oraz powstanie rzeczywistości wirtualnej ciągną ludzi w świat wyobrażony i coraz bardziej odklejąją od tego fizycznego. Już dzisiaj choćby w Japonii są ludzie preferujący komunikowanie się z awatarami bądź z inną bezcielesną i zdigitalizowaną formą bytu. Transhumanistyczne człowieczeństwo przyszłości, wychodząc poza ramy „tradycyjnego” humanizmu, może bardzo szybko się zdegenerować społecznie, np. tracąc umiejętność budowania czy utrzymywania relacji międzyludzkich. ●

Jutronauci 2023

• Po raz pierwszy w historii świat młodych jest tak różny od świata dorosłych. Zetki i alfy nie znają świata bez internetu, smartfonów, nowych technologii. A te jak nigdy dotąd napędzają zmiany społeczne: rośnie polaryzacja społeczna, obniżają się kompetencje międzyludzkie, rośnie epidemia samotności, a rolę Boga przejmują coraz bardziej inteligentne algorytmy. Czy tę przepaść da się zasypać? W tej, siódmej już edycji programu Jutronauci, którego partnerem jest Sebastian Kulczyk, ponownie spoglądamy w przyszłość, szukając najważniejszych przemian cywilizacyjnych.

• Czy czeka nas świat bez dzieci? Czy natura i AI powinny mieć własne prawa? Czy wchodzimy w wiek antyambicji w pracy? Czytaj na **Wyborcza.pl/Jutronauci**

Dlaczego ludzie powielają głupoty?

Bo chcą informacji, które im pasują, a unikają niewygodnych

CO WCIĄGA MŁODZIEŻ

Czy to dobrze,
że nastolatki dużo
czytają, skoro czytają
„Rodzinę Monet”?

Edyta Zielińska-Dao Quy

Wśród młodych ludzi rośnie głód literatury. Według raportu Biblioteki Narodowej w 2022 roku 72 proc. przebadanych nastolatków i nastolatek było czytelnikami książek. To gwałtowny wzrost w porównaniu z rokiem 2021 (60 proc.). Statystyki odbijają się na liście bestsellerów – young adult szturmem podbija topki we wszystkich polskich księgarniach. Jednocześnie czytelnicze nawyki nastolatków konsekwentnie wywołują jeśli nie panikę, to przynajmniej nerwowość i protekcyjne załamывanie rąk. I, jak się okazuje, skala niepokoju towarzysząca zjawisku spadku czytelnictwa nie jest wcale większa od tej, która towarzyszy jego wzrostowi.

Należę do pokolenia potteromaniaków, więc bardzo wyraźnie pamiętam, z jaką zaciekłością co poniektóre bogobojne bibliotekarki oraz katecheci próbowali obrzucić nam czytanie serii J.K. Rowling. Płomienne protesty zdumiewały tym bardziej, że w tym samym czasie na lekcjach religii w polskich podstawówkach królowały seanse, niepozbawionej sadyzmu, „Pasji” Mela Gibsona, a w telewizji, w bloku młodzieżowym, występował diabeł Piszczalka, który strauumatyzował przynajmniej dwa pokolenia młodych widzów. Przez lata myślałam, że nie chodzi o nic więcej, jak dewocyjną religijność i powierzchowne traktowanie chrześcijaństwa. Do momentu, kiedy zrozumiałam, że ta niekonsekwencja była czymś więcej – dorośli realnie nie obawiali się tego, że przesiąknemy obrazami przemocy albo zarazimy się mitycznym wirusem satanizmu. Pod pretekstem wyjaławiania świata z zagrożeń chciało nam odebrać swobodę w decydowaniu o swoim wolnym czasie, a przede wszystkim – pozbawić siły, jaką jest wyobraźnia, na rzecz nachalnego dydaktyzmu.

GDY SŁYSZĘ „YOUNG ADULT”, ODBEZPIECZAM BRONĖ

To wzmożenie sprzed 20 lat przypomniało mi się, kiedy obserwowałam przetaczającą się przez polską przestrzeń okółoliteracką żywiołową dyskusję na temat literatury young adult. Wszystko zaczęło się od – publikowanego rokrocznie i z taką samą regularnością poddawane go lamentom – raportu Biblioteki Narodowej na temat sta-

nu czytelnictwa w Polsce w roku 2022. Olga Wróbel w OKO.press opublikowała mocną publicystykę, w której apelowała, by nie fetyszyzować czytelnictwa i nie użalać się nad tym, co czytają nastolatki, jednocześnie zawzięcie dowodząc, jak bardzo nie jest to literatura. Do tego tekstu w serwisie Gazeta.pl odnosił się także Grzegorz Wysocki, jeszcze raz podkreślając niepowtarzalną rolę literatury w rozwoju młodego człowieka i jej istotę w zamazywaniu różnic społecznych. Karolina Lewestam napisała zaś wielowłtkowy esej, w którym pokazała, że sprawa jest dużo bardziej skomplikowana, niż wydawałoby się niektórym komentatorom. W „Tygodniku Powszechnym” Monika Ochędowska zauważyła, że fenomen young adult i zaangażowanie czytelnicze młodych ludzi mogą być antidotum na kryzys czytelnictwa, natomiast Olga Drenda łączyła oba zjawiska z tęsknotą za baśnią. Wojciech Szot przeprowadził wywiad z autorką bestsellerowej „Rodziny Monet”, Weroniką Marczak, a ja napisałam tekst o tym, jak uwielbiam się przyglądać żywiołowym dyskusjom młodych ludzi o literaturze young adult. Oboje dostaliśmy po głowach od czytelników, którzy Szotowi zarzucali promowanie miernoty, pod moim tekstem zaś pojawił się m.in. komentarz: „Gdy słyszę »young adult«, odbezpieczam broń. To kiczowaty gatunek literatury, którego zadaniem jest odciągnięcie młodzieży od myślenia o »tych rzeczach«, wymyślony prawdopodobnie przez ortodoksyjnych pastorów protestanckich”.

To w mediach. Ale przecież w międzyczasie trwał konkurs kompetencji czytelnich i porównywanie skali aparatów krytycznoliterackich w social mediach. Jedną stroną rzucana była lękami przed głębokim antydydaktyzmem, kiczem i niewyrafinowaniem literackim współczesnych książek dla młodzieży. Druga zaś huraoptymistycznie podkreślała istotę wyrabiania nawyków czytelnich.

Kiedy przyglądałam się tym dyskusjom, czuję zadowolenie, że potrafimy się spierać o coś więcej niż politykę i religię. To pokazuje, że literatura rezonuje i zajmuje ważne miejsce w życiu społecznym, a kultura, mimo nieustannego kolonizowania jej przez elity, wciąż jest przyczółkiem egalitaryzmu. Zaraz potem przychodzi druga myśl: znowu to robimy. Znowu nie możemy się oprzeć pokusie reżyserowania świata młodzieży. I przypominam sobie słowa Ariego, głównego bohatera kultowej już książki young adult, a jednocześnie ciepłej opowieści o dorastaniu i poszukiwaniu własnej tożsamości „Arystoteles i Dante odkrywają sekrety wszechświata” autorstwa Benjamina Alire Sáen-

za: „Mój problem polegał na tym, że żyłem według pomysłu osób trzecich”.

MUSIEROWICZ I NIZIURSKI MUSZĄ ODEJŚĆ

Szkoła ministra Czarnka nie daje zbyt wielkiej szansy do rozkoszowania się czytelnictwem. Uczniowie i uczennice kończą zajęcia popołudniami. Jeśli doliczymy czas na dojazd i zaspokojenie podstawowych potrzeb fizjologicznych – do lekcji siadają już pod wieczór. Odrabianie pracy domowej i nauka do sprawdzianów mogą trwać nawet do późnej nocy. Do tego lektury. W liceum jest ich kilkadziesiąt, głównie polska literatura narodowowyzwoleńcza, wojenna i religijna. Nawet jeśli uczniowie czytają wyłącznie opracowania, to musicie Państwo przyznać, czasu wolnego i tak nie pozostaje im wiele.

A mimo to i jakby wbrew szerokiej dostępności innych form rozrywki nastolatki czytają. I to w ilościach, które powinny zawstydzają dorosłych.

Dlaczego? Świat zmienia się nieustannie, więc i wyzwania młodości ulegają przeobrażeniom. Literatura młodzieżowa wzięła to do siebie i zaczęła zauważać, że problemem młodych ludzi jest już nie tylko dojrzewanie. Dotąd uprawianie literatury młodzieżowej zasadzało się na uważnej obserwacji, odsłanianiu tego, co wciąż nieznanne, asystowaniu w poznawaniu świata i akuszerowaniu przy wchodzeniu w dorosłość. Ale dalsze powściągnięcie się od zaangażowania młodzieżówki w bieżące problemy i realne dylematy współczesnych nastolatków groziło tym, że literatura zostanie zupełnie w tyle albo, co gorsza, trafi do zakurzonego kąta na strychu.

Większość klasycznej młodzieżówki jest być może dojrzalsza literacko, bo pisana zwykle przez osoby dorosłe, posiadające już pokaźny warsztat, ale, pardon, czasami kompletnie bezradna wobec współczesności, niezdolna wyobrazić sobie, że ludzie mają więcej niż jeden kolor skóry czy jedną orientację, że mogą mieć problemy w nauce albo być nieneurotypowi. Felix Love z powieści Kacen Callender „Felix Ever After. Na zawsze Felix” dostaje transfobiczne anonimy i pada ofiarą szkolnego bullyingu, w „Dopóki rosną cytrynowe drzewa” Zoulyf Katouh mamy historię syryjskich nastolatków, którzy na przepelnionej łodzi uciekają z kraju ogarniętego wojną. Dystopijna seria „Kosiarze” zadaje najbardziej fundamentalne pytanie: kim jest człowiek wobec nieustannego rozwoju cywilizacji, a „Babel, czyli o konieczności przemocy” Rebekki F. Kuang opowiada o systemowym rasizmie i skali niesprawiedliwości społecznej. A to przecież zaledwie okruczeństwo, co ukazuje się na rynku. I chociaż są to powieści z kompletnie różnych rejestrów, czasem bardzo odległe od siebie literacko i warsztatowo, to łączy je jedno: uniwersalizują rozmaite doświadczenia i traumy młodych ludzi, nadając im rangę problemów egzystencjalnych. W kraju, gdzie nie istnieją instytucje wspierające dzieci i młodzież, gdzie rząd odmawia dofinansowania telefonu zaufania dla dzieci i młodzieży, gdzie rzecznik praw dziecka chce kontrolować szkoły przyjazne osobom ze środowiska LGBTQ+, a minister edukacji a to uprawia radosny fat shaming dziewczynek, a to lekkomyślnie zrzuca odpowiedzialność za samobójstwa wśród młodzieży na stowarzyszenia LGBTQ+, honor nastolatkom zwraca literatura.

Na problem ignorancji zwraca uwagę Ewa Maciejewska-Mroczek, członkini Interdyscyplinarnego Zespołu Badań nad Dzieciństwem działającego na Uniwersytecie Warszawskim: „W Polsce dużo się



FOT. SHUTTERSTOCK

do młodych osób mówi, ale bardzo mało się ich słucha. Oczywiście istnieją fasadowe instytucje, jak np. samorządy szkolne, które nie mają w zasadzie żadnych kompetencji, ale prawdziwego współuczestnictwa po prostu nie ma. Młode osoby potrzebują tego, by poważnie z nimi porozmawiać o tym, co ich dotyczy”.

I właśnie to zadanie wzięła na siebie literatura.

Kiedy dopytuję Joannę Nowakowską, redaktorkę naczelną wydawnictwa Media Rodzina, skąd jej zdaniem bierze się niesamowity fenomen tej literatury, odpowiada: „Dla tego pokolenia właśnie książki stała się znakiem czasów, elementem tożsamości. Książki zaczęły odpowiadać na potrzeby młodych ludzi. Od dobrych paru lat obserwujemy fenomen książek oznaczanych hasztagiem #ownvoices. Ten hasztag, kiedyś zarezerwowany dla książek, których autorzy pochodzą z różnych mniejszości, teraz stosowany jest szerzej – jako książki pisane przez młodych dla młodych. Skończyła się era »zawodowych« pisarzy trudniących się literaturą młodzieżową”. Być może nie skończyła się era zawodowców – trudno przymknąć oko na pisarzy takich jak Adam Silvera, który zanim rozpoczął błyskotliwą karierę literacką, przez kilka lat zbierał doświadczenie w branży wydawniczej – ale na pewno nadszedł zmierzch literatury młodzieżowej pisanej wyłącznie z imperatywu dydaktycznego.

To samo pytanie zadają również Weronice Kosteckiej z Zakładu Literatury Popularnej, Dziecięcej i Młodzieżowej Uniwersytetu Warszawskiego. „Literatura zaczęła odpowiadać na potrzeby współczesnych młodych czytelników i czytelniczek, pokolenia Z, stała się elementem ich tożsamości. Dzisiejsze nastolatki już nie zachwycają się konserwatywnymi powieściami Musierowicz czy Niziurskim opisującym kompletnie nieznaną im rzeczywistość. Chcą czytać o zjawiskach i problemach społeczno-kulturowych zakorzenionych w teraźniejszości czy też takich, o których wreszcie zaczyna się mówić bez tabu i stereotypów, ale za to z wrażliwością”.

„IGRZYSKA ŚMIERCI”, CZYLI DZIKI KAPITALIZM

Istotę reprezentacji w literaturze young adult potwierdza sukces „Igrzysk śmierci”. Na polskim rynku seria musiała długo czekać na swój prime time. Ale w Stanach Zjednoczonych wydane w 2008 roku „Igrzyska śmierci” z miejsca stały się bestsellerem. W ciągu pierwszych pięciu miesięcy po premierze nakład książki Suzanne Collins wzrósł z 50 tys. egzemplarzy do ponad 800 tys. Pierwszy tom serii okupował listę bestsellerów „New York Timesa” przez ponad 100 kolejnych tygodni. Do czasu premiery filmowej adaptacji w roku 2012 roku książka sprzedawała się w niemal 17,5 mln egzemplarzy. Mniej więcej w tym samym czasie Amazon ogłosił, że Collins stała się najlepiej sprzedającą autorką e-booków Kindle wszech czasów.

Na tak ogromne powodzenie serii na pewno wpływ miała recepcja – dobre opinie krytyków w najbardziej opiniotwórczych czasopismach w USA musiały przysłużyć się sprzedaży. Pisano, że „Igrzyska” mają doskonale tempo i znakomicie rozbudowane postaci. John Green w recenzji dla „New York Timesa” pisał, że „znacząca siła powieści polega na przekonująco szczegółowym budowaniu świata przez Collins oraz jej niezapomnianej, złożonej i fascynującej bohaterce”. Za Katniss, główną bohaterką, chciało się podążać, a trójkąt miłosny był wciągający i nieprzewidywalny.

Ale „Igrzyska śmierci” to coś więcej niż świetna seria young adult.

Blżej nieokreślona przyszłość. Po serii apokaliptycznych wydarzeń na gruzach Ameryki Północnej powstaje państwo Panem, będące karykaturą nie tylko Stanów Zjednoczonych, ale także wszystkich krajów wiedzionych brutalną, późnokapitalistyczną rzeczywistością. Panem podzielone

jest na 12 dystryktów, których mieszkańcy są nieustająco wyzyskiwani i zmuszani do życia w skrajnym ubóstwie. Wszystkie dystrykty podległe są Kapitolowi, będącemu gargantuiczną groteską. Bardzo bolesną. Podczas gdy w podległych mu dystryktach panoszy się głód, kapitoliańskie elity łapczywie pochłaniają mamucie ilości jedzenia, by na końcu każdej uczty rytualnie je zwymiotować. Do Kapitolu należy wszystko – surowce naturalne każdego z dystryktów, ich siła robocza, a przede wszystkim życie ich nastoletnich mieszkańców. Kilkadziesiąt lat przed rozpoczęciem akcji powieści jeden z dystryktów postanowił się zbuntować przeciwko Kapitolowi. Rebelia doprowadziła do zniszczenia 13. Dystryktu, a na pamiątkę tych wydarzeń jeden chłopiec i jedna dziewczyna w wieku od 12 do 18 lat z pozostałych dystryktów biorą udział w okrutnej loterii, zamienionej w reality show dla mieszkańców Kapitolu. Wylosowane duety muszą walczyć na śmierć i życie na otwartej arenie, dopóki nie pozostanie tylko jeden. Zwycięzca może liczyć na luksusową posiadłość w Wiosce Zwycięzców oraz dożywotnie wynagrodzenie od państwa.

„Igrzyska śmierci” były zapisem amerykańskiej świadomości roku 2008. Narastającym z roku na rok przekonaniem mieszkańców USA, że za chwilę sami padną ofiarą igrzysk zorganizowanych im przez dziki kapitalizm. Kryzys finansowy 2007-09 zmienił oblicze Stanów Zjednoczo-

rozwijający się segment rynku książki, wykorzystujący nowoczesne kanały komunikacji z czytelnikami i czytelniczkami, jak Instagram czy TikTok; to sposoby, w jakie komunikują się ze sobą w internecie sami odbiorcy young adult – Bookstagram, BookTok i inne. Young adult to, mająca swoje źródło w literaturze, kultura uczestnictwa”.

Young adult, niezależnie od naszego stosunku do tego gatunku, otwiera nowy rozdział w historii literatury. Młodzieżówka nie tłumaczy już świata, nie socjalizuje, nie rzuca nachalnym dydaktyzmem czy encyklopedyzmem prosto w twarz. Young adult to literatura, która jest odpowiedzią na nasze cywilizacyjne wyrzuty sumienia i lata zaniedbań wobec rozmaitych rodzajów wykluczeń.

WATTPAD, TĘSKNOTA ZA OPOWIEŚCIĄ

„Kryzys tradycyjnie rozumianej książki wyraza z przeświadczenia o wyczerpaniu się jej formuły, z naporu współczesności, w szczególny sposób kultury medialnej. Skoro bowiem zaskakuje zmiennością form i niepedagogicznym nastawieniem przekaz medialny, podobnie powinien zaskakiwać przekaz książkowy, by utrzymać możliwość nawiązania kontaktu z odbiorcą – bez tego kontaktu książka po prostu uwiednie i stanie się może zasłużonym, ale jednak reliktem prze-

Pan Samochodzik – dzisiaj postrzegany jako skrajny mizogin – był Jamesem Bondem mojego dzieciństwa

nych. Badania pokazywały, że wielka recesja z 2007 roku nie pozostała bez wpływu na stan psychiczny nastolatków. Nastolatkomie każdego dnia obserwowali rodziców szczeniących każdy dolar i żyjących w nieustannym lęku przed utratą pracy, a w konsekwencji zdali sobie sprawę z istnienia gospodarki i jej wpływu na ich życie. Siłą „Igrzysk śmierci” było inteligentne przeprowadzenie społecznych niepokojów. Dla sukcesu serii nie bez znaczenia był kontekst konfrontacji z realną wizią degradacji społecznej i biedy. W historiach nastolatków z państwa Panem młodzież odnalazła swoje odbicie.

Ewa Maciejewska-Mroczek zauważa, że „wśród dorosłych jest wielki lęk przed niezależnością młodych ludzi i tworzeniem przez nich samych hierarchii”. Nie dowierzam, że dożyliśmy wesołych czasów, kiedy muszę to napisać, ale młodzież, przekształcając kanon na własne potrzeby, wcale nie odbiera nam prawa do wspomnień związanych z prozą, którą my się rozkoszowaliśmy. Pan Samochodzik – dzisiaj postrzegany jako skrajny mizogin – był Jamesem Bondem mojego dzieciństwa. Małgorzata Musierowicz – dzisiaj mająca już niewiele do powiedzenia młodym ludziom – wciąż może rościć sobie prawo do czytelniczych wspomnień dziewcząt (i nie tylko!) z trzech pokoleń. Przede wszystkim, słusznie skądinąd, zarzuty wobec J.K. Rowling o transfobię nie odbiorą mi ogromnej wdzięczności za wszystko, co przeżyłam, kiedy będąc dzieckiem, a później nastolatką, zarywałam noce, czytając jej sagę. Young adult nie chce zaanektować naszego sentymentu, a jedynie dać innym prawo do stworzenia własnej nostalgii.

Literatura się przeobraża. Samo young adult to, jak mówi mi Weronika Kostecka, już dużo więcej niż sama literatura. „To społeczności młodych ludzi; to dynamicznie

szłości, a biblioteka zostanie zdegradowana do roli zakurzonego muzeum zbędnych rupiec” – pisał profesor Grzegorz Leszczyński w książce „Wielkie małe książki. Lektury dla dzieci i nie tylko”.

Wydawałoby się, że antidotum na opisywany przez profesora Leszczyńskiego kryzys może być Wattpad. Prototyp Wattpada powstał w 2002 roku i początkowo platforma miała być aplikacją do czytania e-booków. W 2006 roku twórcy postanowili zmienić koncepcję jej rozwoju, opierając ideę strony na cechach charakterystycznych m.in. dla platformy YouTube – twórcą miał się stać każdy użytkownik. „Użytkownicy tej platformy twierdzą, że Wattpad zmienił ich życie – opowiada mi Joanna Nowakowska. – Autorzy wyznają, że Wattpad dał im grupę wsparcia, pewność siebie i bezprecedensową możliwość doskonalenia pisarstwa dzięki feedbackowi od czytelników. Czytelnicy z kolei mówią, że dzięki Wattpadowi zyskali przyjaciół na całe życie – tych fikcyjnych i tych prawdziwych. Wattpad jest tak naprawdę społecznością ludzi piszących i czytających, a pamiętajmy, że pisanie jest dla wielu nastolatków wewnętrzną potrzebą, upustem dla emocji i impulsów twórczych, procesem budowania własnej tożsamości. Podobnie jest z czytaniem: relacja z bohaterem, który odzwierciedla nasze problemy i marzenia, jest bezcenna. Daje nam poczucie, że nie jesteśmy sami. Opowiadania pisane na Wattpadzie, choć często krytykowane za poziom językowy, brak wartości czy wręcz promowanie wartości szkodliwych, mają jedną unikalną cechę: są autentyczne”.

Wattpad stał się mocnym i wyrazistym głosem nastolatków z całego świata. Ale zarzutów wobec niego rzeczywiście jest sporo. Bodaj największym problemem jest brak moderacji. Co prawda jest informacja, że Wattpad usunie historie zawierające opi-

sy ostrego seksu, samookaleczeń albo przemocy, które nie są oznaczone jako przeznaczone dla dorosłych, ale nawet pobieżne przejrzanie publikowanych tam erotyków ujawnia indolencję tego zapisu. Te dwa czynniki – niezwykła siła przekazu publikowanych historii i angażująca formuła platformy oraz nierzadko kontrowersyjne i niezdarne warsztatowo treści – stworzyły osobliwą mieszankę, która stała się ogromną pokusą dla wydawców young adult.

Joanna Nowakowska przekonuje mnie, że siłą Wattpada jest to, że zamieszczane tam opowieści mają wszystko, czego potrzebują współcześni nastolatkowie – brak im dydaktyzmu, literackości, opisów i środków stylistycznych. „Nic dziwnego, że te książki są teraz wydawane w formie papierowej. Każda czytelniczka chce się spotkać z autorką w realu. Chce ją uściśnąć, podziękować, zrobić selfie, dostać autograf”. Wattpad jest zatem ucieleśnieniem jednej z najważniejszych funkcji literatury: tęsknoty za opowieścią, o której pisał choćby Umberto Eco. Nawiasem mówiąc, ten sam Umberto Eco z entuzjazmem i zaciekaowaniem przyglądał się „programom, dzięki którym można zbiorowo pisać rozmaite historie, uczestnicząc w opowieściach, których przebieg daje się modyfikować w nieskończoność”. Opisywał platformy podobne do Wattpada, zwracając uwagę, że są one świetnym pretekstem do twórczej zabawy tekstem, która „pozwala przekształcać opowieść i przyczynia się do tworzenia nowych historii, może stać się pasjonującą przygodą, świetnym szkolnym ćwiczeniem, nową odmianą pisania, pokrewną jam session”. Słowem Wattpad jest wyjątkowym narzędziem do rozwijania kreatywności i doskonalenia warsztatu.

Problem polega na tym, że każde niewłaściwie użyte narzędzie może stanowić zagrożenie.

Kiedy pytam Joannę Nowakowską, skąd ten pośpiech w przygotowywaniu wydań literatury young adult, odpowiada mi: „Pośpiech pewnie bierze się z konieczności wykorzystania momentu. Trend, który panuje teraz, niebawem minie, więc nie wolno zasypiać gruszek w popiele”.

Prawa rynku są brutalne. Bezrefleksyjną pogoń za trendem częściowo można zrozumieć w tym sensie, że boom na literaturę young adult uratował wiele podmiotów z branży wydawniczej przed zapaścią w czasach pandemii i, jak tłumaczy Joanna Nowakowska, wciąż napędza klientów księgarniom, odwiedzających bibliotekom, użytkowników programom abonamentowym i publiczność targom książki. Literatura młodzieżowa już przełamała ponurą tendencję spadkową w statystykach czytelnicstwa wśród Polaków i być może ma szansę uratować cały rynek książki. Kłopot polega na tym, że zuchwale flirtując z Wattpadem, wydawcy nieopatrznie zawieruszyli dość istotny aspekt swojej pracy: dobro swoich czytelników.

Weronika Kostecka dzieli się ze mną swoimi obawami: „Z perspektywy krytycznoliterackiej i społecznej, zwłaszcza feministycznej, miewam obawy i zastrzeżenia. Jakość literacka powieści young adult jest bardzo różna. Przede wszystkim zaś zdarzają się motywy niezwykle toksycznych relacji między młodymi mężczyznami i kobietami, bohaterów przemocyowych względem bohaterek, bo takich »mrocznych« i »ekscytujących« wątków domagają się nieraz same czytelniczki – występujące głównie w twórczości z Wattpada (przy czym nie zapominajmy, że na tej platformie znajdują się zróżnicowane jakościowo teksty). To mnie bardzo niepokoi”.

NARKOTYKI OTWIERAJĄCE BRAMĘ DO CZYTANIA

Jednym z tytułów, który z Wattpada szturmem wdarł się na polskie listy bestsellerów, jest „Rodzina Monet” Weroniki Marczak – opowieść o 14-letniej Angielce, która staje się sierotą i zostaje zaadoptowana przez swoich, z nagłą od-

krytych, przyrodnicich braci mieszkających w Stanach Zjednoczonych. Bracia są bogaci, przystojni, impertynency i grubiańscy, toksyczni, no i najważniejsze, nie zapominajmy, obrzydliwie bogaci! Aneta Korycińska, twórczyni profilu „Baba od polskiego”, napisała w swojej recenzji na Instagramie, że „Rodzina Monet” romantyzuje przemoc, a ponadto pokazuje toksyczne relacje, promuje wizję maczystowskiej męskości, okazuje brak zrozumienia dla problemów psychicznych czy zaburzeń odżywiania. Aneta mówi mi: „Dobrze, że młodzi ludzie czytają, a książka staje się czymś zakazanym i nie służy już wyłącznie do zakuwania i zaliczenia sprawdzianu, lecz także do tego, by być rozrywką. Problemem jest to, że po książki takie jak »Rodzina Monet« sięgają dziewięciolatki. Podczas gdy w jednej ze scen brat głównej bohaterki mówi, że kobiety to suki na jeden raz. A w takim wieku czyta się niestety bezkrytycznie”. I dodaje: „Tej krytyki by nie było, gdyby wydawnictwo zrobiło cokolwiek, by uchronić dzieci przed nachalnym marketingiem. Ta książka nie została poddana redakcji i korekcie, zabrakło też informacji na okładce, dla jakiego wieku przeznaczona jest ta lektura”. Bo rzeczywiście, „Rodzina Monet” jest pełna redaktorskich niedoróbek, pretekstowych wątków, które są pozostawione fabule na pastwę losu, a w samym tekście aż roi się od błędów stylistycznych czy po prostu niechlujstwa.

Czy to zatem dobrze, że nastolatki czytają, skoro czytają „Rodzinę Monet”?

Neil Gaiman, uważany za jednego z najwybitniejszych żyjących pisarzy fantasy i science fiction, podczas wykładu dla Reading Agency, wygłoszonego w 2013 roku w Barbican w Londynie, powiedział, że nawet potępiane przez krytyków książki dla dzieci są „narkotykami otwierającymi bramę do czytania”. Podobnego zdania jest chociażby Justyna Suhecka, która jest jedną z ekspertek w eseju Karoliny Lewestam opublikowanym w „Piśmie”. „Ważne, że czytają. [...] Lepiej wykształcisz ten nawyk, czytając »Rodzinę Monet«, niż nie czytając nic. Lepiej, żebyś siedział na Bookstagramie, niż grał w kiepskie gry. I mnie osobiście podnosi na duchu to, że można sobie dzisiaj zbudować tożsamość w sieci na książkach właśnie”.

Pogląd Neila Gaimana czy Justyny Suheckiej, że „każda chciwie pochłonie ta książka może być bramą do trwałej miłości do czytelnictwa”, jest z pewnością prawdziwy. Studiowałam polonistykę, na którą każdy z nas przyszedł z miłości do literatury, przybierającej rozmaite formy, ale prawie nigdy niezaczynającej się od Prousta czy Gombrowicza. Ale jest to dowód anegdotyczny, a sama metafora bramy skłania mnie do ostrożności – można przez nią przejść w dwóch kierunkach. Znam ludzi, którzy po lekturze „Harry’ego Pottera” nie tylko nigdy nie wyszli z kręgu fantastyki, ale wciąż czytają serię J.K. Rowling. Zresztą – zdumiewające jak na polski rynek – nakłady i ogromny popyt na literaturę dla młodych dorosłych sugerują, że nie tylko nastolatkomie rozbijają skarbonki w Empiku. Kiedy pytam Joannę Nowakowską o to, czy przygotowując swoje tytuły, myśli wyłącznie o młodych dorosłych, mówi mi: „Przestaliśmy myśleć o książkach young adult jako o książkach dla pewnej grupy wiekowej. Mówimy raczej o pewnej grupie czytelniczej, niezależnej od wieku. Czytanie young adult jest pewną formą eskapizmu, a uciec od rzeczywistości chcą przecież nie tylko nastolatki. Pamiętamy o tym, wybierając tytuły i szacując nakłady”.

Paradoksalnie pogląd, że każda, nawet szkodliwa, czytana przez dzieci i nastolatków książka przyczynia się do wyrabiania nawyków czytelniczych w dojrzłym wieku, wyrasta z tego samego przekonania, co lamente zaniepokojonych brakiem dydaktyzmu i uniwersalnych kano-nów warsztatowych w prozie młodzieżowej. „To właśnie wynika z naszego po-dejścia do młodych osób – podkreśla Ewa Maciejewska-Mroczek. – Czytanie książ-

zek uchodzi za coś edukacyjnego. Rodzice dziewczynek, które czytają »Rodzinę Monet«, wychodzą z założenia, że ich dzieci wyrosną na czytelniczki. Wbrew pozorom to jest właśnie niezwrócenie uwagi na tu i teraz i na to, kim jest osoba, która czyta, w konkretnym momencie swojego życia. Tymczasem jeśli towarzyszy się dziecku w dorastaniu, to pewien rodzaj uważności nie jest niczym złym”. Teraźniejszość jest oceniana na podstawie przyszłości, a czytanie dla nastolatków jest ważne bądź niebezpieczne ze względu na to, kim staną się w przyszłości. W tym założeniu ujawnia się podstawowy problem myślenia dorosłych o dorastaniu: nastolatko-wie to tylko potencjalni ludzie. To zresztą efekt XIX-wiecznego spojrzenia na dorastanie, zgodnie z którym to dziecko było „osobą stającą się”, która wymaga szczególnej opieki ze względu na to, że wkrótce również przeobrazi się w dorosłego. Dlatego nie jest samodzielnym podmiotem, ale nośnikiem kapitału dla przyszłych pokoleń. Inwestowano wysiłki rodziców, pedagogów i moralistów, by pokierować rozwojem dziecka w sposób, który odpowiadał ówczesnym wyobrażeniom o dojrzłości. Tymczasem young adult to literatura nie dla potencjalnych ludzi, ale ludzi po prostu.

Jeśli czytanie „Rodziny Monet” może przynieść coś dobrego tu i teraz, to wyrobić w młodych ludziach krytyczne myślenie, umiejętność przydatną zawsze, nie tylko w dorosłości. Są przecież powieści, które warto czytać właśnie z tego powodu, że wywołują kontestacyjny grymas. Pocucie dyskomfortu w zderzeniu z tym, co wzbudza w nas sprzeciw, daje szansę na to, by wyrwać się z cukierkowego świata aprobaty i nauczyć się języka krytyki. Do tego potrzeba jednak zaufania wobec nastolatków i, niestety, cierpliwości do wyposa-żania ich w narzędzia, które są do tego potrzebne.

Jest jeszcze coś: nie powinniśmy się spodziewać, że młodzież czytająca dzisiaj sagę Marczak w przyszłości sięgnie po klasykę literatury. Nie chciałabym od-mawiać zasług Panu Samochodzikowi, ale obawiam się, że – mimo doniosłej roli w losach historii sztuki – nie miał on wielkiego wpływu na to, że na studiach pokochałam polski romantyzm i dwudziestolecie międzywojenne. Saga Marczak może zrobić coś znacznie ważniejszego: skłonić młodzież do dalszych poszukiwań lekturowych, które zapewnią im wzruszenia, dobry i ważny czas tu i teraz; czas, który młodzi ludzie będą wspominać z podobnym wzruszeniem, ogarniającym nas, przypominających sobie ulubione lektury młodości. Kiedy rozmawiamy o zagrożeniach young adult, Weronika Kostecka podsumowuje: „Wierzę w otwartość pokolenia Z, często zresztą jej doświadczam. Pasja czytelnicza przekłada się na poszukiwanie coraz to nowych publikacji. Nie brakuje przecież mądrych, wrażliwych społecznie i świetnie napisanych powieści young adult, jak te Adama Silvery czy Weroniki Łodygi”.

● ● ●
Literatura jest ćwiczeniem wyobraźni pozwalającym wykraczać poza horyzont własnego doświadczenia. Jest też rozrywką, najbardziej prymitywną i najbardziej wysublimowaną jednocześnie, ale jedną z wielu. Nie jest biletem wstępu do lepszego świata ani przepustką do świata elit. Czasem mam wrażenie, że nasze wyobrażenie o literaturze – proszę wybaczyć, ale mocno klasistowskie – jest podyktowane przez gmach szkoły czy uniwersytetu. Literatura jest czymś więcej niż zapisem przeszłości czy dyskusją krytyków. Jest najczystsza, niezmaconą radością, trwaniem w żywiole wyobraźni. Najlepsze, co możemy zrobić dla young adult, to jej z tego nie odzierać i nie pozbawiać młodych ludzi prawa do ich własnego – czasem nawet mocno wstydliwego – sentymentu. ●

Plakatoza

„W naszym Zgierzu moda taka: głosujemy na Bosaka”. Rytm i rym – bez zarzutu. Przekaz – nieco ryzykowny. Czekamy na nowe plakaty.

Michał Rusinek

Kampania wyborcza się rozkręca i już mniej więcej wiemy, jakie będą jej główne tematy i temperatura.

O ile tę temperaturę można wyczuć w komunikatach medialnych, o tyle plakaty wyborcze wydają się na razie dość stonowane, by nie rzec – nijakie.

●
Owszem, pojawiają się pojedyncze jaskółki, być może zwiastujące murmurację inwencji językowo-graficznej kandydatów i kandydatek do parlamentu. Hanna Boczek z Konfederacji zachęca: „Powieś Boczek u siebie na płocie”, odwołując się do staropolskiego zwyczaju dokarmiania ptactwa. Ornitolodzy zwracają jednak uwagę, że można wprawdzie zawieszać na płotach słoninę, na przykład dla sikorek, ale powinna być surowa i niesolona. Boczek jest dla ptaków ciężkostrawny. Nie tylko zresztą dla ptaków. Emilia Bartkowska-Mlynek z Lewicy obiecuje natomiast: „Zmieł wasze problemy”, lekomyślnie przywołując językoznawczy spór o to, czy problemy należy mieć, czy jednak mlecć oraz czy kandydatka czyjeś problemy już zmiełiła, czy raczej zmieła. Powtarzam: przywołuje lekomyślnie; sporów i podziałów społecznych mamy już pod dostatkiem.

●
Czekając na kolejne hasła wyborcze, zajrzyjmy do czeluści internetu i przypomnijmy sobie, jak bywało podczas poprzednich kampanii, parlamentarnych i samorządowych. Odnoszenie się do swojego nazwiska było szczególnie modne. Kamil Bierka (wówczas Koalicja Obywatelska, Słupsk) zarządził się: „Nie będę grał w bierki, będę działał”. Lepiej by jednak było dla niego, gdyby pozostał przy bierkach, bo jedno z jego działań spowodowało, że został skazany przez sąd. Małgorzata Rozum (PiS), kandydująca do rady dzielnicy Praga-Południe, postawiła na hasło: „Rozum w Radzie”. Zdaje się, że okazało się ono jednak nieskuteczne. Dlaczego? Wstrzymajmy się od interpretacji. Niektórzy kandydaci składali obietnice wyborcze, natomiast Renata Gruszka (KO, Bielsko-Biała) śmiało złożyła obietnicę nieskładania obietnic, których zrealizować się nie da: „Nie obiecuję gruszek na wierzbie”. Agnieszka Barbara Muzyk (PiS, Łomża) przekonywała, że należy na nią zagłosować: „Żeby wszystko wreszcie grało”. Łukasz Kurek (Konfederacja) zachęcał natomiast: „Odkręć kurek z tanim paliwem”. Była to zachęta o tyle podejrzana, że z kurków można nalewać co najwyżej paliwo szmuglowane. To legalne nalewa się z dystrybutorów. Alina Jeleń (Kociewie), jakby przestraszona konotacjami swojego nazwiska, zapewniała, że: „Nigdy nie zrobi z Ciebie jelenia”.

Bogusław Dębski (PiS) postanowił się odwołać zapewne do szkolnego przezwiska i zrobić z niego dumny użytek: „Solidny jak dąb”. W podobnym stylu Artur Głowacki (Konfederacja) obiecywał: „Będę Twoją Drugą Głową”. No bo przecież co dwie głowy, to nie jedna. Również Marcin Duszek (PiS) posłużył się swoją ksywką i kandydując do Sejmu Województwa Lubelskiego, zapewniał nas, że bez względu na to, jak zagłosujemy, „Duch wchodzi z każdej pozycji”, uruchamiając dość niepożądane skojarzenia, nie tylko biblijne. Do sejmiku się nie dostał, co dziwić nie powinno, bo wiemy przecież z Biblii Wujka, że duch tchnie, kędy chce. Widocznie wtedy nie chciał. Nie chciał też w czasie kampanii do europarlamentu, kiedy to Marcin Duszek postawił na hasło anglojęzyczne, być może niezrozumiałe dla wyborców: „The Spirit of Europe”. Plakat wyglądał zresztą jak nieudana reklama gry komputerowej. Ostatecznie Duch tchnął Marcina Duszka do Sejmu. Szczególną bra-

wurą w wykorzystywaniu nazwiska popisali się natomiast Zdzisław Pytką (PiS): „Kto Pyt(ka), nie błdzi”, oraz Michał Bąk (z Sanoka): „Nie bój się puścić Bąka do powiatu”. Powstrzymajmy się od komentarzy.

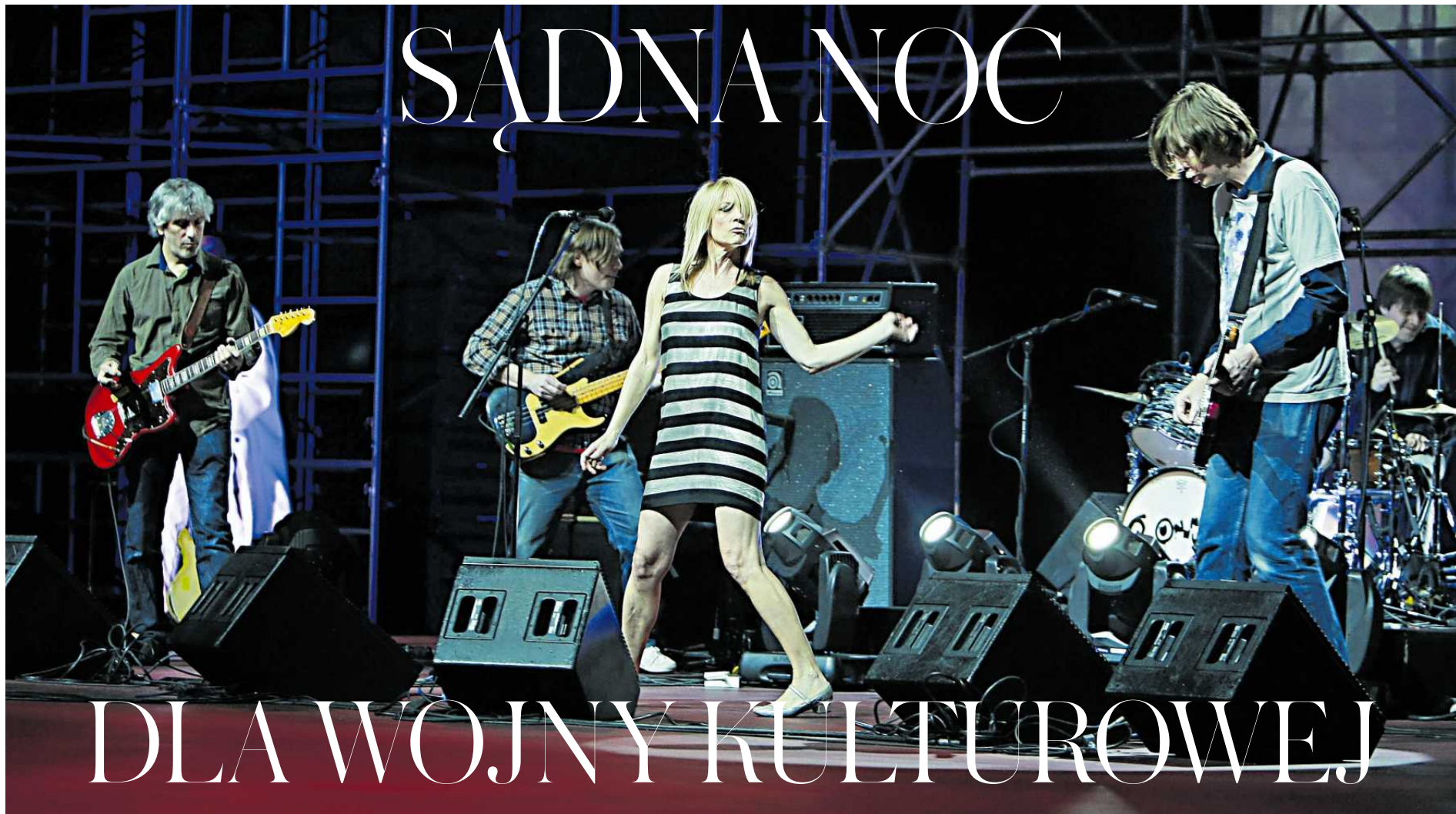
●
Ponieważ Polacy są narodem szczególnie ceniącym poetów, politycy decydowali się czasami na hasła rymowane, jak na przykład: „Dariusz Piotrowski pozbawi was troski!”. Rytm taki sobie, no i pojawia się pytanie, jakiej troski nas kandydat pozbawi, bo chyba nie zakłada, że mamy jedną. Pewną wskazówką może być informacja zamieszczona na plakacie, że należy on do Partii Abstynentów. Dariusz Chrost (Kukiz’15) twierdził wesoło, że: „Sprawa jest prosta. Postaw na Chrosta”. Stanisław Adam Roman (PiS) prosił lirycznie: „Zagłosuj na Romana, bo to dobra zmiana”. Natomiast Krzysztof Bosak nie tylko rymował, ale i wykorzystywał wieloznaczność nazwiska: „W naszym Zgierzu moda taka: głosujemy na Bosaka”. Rytm i rym – bez zarzutu. Przekaz – nieco ryzykowny. Od kilkudziesięciu lat na wybory chodzi się bowiem w naszym kraju w butach.

●
Kandydaci mają numerowane miejsca, numery mają też listy, nie ma się co dziwić, że w hasłach pojawia się numerologia: „szczęśliwa siódemka”, „strzał w dziesiątkę” itp. Pojawiają się także odniesienia do filmów o Jamesie Bondzie: w oczywistych przypadkach, kiedy kandydat znajduje się na 007 pozycji, lub w nieoczywistych, jak w przypadku Wojciecha Helmina: „003. Twój agent w sejmiku”. Nie mamy pewności, czy w sejmikach powinni zasiadać akurat agenci. Agent 003 pojawia się w filmie „A View to a Kill”, a właściwie pojawia się jego zamarżnięte ciało, gdyż został zamordowany przez radzieckich agentów. Pojawiały się także hasła podszyte ścią filmowym dramatyzmem, jak deklaracja Józefa Rzepki (kandydata na burmistrza Brzozowa): „Mówią, że się wypaliłem... Nie wiercie w to”. Bywało makabrycznie, gdy Marcin Jakowicz (PiS, Giżycko), trzymając w ręce zakrwawione jeszcze serce, zapewniał: „Dla ludzi... Z sercem na dłoni”. Nieco niepokoi, że nie jest on kardiochirurgiem, lecz ratownikiem medycznym, ale miłośników horrorów przekonał do siebie z pewnością. Niepokój wzbudzać też mogło hasło Mikolaja Obiedzińskiego (Konfederacja): „Broni Jądrowa dla Polskiej Armii” (pomysł i pisownia oryginalne). Hasło Karola Malinowskiego (PiS, Bytów): „Dam Ci życie”, także brzmiało jak zdanie z jakiegoś filmu, tym razem gangsterskiego. Na widok niewinnego z pozoru hasła Piotra Piławskiego (PiS): „Organista zaufanym radnym”, zaczynamy się zastanawiać, czy nie czytaliśmy aby kiedyś kryminału Agathy Christie, w którym to właśnie organista okazał się wyjątkowo zwyrodniałym mordercą. Ryzykowne hasło Moniki Pietrzyk (PiS) brzmiało: „Bystra dziewczyna, dla odmiany”, i zmuszało do zadawania mnóstwa pytań: czy to ma być odmiana od tępych parlamentarzystów tej partii? Czy może parlamentarzystki nie były do tej pory bystre? Kynolodzy i miłośnicy BDSM z pewnością docenili natomiast hasło Patryka Marjana (Konfederacja, na plakacie występuje z psem): „Od-daj głos. Chcę być Twoim wiernym posłem”. Warto wreszcie zwrócić uwagę na plakat wyborczy przypominający afisz filmowy. Przedstawiał on przerażającą twarz pół człowieka, pół robota, hasło brzmiało: „Świętokrzyski Terminator”, zaś nazwisko kandydata: Piotr Wawrzyk. Tak, ten sam Piotr Wawrzyk, który właśnie przestał być wiceszefem MSZ w związku z aferą wizową. Śledztwo jest w toku, wygląda więc na to, że – podobnie jak hollywoodzki oryginał – „Świętokrzyski Terminator” będzie produkcją wieloczęściową i międzynarodową.

●
Tymczasem czekamy na plakaty tej kampanii. Życzymy kandydatom i kandydatkom pomysłowości. I delikatnie przestrzegamy przed jej konsekwencjami. ●

• Sonic Youth FOT. GETTY IMAGES

Kalendarz muzyczny



Metalowcy, hardcore'owcy i raperzy razem? Oto pokojowa ścieżka dźwiękowa, która ma już 30 lat

Jarek Szubrycht

To był rok, w którym Whitney Houston codziennie zapewniała przez radio, że zawsze będzie mnie kochać, a 4 Non Blondes próbowały ustalić „What's Up?”. W Polsce rozpędziała się właśnie heyomania, a Kazik domagał się od Lecha Wałęsy zwrotu stu milionów. Nie bez racji za płytowy kanon tamtego czasu uważa się m.in. „Songs of Faith and Devotion” Depeche Mode, „Zooropę” U2, „Are You Gonna Go My Way” Lenny'ego Kravitz'a oraz debiutu Radiohead, Tool, Björk i Wu-Tang Clanu. Dobry to był rok dla muzyki popularnej, nie da się ukryć. Warto natomiast pamiętać o jeszcze jednej płycie, składance wymyślonej jako ścieżka dźwiękowa do filmu sensacyjnego. „Judgment Night” była nie tylko świetna, ale też przełomowa, z innych względów za oceanem, z innych nad Wisłą.

OGON MACHA PSEM

„Sądna noc” w reżyserii Stephena Hopkinsa, z Emilio Estevezem i Cubą Goodingiem Jr. w rolach głównych, nie jest filmem wybitnym. To opowieść o dobrze sytuowanych, miłych panach z przedmieścia, którzy wybierają się na mecz bokserki do centrum Chicago, lecz gubią drogę i lądują w podłej dzielnicy, podpadając lokalnym gangsterom. Rzecz nie byłaby warta zapamiętania, gdyby nie wybitna ścieżka dźwiękowa. W tym przypadku ogon macha psem i nawet reżyser filmu zna swoje miejsce.

– Zdaje się, że sprzedano ogromne ilości tej płyty. Moja córka, która ma 35 lat, uważa, że to najlepszy album wszech czasów. Chyba cieszy się, że nakręciłem ten film wyłącznie z tego powodu – mówił Hopkins magazynowi „Consequence” pięć lat temu. I przy-

znawał, że nie do końca rozumiał ten pomysł. – Początkowo nawet nie wiedziałem, jak wykorzystać te utwory, ale kiedy się w nie wsłuchałem, robiły na mnie wrażenie czegoś bardzo świeżego. Chyba wcześniej nie było takiej płyty. Co ciekawe, uważam, że album dość dobrze oddaje przesłanie filmu. Jeśli więc ktoś oglądał film z powodu tej ścieżki dźwiękowej, to wspomniał.

Na pomysł soundtracku wpadł Happy Walters, wówczas 22-letni menedżer zespołów Cypress Hill i House Of Pain, założyciel wytwórni Immortal Records, która chwilę później miała dać światu zespół Korn. Pierwsze próby łączenia rocka z rapem już znaliśmy, w dodatku były całkiem udane. Wielkie w tym zasługi Ricka Rubina, muzycznego producenta i wizjonera, pod którego okiem (czy raczej uchem) już w 1986 roku Aerosmith nagrali z Run-D.M.C. „Walk This Way”. Rubin asystował też w przepowiadaniu się Beastie Boys z zespołu punkowego w rapowy i przez chwilę w twórczości nowojorczyków spotykały się oba żywioły. Tą drogą poszedł też w 1991 roku thrashowy Anthrax, który wspólnie z Public Enemy stworzył kipiący energią numer „Bring the Noise”. Na wymyślonym przez Perry'ego Farrella, wokalistę grupy Jane's Addiction, objazdowym festiwalu Lollapalooza od 1991 roku metal przeplatał się z rapem i publiczność nie narzekała. Walters nie wymyślił więc koła, tylko wprawił je w ruch.

– Myślę, że kiedy zobaczyłem Cypress Hill grających przed Pearl Jam, pojawiła się myśl, że naprawdę mogą spróbować zrobić coś takiego. B-Real i Sen [muzycy Cypress Hill] bardzo się na to napalili, bo Sen Dog i tak był fanem rocka – wspominał Happy Walters w wywiadzie dla „Rolling Stone'a”. Zaczął rozmawiać z menedżerami zespołów, które wymarzył sobie do tego projektu, i większość od razu zareagowała pozytywnie. Kto przepuścił okazję? Ministry, Tool, Ice Cube, Public Enemy... Metallica zażądała jakiejś absurdalnej sumy, Kurt Cobain nie był zainteresowany. Trochę szkoda, ale może i dobrze, zbyt gwiazdorski skład mógłby pozbawić ten soundtrack wiarygodności.

Pierwsze na pokładzie zameldowały się grupy Sonic Youth, Helmet i Faith No More. Ci pierwsi, mistrzowie gitarowej alternatywy, byli u szczytu swoich twórczych możliwości. Helmet był właśnie po płycie „Mean-

time”, która na chwilę katapultowała zespół do mainstreamu, a Faith No More po platynowej „The Real Thing” i złotej „Angel Dust” robili za gwiazdy rocka. Obecność takich tużów w projekcie oznaczała, że sprawa jest więcej niż poważna, więc szybko znaleźli się inni chętni. Po stronie rockowej dołączył Slayer, a więc metalowa waga superciężka, ale też Pearl Jam, czyli przedstawiciel wielkiej czwórki grunge'owej rewolucji. Poza tym Living Colour, Biohazard, Mudhoney, Dinosaur Jr., Therapy? i Teenage Fanclub. Reprezentacja raperów była równie mocna: House Of Pain, Cypress Hill, De La Soul, Run-D.M.C., Onyx, Ice-T, Boo-Yaa T.R.I.B.E., Sir Mix-A-Lot, Del The Funky Homosapien i Fatal. Nie wszyscy bardzo sławni, wszyscy dobrzy.

Artyści podobierali się w pary (tylko Cypress Hill skorzystał z prawa gospodarzy i nagrał dwie piosenki, z Sonic Youth i Pearl Jam) i puścili wodze wyobraźni. Powstała płyta zróżnicowana – bo trudno sobie wyobrazić większe skrajności niż jazgot Slayera i słodko bujające „Fallin’” Teenage Fanclub i De La Soul – ale mimo to przedziwnie spójna. Artystycznie nadzwyczaj udana, co w przypadku składanek zdarza się rzadko. Udało się zrobić coś o zasięgu i znaczeniu o wiele bardziej doniosłym, niż twórcy albumu mogli sobie wymarzyć.

MURY PEKAJĄ, OTWIERAJĄ SIĘ GŁOWY

W latach 80. i na początku lat 90. poza mainstreamem muzyki słuchało się według kłucza subkulturowego. Punky miały swoich bohaterów, metalowcy swoich, reggae też kisiło się w sosie własnym. Wielbiciele synthpopu, z Depeche Mode na czele, nie rozumieli wyznawców muzyki gitarowej. Ba, w naszym kraju na porządku dziennym były osiedlowe rękocyny, których głównym pretekstem były wybory estetyczne adwersarzy. Muzyczne kibolstwo było rzeczą równie naturalną, jak dziś wydaje się egzotyczną. O tym, że można inaczej, że czasem warto sprawdzić, co u sąsiada słyhać, dowiadaliśmy się dzięki nowym idolom z Ameryki.

– Wielką rewolucją w postrzeganiu muzyki rap i amerykańskiej sceny postpunkowej był debiut zespołu Rage Against The

Machine z 1992 roku. Po raz pierwszy sceny punkowe i metalowe zaczęły inaczej patrzeć na zamieszanie wokół hip-hopu, bo wcześniej raczej patrzyły wilkiem. Płyta „Judgment Night”, bo z filmu nic nie pamiętam, poszła o krok dalej. Doskonali raperzy z różnych stron Stanów Zjednoczonych, na jednym nagraniu z moim ulubionym Helmetem, Sonic Youth i Mudhoney – wspomina Fisz, czyli Bartosz Waglewski. Jeszcze przed chwilą był metalowcem, za moment został raperem, przez cały ten czas był młodzieńcem poszukującym nowych muzycznych wrażeń. – Pękały różne mury, granice i gatunkowe podziały. Eklektyzm gatunkowy przenikał do głównego nurtu muzyki gitarowej. Choć późniejsze zjawisko zwane nu metalem nie należy do moich ulubionych, to ta płyta była przełomem i zapoczątkowała nowy nurt, wielu wokalistów rockowych zaczęło rapować. Niestety z różnym skutkiem, niektóre ich rymy były łopatologią trudną do zniesienia. Dlatego wolalem „Judgment Night”, gdzie rapem zajmowali się ludzie, którzy wiedzieli, na czym to polega.

Pablopavo, publiczności literackiej znany jako Paweł Sołtys, w 1993 roku był wyrostkiem słuchającym głównie punka i okolic. Rap już znał, raczej pobieżnie, więc nie poważał. – W MTV leciały teledyski Vanilla Ice czy MC Hammera, więc dla mnie i większości moich kolegów hip-hop był czymś obciachowym, kojarzącym się z disco. Niemal równocześnie wyszły, a już na pewno równocześnie do nas dotarły dwie płyty – jedynka Rage Against The Machine i „Judgment Night”. Tam już nie było lipy. Jak ktoś lubił Slayera, to dostał „Disorder”, z Ice-T na woku. Świetny był też numer House Of Pain z Helmetem czy „I Love You Mary Jane” Sonic Youth i Cypress Hill. Było to takie energetyczne uderzenie, że nas, wtedy piętnasto-, szesnastoletnich, natychmiast porwało. Otworzyło nam głowy na rap, uświadomiło, że można w tej estetyce opowiadać ciekawe historie – wspomina Pablopavo. – Od tamtej pory zaczęliśmy zbierać kasety hiphopowe, a rok czy dwa lata później zaczęły się pojawiać pierwsze polskie składki, w Warszawie na przykład 1 Killa Hertz, Trzyha i Molesta. Dla mnie to był nowy, bardzo ważny świat. Nigdy nie byłam hiphopowcem, ale i sposób opowiadania historii, i sam techniczny aspekt nawija-

nia wywarły wielki wpływ na to, co w muzyce robię przez całe życie.

Skąd się biorą raperzy? Dziś to dziecinie proste – słuchają innych raperów od malarstwa, naśladują, doskonałą warsztat i raper gotowy. Ale skąd się wzięli ci pierwsi? W Polsce wielu z nich zrodziła „Sądna noc”. Młodzi metalowcy, punkowcy, hardcore’owcy polknęli rapowego bakcyła dzięki muzyce, która była mostem przerzuconym pomiędzy scenami, ale nie zatrzymali się w pół drogi. Do fascynacji tym albumem przyznawali się m.in. członkowie kultowej stołecznej Molesty, poznańskiego Nagłego Ataku Spawacza, ale i wielu innych ojców założycieli polskiego rapu. Okazuje się jednak, że droga, którą wytyczył soundtrack do „Judgment Night”, nie była jednokierunkowa.

– Nigdy nie byłem nadmiernym fanem gitarowych, a tym bardziej ciężkich brzmień, ale ten album trochę to zmienił – przyznaje Sokół, weteran polskiego rapu i wciąż jeden z najważniejszych przedstawicieli gatunku. – Doceniłem ten fusion do tego stopnia, że potem kupilem nawet kilka albumów rockowych, metalowych, thrashmetalowych, a nawet hardcore’owo-punkowych. Wydaje mi się, że to zadziało w dwie strony, bo moi długowłosi koledzy z dzielnicy, którzy chodzili w rurkach i koszulkach metalowych kapel, nagle zaczęli się wypowiadać z szacunkiem o rapie.

– „Judgment Night” była swego rodzaju peakiem muzycznego tygła początku lat 90., esencjonalnym soundtrackiem dla nastolatków zmęczonych uniformizacją subkultur, pięknym wyzwoleniem i klarowną informacją, że wszystko można – podsumowuje Macio Moretti, muzyk i grafik, filar kolektywu Lado ABC, znany z grup Mitch & Mitch, Starzy Singers, Antigama i wielu innych projektów, obejmujących niemal wszystkie gatunki muzyczne. – Dla nas, łączących co tydzień do Alfę, dodatkowo idealną okazją, żeby przećwiczyć ruchy taneczne i synchronicznie wskazać ręką legendarny sampel w „Just Another Victim”. Ów sampel, we wspólnej piosence dźwigającego ciężary Helmetu z rapową grupą House Of Pain, to wycinek z piosenki „The Breakdown (Part I)” soulowego wokalisty Rufusa Thomasa, wydanej w 1971 roku, a więc furtka do kolejnego muzycznego kosmosu, nieznanego wtedy smakaczom znad Wisły. Z kronikarskiego obowiązku trzeba też dodać, że owiana już legendą Alfa była pierwszym klubem w Warszawie, w którym odbywały się imprezy hipopowe, unieśmiertelnionym w wersji utworu „93-94” didżeja 600V: „A pamiętasz jak 93, Alfa Kolorszok,

a wśród nich i ty”. Nie pamiętam, bo nie mogę, nigdy nie byłem w Alfie, ale przy „Judgment Night” bawiono się nie tylko w stolicy. Fenomenem polskich klubów studenckich i dyskotek lat 90. były tzw. rockoteki. Jak sama nazwa wskazuje, imprezy adresowane do młodzieży, która gardziła popem, disco i tym wszystkim, co było kolorowe, sympatyczne, znane z list przebojów. Na rockotekach tańczyło się więc do Nirvany i Rage Against The Machine, do Metalliki i Red Hot Chili Peppers (też zresztą czerpiących inspirację z rapu). Przy czym przez taniec trzeba rozumieć raczej dzikie podskoki, a nawet pogo, nie przytulańce przy wolnych. Do dziś zresztą można trafić tu i ówdzie na rockoteki, zresztą z repertuarem w przeważającej części historycznym, choć to zjawiska znacznie rzadsze niż pod koniec ubiegłego wieku.

NAMIESZAĆ MAŁOLATOM WE ŁBACH

U nas „Judgment Night” kruszyła mury pomiędzy subkulturami, a w Stanach dochodził do tego arcyważny aspekt rasowy, z którego wtedy nie zdawaliśmy sobie sprawy. Metal, hardcore i w ogóle rock były domeną białych, natomiast rap był głosem czarnej Ameryki. Owszem, zdarzały się wyjątki. Jednym z nich był wymyślający nowe, alternatywne ścieżki dla metalu Living Colour, złożony wyłącznie z czarnych muzyków, innym biała grupa rapowa House Of Pain – obie formacje zostały zaproszone do współtworzenia „Judgment Night”, a Everlast, członek House Of Pain, nawet wystąpił w filmie. Wciąż jednak były to wyjątki i nawet jeśli nie było między białymi gitarzystami i czarnymi nawijaczami otwartej wrogości, linia demarkacyjna była wyraźna, a granice przestrzegane przez obie strony. Artyści, którzy wzięli udział w nagraniu soundtracku, świadomie ją przekroczyli. Ice-T wspominał, że akurat tej nocy, kiedy nagrywali „Disorder”, telewizja pokazywała jakichś gówniarzy krzykujących rasistowskie hasła. Mieli na sobie koszulki Slayera. „Kerry [King, gitarzysta Slayera] powiedział, że świetnie się składa, że zaśpiewam z nimi ten numer, bo to tym małolatom namiesza we łbach. Kerry uznał, że to wspaniale, że zobaczą mnie u boku Slayera”.

Krótkodystansowym dziedzictwem „Judgment Night” była seria filmowych ścieżek dźwiękowych, które ku ucieście fanów próbowały łączyć ogień z wodą. Wymienić warto choćby muzykę z „Kruka” (1994), gdzie pojawiły się nieoczywiste cove-ry, choćby utwór Joy Division w reinterpretacji Nine Inch Nails, albo ekranizację ko-

miksu „Spawn” (1997), gdzie metal i rock łączyły siły z nową elektroniką, np. Metallica z DJ Spookym, Slayer z Atari Teenage Riot, a Prodigy z gitarzystą Rage Against The Machine (to też robota Waltersa). Żaden z tych soundtracków, w swoim czasie bardzo popularnych, nie odegrał jednak tak znaczącej kulturotwórczej roli jak muzyka z „Sądnej nocy”. „Judgment Night” zawdzięczamy też – a może powinniśmy ją za to winić – przetarcie szlaków dla gatunku muzycznego zwanego nu metalem, w którym rapową rytmikę i nawijkę łączyło się z pancerną sekcją rytmiczną i ciężkimi gitarami. Ale to już zupełnie inna opowieść, dotycząca przede wszystkim białych, wściekłych na świat chłopaków, niewiele mająca wspólnego z ekumeniczną misją kultowego soundtracku.

U W MORDE!

„Judgment Night” wciąż żyje i inspiruje, nie tylko muzyków. Krzysztof Bartnicki, pisarz i tłumacz, znany choćby ze spolszczenia „Finnegana trenu” Jamesa Joyce’a, poznał „Judgment Night” na studiach. Słuchał wtedy różnej muzyki, od metalu po klasykę, od Boba Dylana po Clannad, ale rapu akurat nie, bo jak dziś twierdzi, nie miał z nim styczności. – Raczej nie podpowiedzieli niczego koledzy, bo w akademiku jeden słuchał szant (i dobrze), drugi reggae (do dziś nie wsiąknę), trzeci electro-popu (tak se), czwarty Armii (dobrze) i Dead Can Dance (bardzo dobrze), dopiero piąty szedł niby w stronę metalu, ale jakoś spoza mainstreamu. Nikt nie słuchał rapu. Internetu nie było, nawet komputerów nie bardzo. Ten piąty kolega raz mi szepnął, że jest taki Body Count, który jest interesujący, bo śpiewa plugastwa niecenzuralne bardzo – i czy ja mógłbym przetłumaczyć. Rok 1992. Zakazane skusiło. Dowiedziałem się, że jest taki Ice-T, a nie tylko Kris Kross – wspomina. Niewiele później poznał „Sądna noc”.

– Wsiąknę bardzo, choć nie we wszystko z równym entuzjazmem. Ale że walkman nie miał opcji „pomiń utwór”, to nie miało znaczenia, że coś mniej, coś więcej. Nauczyłem się na pamięć. Polubiłem wszystko. Nie znałem wielu metalowców, więc radość przeżywałem sam. Film zobaczyłem dużo później, daleko od studiów. Rozczarowywałem! Nie tyle nawet fabułą czy grą aktorską, ile faktem, że ze ścieżki dźwiękowej nie słyszałem prawie nic. Płyta „Judgment Night” przekonała mnie do rapu. Nie zapłonąłem doń miłością odkrytą i wielką, ale wiedziałem już, że to jakby koledzy z sąsiedniego podwórka i nie należy na nich patrzeć spođe łba. Mo-

żemy się nie bić, raczej możemy się spotykać przy ognisku. Okazało się po latach, że ognisko może być sobótkowe z Kochanowskim. Znajomość Bartnickiego z „Judgment Night” ma bowiem niespodziewany dalszy ciąg. W maju br. ukazała się jego książka „Garutko sobotniej ropy”, czyli „spolszczenie” – a więc spolszczenie i przetłumaczenie na język kultury popularnej zarem – „Pieśni świętojańskiej o Sobótcie” Jana Kochanowskiego. To brawurowy eksperyment literacki, w którym uwspółcześniony mistrz z Czarnolasu nawija do czytelnika współczesnym językiem. Za kanwę dwóch z dwunastu pieśni posłużyły Bartnickiemu utwory z „Judgment Night” – to „Another Body Murdered” Boo-Yaa T.R.I.B.E. i Faith No More oraz „Disorder” Slayera i Ice-T – ale obecne są też piosenki innych bohaterów tamtej płyty, czyli Cypress Hill i Biohazardu. Słowa są niby nowe, treści inne, ale rytmicznie i nawet fonetycznie wszystko się zgadza. Tam, gdzie w oryginale słyszymy „Disorder! Disorder! Disorder!”, w „Garutce...” mamy „U w mordę! U w mordę! U w mordę!”. Trudno nie nucić tego sobie pod nosem przy lekturze całej tej przedziwnej książki.

– Obecność kawalków z „Judgment Night” w tekście „Garutki sobotniej ropy” to dowód na to, że płyta była i jest ważna. Wziąłbym tych utworów nawet więcej, ale byłoby to przegięcie metodologiczne. Ponieważ teksty „Garutki...” miały być zasadniczo raperskie (skoro w rapie się rymuje, a mnie potrzebne było rymowanie), to – jak inżynier Mamon – sięgnąłem po rap, który mi się podobał, bo już go dobrze znałem. Sięgnąłem po „Judgment Night”.

Tylko jak autorowi udało się pogodzić ponurą atmosferę najgorszych dzielnic amerykańskich miast z nastrojem pieśni Kochanowskiego, o kilka tonów przecież jaśniejszym? – Jeśli ktoś wyczuwa w tych tekstach więcej, hm, mroko niż w rapie słodko twerkujących dziewcząt, to słusznie wyczuwa. Świat jest bliższy wkurwu niż li-zaka. Exploited śpiewało, że „U.K. 82” jest niefajne. Slayer z Ice-T śpiewali za nimi: „L.A. 1992”, że świat niefajny. Dodajmy kolejne dziesiątki: co było w 2002? W 2012? W 2022? No przecież raju na Ziemi wcale nie było.

Nie było, to prawda. Ale dobrze się złożyło, że ten nieraj opowiadała nam „Judgment Night”. ●

OGŁOSZENIA

Klub wyborcza.pl

Tusk – Kaczyński. Ostatnie starcie



Spotkanie online na wyborcza.pl | Wtorek, 19 września, godz. 20

Dołącz do Klubu „Wyborczej” na [Wyborcza.pl/prenumerata](https://wyborcza.pl/prenumerata)

FOT. J. JAKUB WŁÓDEK / AGENCJA WYBORCZA.PL



weekendówka 70

POCZUJCIE BLUESA!

Autorem wielu haseł jest **Jarek Szubrycht**

Itta Bena w stanie Missisipi. Populacja tego niewielkiego miasteczka nigdy w historii nie przekroczyła 3 tysięcy. Miasteczko, jakich tysiące na południu Stanów, ale to stąd wywodzą się Smoky Babe, Robert Elem, Luther „Guitar Junior” Johnson czy Robert Petway... Ale choć to tuzy bluesa, to wciąż nie wystarczyłoby, by nazwę Itta Bena rozślawić na świecie.

Ale 16 września 1925 roku na świat przyszedł Riley Ben King. Kiedy pracował w radiostacji WDIA w Memphis jako didżej, dorobił się przydomka „Beale Street Blues Boy” (Beale Street to ulica w Memphis sławna z licznych klubów i knajp), potem skracanego do „Blues Boy” i wreszcie – „B.B.”.

To właśnie tego człowieka nazwano dumnie King of Blues – Królem Bluesa.

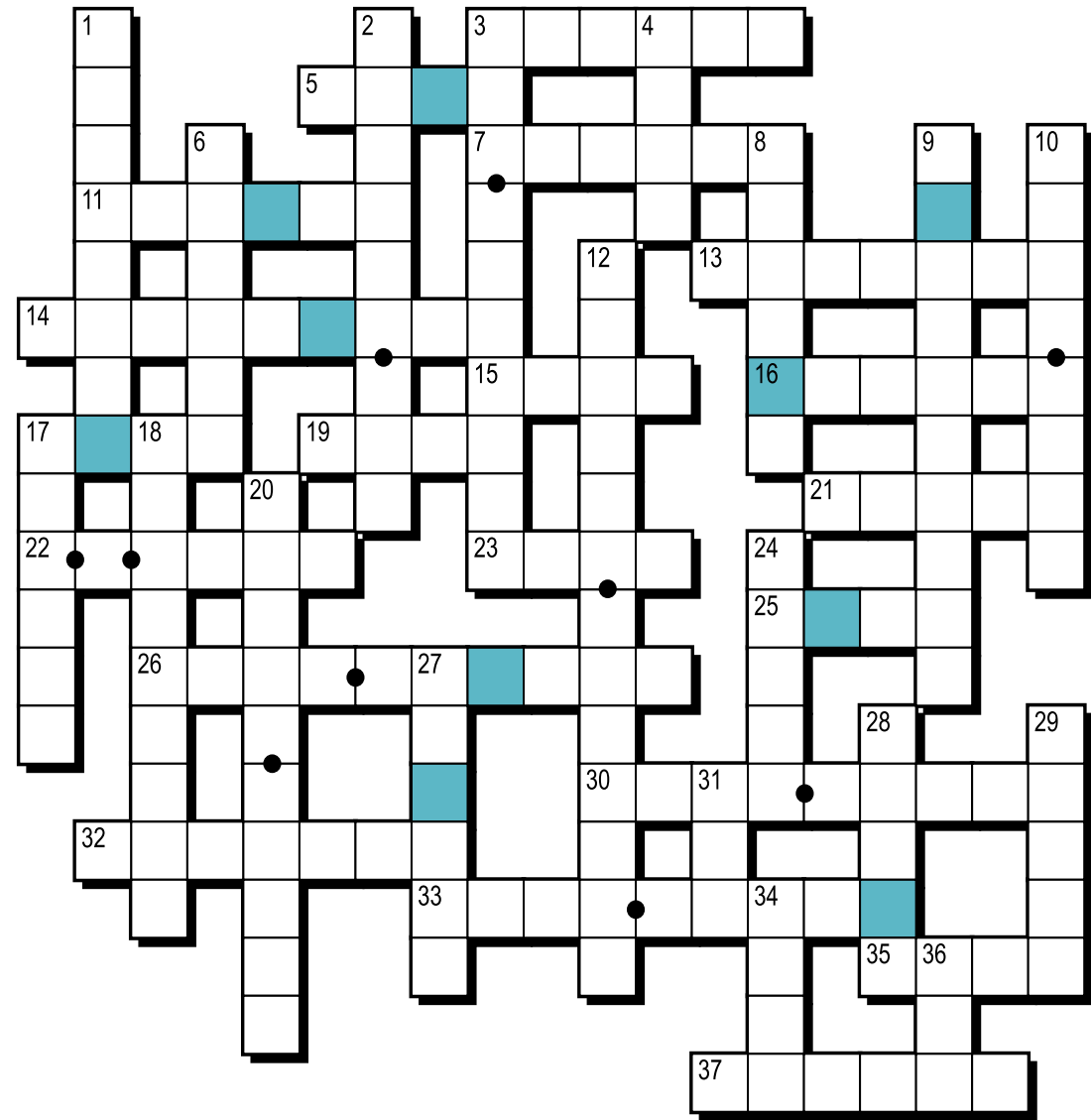
W 1951 roku cały świat zaczął się bujać w rytm jego pierwszego wielkiego przeboju – „Three O’Clock Blues” (nr 1 na liście „Billboardu” w kategorii Hot R&B/Hip-Hop). I już bujać się nie przestał: ponad 15 tysięcy koncertów (koncertował jakieś 300 razy w roku), 43 studyjne albumy, 16 płyt koncertowych, niezliczone kompilacje i single... Dorobek gigantyczny. Wirtuoz gitary, którą sam pieśczoćliwie nazywał „Lucille”, zdobył 30 nominacji i 15 nagród muzycznych Grammy. „You Know I Love You”, „Please Love Me”, „Sweet Sixteen”, „I Like to Live the Love”, „Chains And Things” czy przesławne „The Thrill Is Gone” – ech, siła by gadać, ile hitów podarował B.B. światu.

Bez B.B. Kinga nie byłoby też Jimiego Hendrixa ani Erica Claptona. To znaczy może i by byli, ale co to za bycie – bo to Król miał na twórczość obu gitarowych sław przeogromny wpływ. Kiedy zmarł, w kolejce do trumny, by go pożegnać, ustawiło się 4 tysiące osób.

Nic dziwnego, że to datę urodzin B.B. Kinga wybrało Polskie Stowarzyszenie Bluesowe, by ustanowić Dzień Bluesa. Obchodzony jest od 2005 roku, a z tej okazji w całej Polsce organizowane są liczne bluesowe koncerty, imprezy i jam session. Dlatego i my w „Weekendówce” postanowiliśmy uczcić ów dzień, a także i samego Króla, i wreszcie muzykę bluesową, właśnie jej poświęcając dzisiejszą krzyżówkę.

A o pomoc w jej ułożeniu poprosiliśmy niezawodnego Jarka Szubrychta, stałego gościa „Weekendówki”, który przy muzycznych krzyżówkach wspiera nas niezawodnie. Bo na muzyce się wyznaje jak mało kto – Jarek to dziennikarz „Gazety Wyborczej” oraz tekściarz, były wokalista grupy Lux Occulta, autor mnóstwa publikacji o muzyce, m.in.: „Bez litości. Prawdziwa historia zespołu Slayer”, „Vader. Wojna totalna”, „Życie, bierz mnie. Biografia Andrzeja Zauchy” czy „Skóra i ćwieki na wieki. Moja historia metalu”. Ale dziś króluje nie metal, ale blues, proszę Państwa!

Andrzej Kulasek,
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie „Weekendówki” nr 69 z 9.09:

Poziomo:
5) ogonki 9) Bralczyk 12) leksykograf 13) ojczyzna 14) Słowacki 15) język obcy 16) iks 19) szaradziarstwo 21) anagram 22) Rej 24) pisownia 26) feminatywy 27) homofony 28) złoto 31) Polska 32) hymn 34) abecadło 35) errata 37) naleciałości 38) znaki

Pionowo:
1) kraj 2) Ślązak 3) Szczepreszyn 4) doktor 6) głoska 7) nurt 8) infiks 10) klasyka 11) żywa mowa 13) orędzie 17) kajak 18) reguły 20) onomatopeja 20) Roch 23) Jan Miodek 24) profesor 25) Niemcy 28) znawca 29) orator 30) wołacz 33) pani 36) Ala

HASŁO:
SŁOWNIK IMION

BLUESÓWKA

Hasła Jarka Szubrychta oznaczono inicjałami (JS). Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 3)** ponoć w zamian za dar talentu przejął duszę Roberta Johnsona
5) „Blues ...”, piosenka zespołu Maanam (wpisujemy w mianownik)
7) Tadeusz, nazywany ojcem polskiego bluesa
11) Sławek Wierzholski i Nocna ... Bluesa
13) James, amerykański aktor („Blues Brothers”)
14) Stanisław, autor wiersza „Blues przy odgarnianiu śniegu ze ścieżki przed domem”
15) Jimmy, jeden z prekursorów

- elektrycznego bluesa (album „Wailin’ the Blues”) **16)** John Lee ..., legendarny amerykański bluesman, który w swoim największym hicie twierdzi, że bum, bum oraz bang, bang (JS)
17) ... Blues Festival, od lat organizowany przez Ireneusza Dudka w katowickim Spodku
19) popisówka gitarzysty
21) Jerry Lee ..., nagrał „Blues Like Midnight”
22) Nagrywał m.in. z U2 i Claptonem, a swoją gitarę – o imieniu Lucille – sprezentował Janowi Pawłowi II. Iście królewski gest (JS)
23) zespół wykonujący piosenki „Płyń, mój bluesie, płyń”, „Czerwony jak cegła”
25) polski imiennik Claptona, wykonawcy utworów „Worried Life Blues”, „Driftn’ Blues”

- 26)** amerykańskie miasto nazywane kolebką jazzu
30) nagrał przebój „Still Got the Blues”
32) Little ... (zm. 2020), wprowadzony do Blues Hall of Fame
33) amerykańska wokalistka znana z utworów „I’d Rather Go Blind”, „I Sing the Blues”
35) ... Fitzgerald, w jej dorobku album „These Are the Blues”
37) T-Bone, gitarzysta i wokalista, który wprowadził do bluesa gitarę elektryczną

Pionowo:

- 1)** jeden z najbardziej bluesowych stanów USA, kolebka tzw. bagienno bluesa (JS)
2) odtwórca głównej roli w „Skazanym na bluesa”

- 3)** partner 13 poziomo w filmie „Blues Brothers”
4) ... Czad Blues, bieszczadzka impreza muzyczna
6) instrument Muddy’ego Watersa, Howlin’ Wolfa
8) ... Franklin, pierwsza kobieta w Rock and Roll Hall of Fame, 18 razy nagrodzona Grammy (JS)
9) Krzysztof, śpiewa „Czarny blues o czwartej nad ranem”, „Zareczynowy blues”
12) amerykański gitarzysta blues-rockowy („Little Wing”) **17)** ... Johnson, legenda bluesa
18) wirtuozerskie ... utworu
20) brytyjski gitarzysta bluesowy z grupy Thin

- Lizzy, nagrał piosenkę „Midnight Blues”
24) Chuck, zaczynał od bluesa, wymyślił rock’n’rolla. Jego „Johnny B. Goode” trafił na złotą płytę wyslaną w 1977 r. w kosmos przez NASA (JS)
27) senior był autsajderem z Dżemu, junior śpiewa bluesa w Cree (JS)
28) „... of the Blues”, album Johna Lee Hookera
29) ... blues, jeden z najstarszych bluesowych stylów (skojarz z ujściem Missisipi)
31) Chris, wykonawca piosenki „90’s Blues”
34) potocznie o rocku, jazzie lub bluesie
36) James ... Burke, autor powieści „Wiśniowy blues”
Leszek Rydz

OGŁOSZENIA

Byle do weekendówki

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!

KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY34225722